



M. Jaroczyński ryt.

Nakładem J. K. Żupańskiego.

J. Morawski

Morawski.

Franciszek Dzierżykraj - Morawski.

PISMA ZBIOROWE

WIERSZEM I PROZĄ.

Z PRZEDMOWĄ

ST. Hr. TARNOWSKIEGO.

TOM I.

Z PORTRETEM AUTORA.



POZNAŃ.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANÁ KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1882.

K-104/86. p

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0490227



epm
108130 ✓

PRZEDMOWA.

„Służmy pocziwój sławie“ pisał Jan Kochanowski, a myślał może choć tego nie wypisał, co i przed nim i po nim nie jeden w myśli dodawał, służąc pocziwój sławie i sprawie, nie dbajmy o to czy się ludziom podobać będziemy, a ufajmy że byleśmy téj dobrej sławy i sprawy nie odstępili, to prędzej czy później ludzie sprawiedliwość nam oddadzą i dobre słowo o nas powiedzą. Tak dzieje się w naszych oczach z niejednym, kto pocziwój sławie służył i do niej miał prawo, a wymiaru sprawiedliwości długo doczekać się nie mógł; tak mianowicie dzieje się z tymi klassycznymi poetami, których po-

«*

czątek naszego wieku młodych i głośnych witał oklaskiem i powodzeniem, których jego środek upośledzał, a których schylek jego przywraca do czci należnej. Dziwny to, jeżeli nie znak, to przynajmniej zbieg okoliczności, że w krótkim przeciągu lat paru wyszły niewydane dotąd dramata, poezye liryczne i przekłady tego Wężyka, który zdaniem znawców i ogółu, „dzierzył berło poezyi dramatycznej“ za Księstwa Warszawskiego, a w ślad za niemi te ody, któremi Koźmian sławił zwycięztwa Napoleona lub smutną myślą rozpamiętywał „Upadek Dumnego.“ Nie tak temu dawno, nikomu może nie byłoby przyszło na myśl zbierać razem i ogłaszać te dawno zapomniane lub nieznane zgoła płody klassycznej muzy. Dziś co się zmieniło że tych zaniedbanych podejmujemy „z niepamięci piasku“ i wydobywamy na widok publiczny? Czy Fortuna kołem się tocząc znowu na szczyt wzniosła starych klassyków a przeciwników ich w dół pogrążyła? Czyśmy się nawrócili znowu na wiarę Laharpa i Osińskiego? Nie: wiemy zawsze że ta muza więcej się za klassyczną miała niż taką

rzeczywiście była, i wszystkie jój słabe strony znamy. Tylko po wielu latach przyszła nam myśl prawdziwa i dobra, że jakkolwiek pisali, to „pocziwój sławie pocziwie służyli,“ tylko po namiętnej walce, po obojętności pogardliwój w jakiej chowały się po końcu walki młodsze pokolenia, nastąpiło wreszcie to uczucie sprawiedliwsze i to pojęcie ze wszech miar lepsze, które w każdym i we wszystkim dobre jakie jest zobaczyć i ocenić umie.

Opadły uprzedzenia, może je po części i doświadczenia zwyciężyły, a wtedy pokazało się jasno i widocznie że ci długo wzgardzeni pisarze i rozumu mieli wiele, i w swoim rodzaju i smaku nie jedną piękną rzecz napisali, i zwłaszcza, że nie mniejszą od naszej mieli miłość i cześć dobrej sławy i sprawy. I dla tego pośmiertne dzieła Wężyka przyjęte były tak dobrze jak za jego życia przyjmowane były chyba pierwsze przed rokiem 1815, dla tego wiersze Koźmiana nie spotkały nigdzie niechęci lub lekceważenia, ale życzliwość, uszanowanie, co więcej, wyrozumienie u tych, którzy na sądy i zdania jego

najmniejby się godzili. A jeżeli czas, który wszystko łagodzi, jeżeli doświadczenie, które przecież trochę uczy, wpłynęły głównie na tę zmianę naszych uczuć względem poetów naszych z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa, to niewdzięcznie byłoby zapomnieć, że wielką w tej sprawie zasługę miał i człowiek, który pierwszy miał odwagę otrząsnąć się z uprzedzeń, zdobyć się na sąd sprawiedliwy i nas wszystkich do niego nakłonić, który nie upominał, ani prosił, ale umiał poetów tych, niedostatków ich nie przecząc, ani tając, ukazać w właściwym świetle ich zasługi, charakteru, talentu i poczciwej sławy — Lucyan Siemieński. Bodaj czy nie za jego to sprawą, czy nie od jego niektórych portretów lub obrazowo przedstawionego obozu klasyków, począł się ten zwrot, to laskawsze i sprawiedliwsze względem klasyków usposobienie. Dość, że wyszedł i dobrze był przyjęty Wężyk i Koźmian, a dziś pierwszy raz w całość zebrane, wychodzą dzieła Jenerała Morawskiego; i miło jest widzieć tych trzech towarzyszy, trzech przyjaciół tak sobie przez całe

życie wiernych, połączonych po śmierci jeszcze tem równoczesnem prawie dzieł ich wydaniem. Jest to jakżeby złożone na ich grobie zaręczenie, że ich nie rozrywać nie powinno, że ich razem w pamięci zachować chcemy, i razem przekazać znajomości tych, którzy po nas nastąpią.

Chociaż za życia różne ich były losy, i różne względem nich ludzkie uczucia. Jenerał Morawski nie miał nigdy nieprzyjaciół, nie słyszał nigdy za swoje literackie lub polityczne przekonania takich jak Koźmian oskarżeń, on w samym ogniu walki i klasykom i romantykom miłym być nie przestał, a szczerzej i goręcej sympatyi ogółu nigdy na chwilę nie stracił: tak, że stała i wierna przyjaźń ludzka niepokoiła go aż w końcu życia, kiedy się o wieczność swoją lękał bo „mnie nikt w życiu nie obraził Panie!“ i żałując że nie miał powodu przebaczać pytał: „Czy mnie przebaczysz gdym ja nie przebaczył?“

Ale zwyczajnie ci tylko zawsze u ludzi w laskach być umieją, którzy własnego zdania nie mając, cudzemu nie narażą się nigdy. Czy

tak było w tym razie? Czy ten był powód powszechnej a niezmiennej wziętości Jenerała? Nie ubliżajmy mu nawet tém pytaniem. Tajemnicą jego powodzenia był, nie brak odwagi i sądu, ale sądu tego trafność właśnie, ale rodzaj jego talentu, ale jego natura, i dodajmy wreszcie koleje jego życia. Natura: bo z tem już na świat przyszedł, że był ludziom miły. Mówimy często o „szczęściu do ludzi“ jako o wielkim darze, i słusznie: ale to szczęście jest przywilejem i skutkiem natur pewnych wyjątkowo szczęśliwie złożonych z wysokości serca, bystrości i pogody umysłu, równej jednostajności usposobienia i stałej względem drugich dobroci. W takich organizacyach szczęśliwa harmonia dobrego tworzy wdzięk któremu każdy ulega choć go nie analizuje. Wdzięk taki zdarzał się czasem pomiędzy naszymi pisarzami dawnych wieków: o ile z pism wnosić można, musiał go mieć w stopniu bardzo wysokim Kochanowski, musiał mieć Górnicki i sympatyczny Kochowski, a w naszym wieku jak świadczą zgodnie wszyscy współcześni, mało kto miał go w tym stopniu,

co Franciszek Morawski. Ten urok natury harmonijnej, mężkiej a nie twardej, serdecznej a nie namiętnej, pogodnej a cierpieć zdolnej i umiejaczej, udzielił się i pismom Jenerała i sprawił że zawsze były pożądanę, zawsze dobrze widziane; że kiedy inni współcześni pieli się na Parnas i przemawiali czasem jak z trójnoga, on od niechcienia a żywo piszący albo dowcipem swoim bawił, albo rozrzewniał uczuciem. Bardziej z niechcienia, bardziej po prostu, bardziej naiwnie piszący (jeżeli się tak wyrazić można), pociągał do siebie tą samorodnością, tym brakiem zamiaru i premedytacyi, która młodszych i goniących właśnie za naturą i prawdą zrażały do retorycznych, akademicznych, uroczystych, a cokolwiek i napuszystych klasyków. Ta zaś prostota i samorodność połączona z małym i skromnym rozumieniem o sobie, jak na Morawskiego wierszach wyciskała piętno rzadkiego a miłego wdzięku, tak sądom jego dawała niezaprzezoną między współczesnemi wyższość. Towarzyse i przyjaciele wszyscy zagrzeźli w wyrzniętej raz kolei, wszyscy zaślepili się w swoich wzorach,

że oszańcowani w wyłączności swojej ani złego we własnej, ani dobrego w przeciwniej szkole widzieć już nie umieli; Morawski jeden między niemi zachował zmysł poetyczny, nietknięty, nie zbalamucony teoryami, najmnień z nich wszystkich literat, najmnień poeta z profesyi, najwięcej miał zdolnego i czulego instynktu poezyi. Ztąd na klassycznych wzorach wychowany tłómacz Andromachy, lepiej niż Koźmian, lepiej niż sławny Arystarch Osiński, umiał się poznać na wielkim poecie Byronie: ztąd, do klassyków przywiązany, przystępny jest natchnieniom romantyków, a jednych cenić nie przestając, z drugimi razem czuć umie. Talentem zapewne od Koźmiana nie wyższy, przewyższał go swoim pojęciem poezyi, obejmował szersze aniżeli tamten horyzonty, a ztąd w pisaniu nie tak jak on do wzorów pewnych ograniczony, w sądzeniu trafniejszy i sprawiedliwszy, nie tak zakuty, zatwardziały klaszyk, cokolwiek napisał nie wywoływał takich przeciw sobie uprzedzeń i niechęci, i w najgorętszych chwilach czy walki z romantykami, czy późniejszego dla nich fanatyzmu, on nie był

nigdy celem pocisków ani oskarżeń, uważany był jak żeby Sacrosanctus, którego głowy dotknąć się nie godziło.

A na to zachowywanie się nasze względem Morawskiego, czy oprócz jego natury, jego odmiennego talentu, rodzaju i stanowiska w poezyi, czy nie wpływały także i koleje jego życia, i jego zawód żołnierski? Wielki jest urok szabli, a szczęśliwe jeszcze społeczeństwo które urok ten czuć i ulegać mu umie. Inny niech się dręczy myślą, niech się mozoli pracą, niech słowem czy piórem szerzy co najlepsze i najmędrsze, nie będzie nigdy tak jasnym, tak dla wszystkich zrozumiałym żeby nie mógł być źle pojętym i sądzonym lub umyślnie szkalowanym i krzywdzonym. Ale żołnierz którego się widziało na wszystkich polach bitw od Paryża do Moskwy, i przez wszystkie lata od Raszyna do Grochowa, tak jaśnieje jak słońce, a żadne mgły sądów fałszywych, żadne brudne wyziewy kłamstw i potwarzy jego blasku nie zaćmia; podejrzliwość nie śmie go posądzać, podłość nie śmie oskarżać, a kiedy mąż stanu od Michała

i Augusta Czartoryskich aż do margrabi Wielopolskiego walczy całe życie najczęściej bez skutku z niesprawiedliwością i złą wiarą, to kitka ułana sterczy nad niemi jasna i świecąca, a żołnierz dobry, dzięki Bogu, że choć on jeden przynajmniej, cześć i dobrą sławę swoją nosi przez całe życie nietkniętą, miłość ludzka do niego się garnie, a wdzięczność względem niego jednego sprawiedliwa, przed nim umie schylić czoło jak należy.

Wziętość i przywiązanie jakie otaczały Morawskiego pisarza i poetę, zawdzięcza on może w znacznej części Jenerałowi Morawskiemu. Odrębna to i jedyna w swoim rodzaju postać między literatami Kongresowego Królestwa. Rozdarty między dwoma walczącemi obozami jak starożytne Sabinki, w jednym miał przyjaciół i całą swoją młodość, do drugiego ciągnęło serce i trafny zmysł poetyczny. Coś go ostrzegalo że polski klassycyzm nie jest polską poezją, coś go ciągnęło w przeciwną stronę. Tem czemś był istotny talent, talent nie wyjątkowych rozmiarów, ale dziwnie zajmujący, miły, sym-

patyczny. Gdyby kto był powiedział że ten Jenerał mustrujący swoją brygadę w Lublinie, który tak chętnie, ale z takim uszanowaniem dla powag męszal się do spraw i sporów literackich Warszawy, że był poetą, bardziej jak Osiński, bardziej jak niejeden urzędowy wieszcz w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, niktby temu nie był uwierzył, on sam może najmniej, a jednak tak było. Talent to ani wzniosły ani bardzo potężny, owszem dobry tylko do średniego lotu, ale w tym locie niepospolity: pogodny i wesoly, raczej satyryczny jak uczuciowy, a jednak pełen prawdziwego zacnego uczucia, pełen zdrowego rozumu i prostej, ale mądrej filozofii życia, pełen miłości Ojczyzny, która na przemian umie tęsknie wspominać przeszłość i terażniejszości mówić prawdę otwarcie, śmiało, po mężku i po żołniersku, z formą bardzo poprawną i piękną, i to nie przez kucie, nie przez piłowanie każdego wiersza z osobna nonum in annum, ale z wrodzonego daru władania językiem i wierszem, pełen prostoty zresztą, wolny od roszczeń miłości własnej i od literackiej próżności, zajmuje

Morawski między poetami miejsce bardzo zaszczytne i zapewnione na zawsze.

To samo jednak co stanowi właściwy charakter i wdzięk jego poezji, to samo zatrzymało ją może w tej mierze średniej w której została. To „niechęć,“ ta skromność która nie daje wiele sobie rościć a nie śmie na wiele się zrywać, sprawiła że Morawski choć się nieraz za młodu w wierszykach próbował, choć wiedział że zgrabnie i ładnie pisać może, nie sądził się powołanym do poetyckiego zawodu, i bardzo mało, przy okazji tylko pisał, a nie nie ogłaszał. Rzecz dziwna, swoich dwóch głównych zawodów, wojskowego za młodu a gospodarczego w starości, jak sam wyznaje w jednym ze swoich listów, nie lubił: spełniał je, ale ich nie uważał za swoje wrodzone powołanie. Zdałoby się więc że za to musiał mieć chyba swój zawód trzeci, pisarski. Tymczasem fakta dowodzą inaczej. Żywot jego, (opisany tak pięknie przez Lucjana Siemieńskiego że późniejsi już tylko do niego się odwoływać mogą, ale nie opowiadać go, bo musieliby powtarzać tylko

i powtarzać gorzej), żywot ten dowodzi, że pierwsza młodość przeszła i druga już przechodziła, żołnierz został oficerem, został pułkownikiem, miał za sobą wiele odbytych bojów i kampanii, na ciele wiele szram a na piersiach wiele krzyżów, a oprócz przypadkowych okolicznościowych wierszyków, oprócz pięknej mowy pogrzebowej na cześć księcia Józefa, niczem jeszcze nie wsławił swego talentu, nie okazał swego popędu do pisania. Widać z tego że ten popęd nie musiał być zbyt silnym i nagłym, że ambicya poetyczna snu mu nie psuła: a ztąd też może i wniosek blizki, że gdzie potrzeba twórczenia tak spokojna i nie natarczywa, tam spokojną musi być i fantazyja, a siła umiarkowana.

Morawski przeszedł już lat trzydzieści i czterdziestu dochodził, a jako pisarz głośnym jeszcze nie był. Zrazu znanym był tylko jako wojskowy, jako miły i dobry człowiek, pełen wesołości i dowcipu, jako miłośnik i znawca literatury i poezji, ale większego talentu nikt się w nim nie domyślał. Że tłómaczył Andromachę, że zdaniem Koźmiana i Osińskiego przetłómaczyć

ją dobrze mógł, (przekład jój jest podobno piękniejszy od tych które Osińskiemu tyle przynosiły sławy) to był szczyt chwały o jakim sam może marzył i o jakim dla niego marzono. Siedział więc to w Lublinie, to w Radomiu garnizonem i tę Andromachę kończył, poprawiał, nieśmiało czytał warszawskim Horacym i Meccenasom, chwile wolne od służby przepędzał z lubemi muzami, znosił się z Warszawą i przez listy brał udział w całym ruchu literackim, ale do ówczesnego Parnassu nie należał, jako poeta był mniej znany, i nikt się nie domyślał może że jego przeznaczeniem było stać się jednym z głównych bohaterów klassyczo romantycznej epopei, której Achillesem był Mickiewicz, a Koźmian Hektorem.

Tymczasem tak było. Na takiego bohatera pasują go nie tylko listy do Koźmiana ogłoszone przez Siemieńskiego w obozie klassyków. Listy te są niezmiernie ciekawe, są jednym z najważniejszych historycznych źródeł do dziejów tej epoki Literatury, ale prywatne, głoszone w lat czterdzieści po napisaniu, nie mogły ani zrobić

wrażenia na publiczności, ani Morawskiemu sławy. Ale ten sam humor i dowcip, ten trafny zmysł poetyczny, ten wielki i miły rozsądek, który w listach tak delikatnie i nieśmiało przemawia do Koźmianów ojca i syna, przemówił i do publiczności, a przemówił tak mądrze, tak sprawiedliwie i stanowczo, jak chór w greckiej tragedyi. W roku 1829, po Wallenrodzie, kiedy Koźmian zżymał się i wołał w uniesieniu, że „jak ognia z wody tak jego z Mickiewiczem łączyć nie można,“ kiedy romantycy śpiewali pieśń tryumfu, Morawski rzucił między jednych i drugich swoje „Listy do Klassyków i Romanyków,“ przypisane Niemcewiczowi jako bezstronnemu sędziemu płodów literatury ojczystój.

Klassycy się zgorszyli; w chwili kiedy karzemny Mickiewicz wyniesiony bezbożną rewucją literacką już chce uzurpować tron na polskim Parnassie: kiedy ostatni z wiernych biją się po bohatersku za zagrożony smak i muzybronią ich ostatniej twierdzy,— Morawski w takiej chwili występuje z szeregu, gorzej, wchodzi w znowę z nieprzyjacielem, śmieje się z klas-



178130

syków, to brzydko i źle, to zdrada, przenie-
wierstwo, bunt: można myśleć co się podoba,
można jeżeli kto ślepy widzieć piękności w Wal-
lenrodzie, ale mówić to głośno w chwili walki,
uderzać na swoich z boku kiedy i tak ledwie
się mogą obronić: „*es war nicht schön von dir
Octavio*,” i Koźmian, pomimo że tak kochał
Morawskiego, długo nie mógł mu Listu do
klasyków darować.

Romantycy znowu, oprócz jednego Mickie-
wicza może, który wszystkiego słuchał i z wszy-
stkiego korzystał, nie zważali na List sobie
przypisany, choć uwagi Morawskiego wszystkim
niemal młodym poetom na dobre wyjść mogły.

Bezstronna i spokojna potomność przyzna
kiedyś że te Listy są śliczne, jedne z najładniej-
szych wierszy jakie stara szkoła w téj epoce
wydała (bo wtedy jeszcze należał Morawski
więcej do starej jak do nowój szkoły, był więcej
tłómaczem Racina jak tłómaczem Byrona).

Śliczne językiem i wierszem, wesole i lekkie
jak Listy i Satyry Krasickiego, i jak tamte pełne
prawd czerpanych ze złotego, zdrowego rozumu,

bez jadu i żółci, ale solą attycką wcale nieskapo-
zaprawne, są one i jednym z ładniejszych po-
mników ówczesnej poezji i jednym z najcen-
niejszych ówczesnej krytyki, a ogólny sąd
Morawskiego tak o klasykach jak i o naśla-
downcach romantyzmu i ich przesadach, kto wie
czy nie zostanie stałym sądem historii i krytyki.
Trudno znaleźć coś zgrabniej i dowcipniej po-
wiedzianego a trafniej pomyślanego jak cały
ustęp Listu pierwszego (do klasyków;) albo
ten ustęp w którym ich Morawski uczy, że
starożytni nie wyczerpali wszystkich skarbów
poezji, że i po nich jeszcze tworzyć można,
a ostatni ustęp w którym poeta powiada klas-
sykom, że romantycy mają przynajmniej tę
zasługę, że ich otrząśli z letargu, musiał
zwrócić na klasyków śmiech całej czytającej
Polski.

Ale nie na długo, bo List drugi pomścił
klasyków i zmusił każdego nieuprzedzonego do
śmiechu z romantyków. Jak wybornie wyszydza
Morawski sztuczną melancholią i urojone nie-
szczęścia piszących i niepiszących romantyków:

„Ledwo że się z Infimy a nawet z pieluszek
 Jakiś tam romantyczny wyrwie geniuszek
 Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi itd.“

Widzieliśmy ich wszyscy niedawno jeszcze tych poetycznych młodzieńców którzy udrapowani w melancholią, poetyczni w każdym ruchu i słowie, niezrozumiani i prześladowani, byli bardzo poetyczni dopóki swoich cierpień i natchnień nie opisali rymem i nie ogłosili drukiem: od téj chwili wszystko się zmieniło: poetyczny młodzieniec ukazywał się niedołącznym, lichym poetą, a przez swoje fałszywe aspiracye poetyczne, kłamane zachwyty, wmawiane natchnienia, udane nieszczęścia i zapaly na zimno, stawał się śmieszoną figurą, siłą strwonioną daremnie na czczem aktorstwie poezyi.

Słuszne także jest upomnienie do romantyków żeby przestrzegali czystości języka, a zakończenie, nauka moralna dla stron obu:

Jedno macie prawo, bratnie kształcić plemię
 I jeden tylko rodzaj, polską śpiewać ziemię,

cechuje dobrze i pięknie pośrednie stanowisko Morawskiego między stronami wojującymi,

a zarazem dążność wszystkich jego własnych pism i całego jego życia.

Tłómaczenie Andromachy (nie wydane), tu i owdzie przypadkowo w świat puszczoney wierszyk albo bajka, i te Listy, oto cały zapas poetycznej produkcji z jakim zastał Morawskiego rok, który nasze losy i nasze myśli zwrócił na inne drogi i w historyi jak w literaturze wywołał zmiany tak stanowcze, że w jednej jak w drugiej za graniczny słup dwóch epok słusznie może uchodzić, rok 1830.

Rzecz dziwna, a listami jego nie wytłómaczona, Morawski kiedy wszystko wychodziło na emigracyę, z drugimi nie wyszedł. Jenerał brygady, Jenerał dyżurny całej armii w kilku bitwach czynny, wreszcie Minister wojny, na pobłażanie zwycięzców liczyć nie mógł, musiał wiedzieć na pewno że spotka go coś złego, a przecież pozostał. Co go zatrzymało? Czy wzgląd żeby nie odstępować drobnych a po matce już osieroczonych dzieci lub z sobą ich na zagraniczne wygnanie nie ciągnąć i na zagraniczne wychowanie nie skazywać: czy nadzieja na doświadczeniu

oparta, że więzien zwykle rychlej od wygnania do domu powraca: czy może prosty zdrowy instynkt jego natury i jego rozsądku ostrzegal go przecuciem jakim ze nie jest bezpiecznie ani dobrze odrywać się od fizycznej materialnej podstawy życia i działania, dość ze został, a zostawszy wzięty był i posłany do Wologdy.

Zesłanie to trwało stósunkowo krótko, nie więcej jak dwa lata, i z tego względu Morawski szczęśliwszym był od wielu uwięzionych i od emigrantów. Ale w dwóch latach zawiera się dni i godzin wiele, a te wloką się długo kiedy dzień każdy i każda godzina schodzi na tém samém zawsze rozpamiętywaniu publicznej klęski i osobistej tęsknoty. Ciężki téż smutek przebija z ówczesnych Morawskiego listów: nie ma w nich skarg ani pięknym stylem pisanych użalań się nad sobą samym, ale krótkie i proste słowa przejmują dreszczem przerażenia i współczucia, naprzykład kiedy pisze: „o dzieciach nie mam żadnej wiadomości przez rok cały, nawet czy żyją“ Albo kiedy na zapytania (późniejsze już) czy pisze, na prozby żeby pisał, odpowiada

ze „nie nie pisze. Dusza nadto wezbrana boleścią, nadto przepelniona tęsknotą i żalem aby je rymem stroila. Więcej może jest teraz poezyi w duszy niż kiedykolwiek, ale nie teraz zdolna powiedzieć co czuje teraz.“ A jednak pomimo tego z własnych jego ust zeznania chciałoby się zapytać czy istotnie ani słowa podczas tego wygnania nie pisał? chciałoby się przypuszczać i wierzyć, że są w jego poezyi rzeczy powstałe pośród tych właśnie smutnych, śniegiem zawianych równin, pośród tych smutniejszych rozwianych w sercu nadziei a jak śniegowe zaspyspiętrzonych tęsknot i żalob, oburzeń i goryczy. Czy naprzykład nie przypadłoby dobrze do Wologdy, do wygnania, do pierwszych lat po przegranej roku 1831 ten wiersz pelen głębokiej żalości: „Placzie tych co nad Fratu plakali strumieniem,“ albo ten drugi pisany z groźbą dla tego co „niepomny ze Bóg pomsty mordowanych słucha,“ a zakończony nadzieją i wiarą, ze „Bóg nięcną potęgę jak ździebło pokruszy.“

Po powrocie z niewoli nastąpił początek nowego zawodu, przesiedlenie się po wielu, wielu

latach do tój Wielkopolski, którą niegdyś młodzień-
niec opuszczał z sercem bijącym nadzieją, na ten
ojczysty zagon, pod ten dach rodzinny, który miał
być schronieniem wszystkich uczuć i wspo-
mnień wyniesionych z przeszłości, a przytulkiem,
podstawą i środkiem jakichkolwiek na przyszłość
widoków. Jeżeli w Dworcu mojego Dziadka
są jakiegokolwiek osobiste wspomnienia Jenerała,
jeżeli zwłaszcza jest wspomnieniem ten w jego
zakończeniu nowy dziedzic wnuk, młody żoł-
nierz Napoleński który do Dworca z nowemi
nadziejami przybywa, to jak gorzko musiało być
po długim wojskowym zawodzie do rodzinnej
wsi powrócić i powtarzać w niej to słowo które
w poemacie starego Dziadka zabija: „Wszystko
stracone!“ Jednak nie wahał się i nie rozrze-
wniał, ale odważnie jak na żołnierza, statecznie
jak na męża dojrzałego przystało, wziął się Je-
nerał już podówczas liczący lat pięćdziesiąt, do
nowej nauki i nowego zawodu, do ratowania
tego co jeszcze straconem nie było, ducha, ho-
noru i ziemi. Ziemi przez gospodarowanie ro-
zumne i rozsądne razem, tamtego dwojga przez

żywe słowo, przez związki z ludźmi, przez własny
przykład tak wymowny i tak budujący, i wreszcie
przez pisma.

Zaczęła się druga płodniejsza, obfitsza po-
lowa jego pisarskiego zawodu. Jak niegdyś
przed rokiem 1830 między Lublinem a War-
szawą, tak odtąd i już do ostatka, toczy się
między Lubonią a Piotrowicami nieustająca ko-
respondencya we wszystkich literackich kwe-
styach i sprawach, a chylący się ku starości
Jenerał pisze więcej jak za młodu. Ale pisze
w tym samym zawsze rodzaju, zostaje na tém
samém stanowisku: ani go tryumfująca roman-
tyczność prądem swoim porwać a od czci da-
wnych wzorów oderwać nie zdołała, ani jój znowu
przesady lub błędy nie skłoniły go do niespra-
wiedliwości, do niechęci, do wyparcia się tego
co w nowszej poezyi podziwiał i kochał. Nie-
szczęściem drobne poezye rzadko kiedy zacho-
wiają swoją metrykę: o większych wie się prawie
zawsze kiedy i pod jakimi wpływami powstały:
ale wierszyk ulotny, nieraz od niechcenia napi-
sany w chwili dobrego humoru lub rzewnej

tęsknoty, ten albo przypadkowo wyjdzie gdzieś wydrukowany, albo czeka żeby z wieloma innymi pomieścić się w jakim tomiku i pomiędzy wieloma ginie, traci swoją odrębność z swoją historią. Cóż dopiero kiedy poeta sam tak mało ma jak Morawski miłości własnej, o zebraniu i wydaniu dzieł swoich na prawdę prawie nie myśli, choć o niem niekiedy mówi: jeżeli wiersze swoje sądzi skromnie i za mało uważa? Wtedy przypadkiem na proźby przyjaciół lub redaktorów, czasem i z własnej ochoty, ogłosi się ten lub ów wierszyk w jakim piśmie periodycznem, ale potomni choć wiersz odszukają, nie zdołają już poznać z jakich on lat pochodzi, do jakich odnosi się początków, wpływów i powodów. Z tego wynika że tym dziś zebrany wierszom Jenerała Morawskiego jak i tym które sam przed laty (1841) wydał, nie można naznaczyć początku, choć niewątpliwie jedne z nich sięgać muszą lat dawniejszych, może młodości autora jeszcze, a inne dochodzić do ostatnich niedługo dni jego życia. Przy Bajkach zwłaszcza taka wiadomość dokładna o czasie ich powsta-

nia byłaby do zrozumienia i ocenienia bardzo pożądaną i przydatną, skoro wiele z nich powstało pod wrażeniem jakiegoś danego faktu, odnosiło się do pewnego oznaczonego stósunku lub człowieka.

A te Bajki to część nie najmniejsza ani nie najlżejsza literackiej Morawskiego spuścizny. Śmiało można twierdzić że należy on do najzręczniejszych w tym rodzaju mistrzów, że z wyjątkiem Krasickiego takiego zbioru bajek nie zostawił nam nikt, a że w naszym wieku kiedy poezya romantyczna rzuciła jakiś dyskredyt na ulubioną klasykom bajkę i wyrzuciła ją z mody, nikt podobno w Europie takich bajek już nie pisał jak Morawski. U nas Krasicki jeden może stoi od niego wyżej a Niemcewicz on znowu przewyższa o wiele dowcipem, wdziękiem, zwłaszcza lekkością i okrągłością formy. Rzadko która jego bajka żeby nie była skończonem małym arcydziełem, i tak rozumną a trafną i łatwą do pojęcia allegorią jak Bajki Krasickiego. Ale jeżeli najbliższym jest jego pod względem artystycznej wartości, to znowu rodzajem bajki podobniejszy jest do Niemcewicza. Bajka Mo-

rawskiego jak bajka Ursyna jest najczęściej polityczną i patryotyczną, z tą różnicą że tamta była prawie zawsze epigramem na pewien szczególny przypadek, fakt lub osobę: ta jest małą satyrą na pewne stałe usposobienia wady lub skłonności narodu. Ztąd tamta nieraz bez klucza zrozumieć się nie da, kiedy tu znaczenie i przystosowanie jest prawie zawsze dla każdego jasnym. Nie trzeba dowodzić że już to samo nadaje niewątpliwą wyższość bajkom Morawskiego. Jakkolwiek bajka jego jest przeważnie polityczną, przecież nie trzeba będzie żeby z wyjątkiem bajka moralna była mu obcą. Uprawiał ją rzadziej, ale nie mniej szczęśliwie: za świadectwo służyć może bajka jedna z najpopularniejszych, bajka klasyczna: „Jaki też to osioł ze mnie.“ Sławniejsza i bardziej rozpowszechniona od innych tego rodzaju, nie jest jedyną dobrą: rywalizuje z nią równie może znany Osioł i Jacek, a mniej znana „Róża i Bębenek“, „Róża i Pokrzywa“ nie wiele jej ustępują.

Bajki polityczne podzielićby można na dwie grupy: jedne wymierzone są do którego z trzech

państw rozbiorowych, drugie do narodu samego, pierwsze są tylko patryotyczne, drugie tendencyjne. Raz będzie to powieść o kacze która polknęła piskorza, ale strawić go nie mogła, więc wzięła się na sposób i rozdarła go na trzy kawały: drugi raz jagnię któremu wilk porwał matkę, prosi wszystkich zwierząt po kolei żeby mu pomogły ratować, przestrzega że własne bezpieczeństwo każe im wilka poskromić: na darmo naturalnie; bajka dziwnie dziś stwierdzona wieloma wypadkami. Sławne „kartofle“ w których złożył Morawski całą żółć nie tylko Polaka ale Wielkopolanina do Prusaków, są może najbardziej rozpowszechnione, Wisła, może najładniejsza z tych bajek.

Druga kategoria obejmująca upomnienia do narodu odnosi się bądź to do wad które w każdym wieku i każdym stanie społeczeństwa się zdarzają, jak np. brak zdania i jego zmienność, próżność, gonitwa za zaszczytami, marnotrawstwo, lub też do wad więcej czasowych, okolicznościowych, jak brak godności i uniżenie przed rządami, egoizm lub podobne. „Sztuka

muślinu“ jest typem tych bajek: żyd sprowadził muślin, który jak się pokazało był cały poplamiony; nie chcąc go stracić wpadł na szczęśliwy pomysł, zahaftował plamy złotymi gwiazdami i tém drożej sprzedał. Przystósowanie jest, „że niejednemu gwiazda na piersi świeci ażeby pokryć plamę.“

Inne znowu, okolicznościowe, zapewne tendencyjne, może chciałby kto nazwać je stronnictwami, bo wymierzone są wyraźnie przeciw tej części, czy emigracyi, czy kraju, która utrzymywała peryodyczne sprzysiężenia i ruchy; przecież choć okolicznościowe, nie są bez ogólnej ludzkiej prawdy wyciągniętej z gruntownej znajomości dziejów i społeczeństwa. Nie jeden może potępi te bajki dla tej tendencji: taki niech sobie przypomni czasy, w których Morawski wyrósł, i te których się doczekał. Żołnierz Napoleoński, jenerał Królestwa i jego obywatel, nie mógł patrzeć z zapalem, ani z ufnością na nieszczęścia roku 1846, ani na nedorzeczności roku 1848. Kto sobie to uprzytomni, ten może zachowa niechęć do jednej lub drugiej bajki,

ale autora pojmie i usprawiedliwi; inny zaś tę tendencyę, tę odwagę i surowość poczyta mu właśnie za zasługę. To pewna, że bajki te są najsurowsze, najostrzejsze. Małpa naprzykład, która pożarem lasów chciała osuszyć morze, las spaliła tak że zwierzęta nie miały się gdzie schronić, ale morzu nie odjęła ani jednej kropli. Łatwo poznać co to za las i zgadnąć sens bajki.

Że takie mniejsze formy były talentowi temu właściwe i przyrodzone, a on do nich stworzony, tego dowodzi nie sama tylko udatność i wdzięk Morawskiego Bajek, Listów, lub wierszy lirycznych, ale dowodzi to także, że przez całe niemal życie innych nie pisał. Dochodził już lat siedmdziesiąt a cały zasób jego własnych pism nie obejmował jeszcze ani jednego poematu, nie coby wymagało kompozyeyi. Były przekłady rzeczy większych, Andromachy i poematów Byrona: ale jego własna wyobraźnia nie stworzyła jeszcze nic, uczucie tylko samo lub dowcip, oburzenie lub miłość, dobry humor lub smutek, dawały mu popęd i natchnienie do wiersza. Ale nie same tylko późne tworzenie,

to co stworzył dowodzi także tego w nim rodzaju talentu, mianowicie jedyny jaki po nim pozostał poemat, Dworzec mojego Dziadka.*)

Gdyby ten był się ukazał gdzieś pomiędzy rokiem 1820 a 1830, mówilibyśmy o nim niezawodnie że szedł przed Panem Tadeuszem jak zorza przed słońcem. Niestety przyszedł po Tadeuszu, i nie jest zorzą ale księżycem.

Że Tadeusz przyczynił się do jego powstania, to zdaje się pewnem. Jenerał nie bardzo, nie dosyć jak świadczą jego listy poznał się na Tadeuszu: ton wydawał mu się zbyt potocznym, prawie niskim, a co dziwniejsza i jego jak niektórych, jak Witwickiego, jak Fredrę, raził mniemany a niesprawiedliwie dopatrzony wyłącznie niby litewski charakter, litewski jakoby

*) Jenerał Morawski wspominał jednak o napisanym przez się większych rozmiarów poemacie p. t. Yella, siostra Skanderbega, który w roku 1831 zaginął, i prawdopodobnie został do Petersburga zabrany wraz z tylu skarżami naszej literatury; żaden fragment owego poematu nie zachował się w rękopisach autora, który dość cenił ową próbę młodego talentu swego.

(Przyp. Wydawcy.)

partykularyzm Tadeusza. Jakim sposobem trzy właśnie umysły tak bystre a serca tak polskie, mogły nie widzieć tego że Tadeusz nie jest ani litewski, ani ruski, ani pruski, ani żmudzki, ani mazowiecki, ale ogólnie, rdzennie, absolutnie polski, to doprawdy pojąć jest trudno, i trudno też zrozumieć Morawskiego, który tym niby prowincjonalnym jego charakterem zrażony, sam przecież wyznaje że „chciał zrobić z życia wielkopolskiego coś takiego jak zrobił Mickiewicz z litewskiego, choć dorównać mu nie myślał.“ Jest więc niezawodnie Dworzec Tadeuszem niejako wywołany: ale nie jest jego naśladowaniem. A kto wie czy nie szkoda że tem nie jest; czy Morawski gdyby był się lepiej wpatrzył w doskonałość tamtego nie byłby uniknął znacznych błędów w układzie i proporcji swego dzieła. Główną bowiem wadą poematu jest to, że istotnie jest on przedewszystkiem opisem Dworca, że Dziadunio i jego historia bardzo piękna, bogata w rzeczywisty i wdzięczny materiał poetyczny, są nieledwie dodatkiem lub pretekstem do Dworca.

Kiedy Jenerał napisał Wizytę w Sąsiedztwo, rodzajowy ten obrazek udał mu się świetnie. Pan Wojski z magnifiką, ich stangret i hajduk, ich kolaska i konie, ich postawy i stroje, stoją w oczach jak żywe, jak do malowania, i choć nie robią nic, zajeżdżają tylko do sąsiada i na tem rzecz się kończy, jest w nich zasób niepospolity plastyczności i życia. Dziadek od nich nierównie więcej zajmujący, sympatyczny całem swoim życiem, bohaterski w niektórych jego chwilach, Dziadek, rzecz dziwna, nie ma tyle życia co owa nieznana bliżej i nie działająca stara polska para. Czy może miał Jenerał dość fantazyi na to żeby wiernie i żywo nakreślić postacie które z przeszłości znał i pamiętał, ale kiedy przyszło postacie te wprowadzić w ruch, pokazać je w działaniu, w pragnieniu, w cierpieniu, siły mu zabrakło? Bywają czasem u poetów takie wyobraźnie zdolne dobrze coś z pamięci lub opowiadania opisać, nie zdolne począć i wydać z siebie poetycznej akcji i postaci swoich w tej akcji sobie i drugim żywo wystawić. Ten rodzaj fantazyi miał

Pol na przykład. Jakkolwiek bładź, w Dworcu treść jest piękniejsza od wykonania. Sytuacye najwdzięczniejsze, wieść o rozbiorze, zajście z Niemcem, więzienie, śmierć Dziadunia, wszystko to zbyt jest krótko, nie jest opisane, nie jest nawet opowiedziane, jest tylko powiedziane że było: a tym czasem połowę poematu zabiera opis dworca, każdego w tem dworcu pokoju, każdego sprzętu, każdego domownika, sługi, sąsiada. Powieść doszła już do połowy, kiedy nareszcie zjawił się goniec z Warszawy, i zaczęła się akcyja. Z tych tak licznych i długich opisów wynika, że poeta materyalnie nie miał miejsca ani czasu na opisowe, plastyczne przedstawienie ludzi i scen. Ale wdzięku, szlachetnego i sympatycznego uczucia, staropolskiego kolorytu, powietrza (jeżeli się tak wyrazić wolno) niepodległej Rzeczypospolitej jest tam tyle, że Dworzec zostanie zawsze miłym i czcigodnym obrazem. A gdyby był się ukazał wcześniej, przed rokiem 1820 na przykład, byłby zrobił ogromne wrażenie i miałby w literaturze ogromne znaczenie, większe niewątpliwie niż Bro-

dzińskiego Wiesław od którego ma nierównie więcej i prawdziwej polskości i prawdziwej poezyi.

Tłómaczenia z Byrona (wydane razem w r. 1853), to świadectwo i owoc tego uwielbienia dla angielskiego poety, z którym dawniej przed rokiem 1830, Morawski nie bardzo śmiał się odzywać. Są one bardzo piękne, bardzo wierne, a przytem wykonane z taką swobodą z jaką tylko poeci tłómaczą: poezya która w przekładach tak często znika, w tych została, a jeżeli nie stoją one na zupełnej równi z oryginałem jak Giaur, to niezawodnie należą do szczęśliwszych przekładów Byrona w Europie. Czytelnik polski może przez nie uważać Byrona za swego, jak swego go czytać i znać. Szkoda tylko, i dziwna jest, że ze wszystkich poematów Byrona, Morawski wybrał do tłómaczenia te właśnie, które tłómaczył. Co do Manfreda, rzecz naturalna: choć on nie jest tym bliźnim bratem Fausta, za który go mieli współcześni i sam Morawski może, jest jednym z najcharakterystyczniejszych dzieł swego autora, jednym z tych

które go najlepiej dają poznać: tłómacz i wielbiciel Byrona pominąć go nie mógł. Z powieści, nie mógł Morawski tłómaczyć Giaura, a nie potrzebował tłómaczyć Korsarza, ale dla czego pomiął Kaina, który tłómaczony nie jest? Z nudów tłómaczył z pamięci Parisinę, kiedy raz na wsi na Wołyniu nie miał żadnych książek, ani zajęcia. Ale dla czego mając wybór nie wziął trzeciej pieśni Harolda, a zwłaszcza choćby jednej tylko pieśni Don Juana, a tłómaczył Mazepę i Obleżenie Koryntu? Szkoda: bardzo dobrze jest mieć to wszystko w polskich przekładach, ale nie mając całego Byrona po polsku, byłoby lepiej zacząć od tego co w nim najpiękniejsze, a Obleżenie Koryntu odłożyć na ostatek: zwłaszcza że tłómacz dowiódł dostatecznie, że mógł podolać zadaniu, i Kain lub Harold w jego przekładzie byłby wyglądał bardzo pięknie. Wielka wdzięczność należy mu się za to, że przełożył jeden z brylantów poezyi Byrona, Więźnia z Chillonu, i tego może ze wszystkich poematów najszcześliwiej. Jak umie dochodzić oryginału w rzewności, przykład dać może ustęp

VII z Więźnia, a jak znowu dochodzi go energią i obrazowością, dowodzi opis Alpa (XII), i odrażający wprawdzie ale niezmiernie wyrazisty i jaskrawy obraz psów gryzących ciała poległych w Obleżeniu Koryntu. (XVI)

Pięknie mówi gdzieś Słowacki, że w zmarłych ludziach „wielkie serce i wielką duszę miłuje jak własne.“ Ale ta cześć i miłość należy się nie dawniejszym tylko, nie tylko tym których w odległości czasu poezya już ozłociła swoim blaskiem, towarzyszą Żółkiewskiego lub Czarnieckiego, Sobieskiego lub Kościuszki, ale i tym bliższym których znaleźliśmy sami, pod których rośliśmy oczyma, a których postacie i żywoty tak znamy z własnej pamięci lub z podania, że są dla nas rzeczywistością, ledwo że minioną wczorajszą przeszłością. To pokolenie, które przyszło na świat pod czarną gwiazdą rozbiorów, a żyło, działało, stanowiło Polskę w początkach naszego wieku, za Napoleona i za Królestwa Kongresowego, miało także swoje „wielkie serca i wielkie dusze,“ swoje umysły i zasługi niepospolite, swoje enoty

i swój właściwy urok, a z wyjątkiem napoleońskiego żołnierza który do sere i do wyobraźni zawsze przemawiał, nie było tak zrozumianem i cenionem, tak dobrze i serdecznie wspomnianem, jak mu się to słusznie należy. Wszelką zatem oznakę zwracającego się ku tym ludziom i czasom uszanowania i przywiązania, witać trzeba jako dobry znak sprawiedliwego i rozumnego w nas dzisiejszych usposobienia. Rozszerza sobie widnokrąg myśli społeczeństwo, które każdy okres czasu wyrozumieć, każdego myśl, dążność, zasługę, poznać i ocenić umie, rozszerza sobie serce kiedy w każdym okresie szlachetnych i dobrych widząc, łączy się z nimi czią, przywiązaniem, zgodą w dobrych uczuciach; rozszerza wreszcie ściany swojego „narodowego pamiątek kościoła“ kiedy każdemu z zasłużonych, każdemu z tych co „pocziwój sławie służyli“ przeznaczy miejsce zdolności i zasłudze jego odpowiednie. Jenerał Morawski nie potrzebuje kołatać do drzwi tego kościoła, w którym mu nikt nigdy miejsca nie wzbraniał: ale miejsce to ubezpieczonem, zapewnionem będzie na zawsze przez niniejsze pism

jego zupełne wydanie. Nie był on jednym z najpotężniejszych u nas talentów poetycznych, ale jak usposobieniem i naturą talentu i charakteru był jednym z najbardziej harmonijnych, najmilszych między Polakami, tak życie miał takie o jakimby każdy marzył. Co może być piękniejszego, dla Polaka zwłaszcza, i w naszym wieku, jak być żołnierzem, poetą i rolnikiem razem: bić się świetnie, odznaczyć się zdolnością i odwagą, dojść do wysokich stopni wojskowych, na starość być przykładem obywatelskiej pracy i zasługi, a zawsze, za młodu czy na starość, w obozie, czy w Dworcu dziadkowym, żyć w szlachetnem towarzystwie muz, być człowiekiem tak wykwiintnie wykształconym jak tylko pozwala na to epoka, pisać, i pisać bardzo pięknie, i wieniec dębowy za młodu, później ten wieniec z kłosów który zniwiarki przynoszą gospodarzowi, przeplatać liściem poświęconym Apollinowi. Morawski nie może w naszym wieku takiego mieć w literaturze znaczenia, jak miał kiedyś Kochanowski: nie jest ani najwyższym, ani jedynym w swojej epoce jak tamten. Ale poniekąd podobny do

niego w swoich rozmiarach usposobieniem i pewnymi przymiotami swego talentu, podobny jest i życiem ziemianina poety, a jak Czarnylas tamtego, tak jego Lubonia żyć powinna wieki w ludzkiej pamięci i strzeżoną być jak skarb, jak relikwia, po jednym z najlepszych wśród świetnego, rozumnego, zasłużonego, a często bohaterckiego pokolenia. A od tamtego niższy talentem i znaczeniem, żywot miał piękniejszy, zupełniejszy, szczęśliwszy, bo Kochanowski nie był nigdy żołnierzem.

Stanisław Jarnowski.

III.

DWORZEC MEGO DZIADKA.

Difficile est proprie communia dicere.

HOR.

KAJETANOWI KOŹMIANOWI

Z WDZIĘCZNOŚCIĄ

ZA TYLOLETNIĄ PRZYJAŹŃ

PRZYPISUJE

AUTOR.

DWORZEC MEGO DZIADKA.

Szcześliwy, kto pamięta, jak w dziecinnych latach
Igrał jeszcze po cichych Dziadunia komnatach;
Kto pomni, jak tam skakał, nad książeczką śleczą,
Gonił się z starym sługą, przy paciorku kłęczał;
Jak przysmaczki Babuni wyjadał ukradkiem,
Łacińskie lokucye wertował przed Dziadkiem;
Dziwił się owocnym mężom, ucztom, strojom,
Wąsatych się wojaków przysłuchiwał bojom;
I sam pewien, że z wrogiem stacza bitwę wielką,
Z drewnianego konika wywijał szabelką.
Ileżkroć on dumając nad sobą, nad braćmi,
Gdy mu łaża tak bolesna świat i przyszłość zaćmi;
Zwraca się rzewną myślą w ową lat swych zorzę,
Całą duszą, pamięcią w starym błąka dworze;
I tak dziecinne serca powtarzając bicia,
Słońcem ranku rozjaśnia chmurny wieczór życia.

Nie poczesnym był z kształtu dworzec mego Dziadka,
W którym niegdys się zrodził, dożył dni ostatka;
A który, jak to z jego słyszałem rozmowy,
Stawiał jego pradziadek, Sędzia kapturowy.
Dworzec ten stał na wzgórk, skromny i drewniany,
Dach wielki, okna wązkie, zaszłe w ziemię ściany;
Dzielił się na dwie części, ciągiem sieni długiej,
Z jednej strony mieszkanie, czeladnica z drugiej.
Nigdy tam ni przed domem, ni w skromnych komnatach,
Rojna służba w barwistych nie snuła się szatach;
Jeden sługa na wszystko, Stach zwiny, przezorny,
Hajduk, strzelec, ogrodnik i kucharz nadworny.

Na przodzie przed wystawką stał kasztan stuletni,
Gdzie się stary Jegomość chronił w upał letni,
Gdzie mawiał swój różaniec, dawne czasy marzył,
I dusząc buteleczkę, z swym proboszczem gwarzył.
Z wszystkich on miejsc najbardziej lubił to ustronie;
Z tamąd widział swe łąny, lasy, łąki, błonie;
Tam go zawsze z południa sen ujmował słodki,
Wieczorem mu dzwoniące przeciągały trzodki.
Tam się z wieńca lip bieleł ów kościół daleki,
Gdzie po znojach doczesnych miał spocząć na wieki;
Tam ledwie jadącego gościa dojrzeć zdołał,
Jużci krzyczał na Stacha i o węgry wołał;
Tam wręście widział zdala liczne chłopców roje,
Jak na środku wsi Barskie udawały boje,
Jak kij walczył z pretami, a kół z gromem bicza,
I jak zawsze Puławski wytrzepał Drewicza.

Patrząc on na te zwawe młodych lat wyskoki,
I śmiał się do rozpuku i trzymał za boki,
A dzielnego do siebie przyzwawszy wojaka,
Klepał go po ramieniu i wścibiał groszaka.

Lecz niemniej i wnątrz domu był dla niego drogi,
Pobożność zacne jego otaczała progi,
Stały na drzwiach skreślone *Trzech Królów* imiona,
Przy wejściu w drobną czarce woda poświęcona,
W której zawsze Dziadunio swój paluszek maczał,
I jak dobry katolik krzyżem się oznaczał.
Miała przecież i ziemskość tam ozdoby swoje;
Zwykłe sień staropolskich zaszczyty i stroje,
Ciągnęły się ordynkiem po ścianach wiszące
Cietrzewie, kuropatwy, dubelty, zające,
I te lisy licznemi powalone łowy,
Przyszłe kurty, bekiesze i kaptur zimowy.
Najwyżej jednak wisiał ów wieniec zniwiarzy,
Którym lud nasz corocznie panów swoich darzy,
Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie,
Zdaje się w starój Piasta pysznić się koronie;
A lud z siebie wybranym dumny przodownikiem,
Szerokim wybór jego rozgłasza okrzykiem.

Z wszystkich izb tam najdłuższa i razem najszersza
Była izba jadalna z rzędu komnat pięrsza,
Sarmackiej gościnności państwo niezmierzone,
Nieprzełomnym z Węgrami sojuszem złączone.

Stał na jego granicy kredens, gmach drewniany,
W czasach pono pradziadka już antykiem zwany.
Lśniły się za szkłem jego dwa srebrne puchary,
Staremi mnogich królów obite talary;
A jak gdy po nad miejskie niezliczone dachy
Wznoszą się wież gotyckich niebotyczne gmachy,
Tak nad drobnych szkieł tłumem w różne rznięte wzory,
Odęte starą pychą sterczały potwory:
Syndyk się tam z *Naparstkiem* o miarę certował,
A *Corda fidelium* nad wszystkie górował;
Pysznił się, że sam Cześniak przed nim z strachu zmykał,
A zwałił Chorążego, choć jak beczka łykał.
Przy ścianie, gdzie stał z wieków ów kredens niezmierny,
Jako ciągły przybocznik, stróż i służka wierny,
Odwieczny wszędzie jeniec jadalnej komnaty,
Kłęczał pod prassą serwet muzułman wąsaty;
Zdał on się na swój głowie haracz nam przynosić,
I za Chocim i Wiedeń przebaczenia prosić.
Zeszły wiek w nim podziwiał rzadki utwór sztuki,
A Dziaduś nim hałaśne zwykle straszyl wnuki.

Piec wielki, piec ogromny stał z przeciwnéj strony,
Kafkaném Sobieskiego popiersiem zwieńczony,
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały,
Paszczą swoją polykał drzewa sążeń cały,
I w którym, jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradli złodzieje.
Stykał się z nim rozległéj, równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;

Gorząc wzajem tak w dziennéj jak i w nocnéj dobie,
Ciągłym żarem affektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczyt smolnych całe kopy walił,
Huczał ogień, i Dziaduś przy nim turka palił;
A gdy czasem przez istne dopuszczenie boże
Ciężka go jaka niemoc rzuciła o łoże,
Stach przy ogniu z różańcem noce przesiadywał,
Modlił się, ziewał, drzymał, i drzymając kiwał.

Całą izbę zajmował stół wielki, dębowy,
Pięć się kłoców do jego składało budowy;
Ileż on uczt podzwigał, ile straw, gąsiorów,
Ile związał przyjaźni, ile zgodził sporów;
Trzeźwo się tam i w sposób zmaiwano uprzejmy,
O sądy, o wybory, projekta na sejmy;
Północna czasem w sporze wybiła godzina,
A nikt ust swych nie zwilżył nawet kroplą wina,
Lecz gdy wszystko na zgodnym skończyło się spisie,
A gospodarz wzniośl owe sławne *kochajmy się!*
Nikt się tam od kielicha wysłiznać nie zdołał,
Próżno wzniośl go do góry i o litość wołał;
Niczém ni Pan, ni sługa zbłagać się nie dali,
Przez głowę mu, przez ramię strugi wegira lali,
A gdy widząc, że próżno dąsał się i bronił,
I nagle go usunął i aż pod stół schronił,
Już tam zradny kozaczek, osadzony z cicha,
Czekał go z nową flachą, i dołał kielicha.

Tak iż wzięty w dwa ognie i ten szturm pijaczy,
Wzmógł się — kielich przeżegnał — i wypił z rozpaczy.

Patrzyły na te uczy i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyzłacanych dziarskie antenaty,
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs, groźnym ciskał wzrokiem;
Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się stare ojczyzny wyobrazać zdrowie,
I być jeszcze z tych dębów, o których rdzeń twardy
Szwedzkiego się Gustawa łamał oręż hardy;
A gdy nagle w Tyszowskim zaszumiały borze,
Cały gad się rozproszył i uciekł za morze. —
Wisiały tuż przy przodkach i zacne matrony,
Pozgonną nawet wiarą nieodstępne żony;
Tamta w lśniących bławatach jak Juno dostojna,
Ta zaś czepcem i drogim naszyjnikiem strojna:
Każda tkliwą do męża zwrócona twarzączką,
Jedna z wonną balsamką, a druga z różyczką.

Ileżkróć mój Dziadunio wzrok wiodąc po ścianie,
Patrzył się na te przodki, wdychał patrząc na nie;
Czasem łza mu wytrysła, i znów w krótkiej dobie
Śmiał się, Pana Rafała przypomniawszy sobie,
Co gdy pierwszy raz swoje przodki porozwieszał,
Wszystkie nazwy, urzędy i herby pomieszał,
I pozeńił jakimś pogrobowym ślubem,
Piotra z żoną Jakuba, a tamtę z Jakubem;

Nie mógł on tak grubego darować mu grzechu,
I zawsze mówiąc o tém, splotał się od śmiechu.

Lecz wszystkie te pomniki i warowne sprzęty
Gasił potwór, przez cały pułap przeciągnięty.
Odwiecznych może borów pierwsza rodzicielka,
Niezmierzonego dębu jednorodna belka,
Poteźna córa puszczy, król Piastowych lasów,
Łom arki, co przepłynął cały potop czasów.
Zdało się, że nie ludzkie go tam ręce wzbily,
Że trza było téj strasznej, téj wszechmocnej siły,
Która światy przerzuca i hamuje burze,
Aby wznieść taki ogrom i utwierdzić w górze.
Belka ta liczne włości przeżywszy dziedzice,
Miała jedną z kart ważnych w domowej kronice,
Na jej boku wryty rok stawiania dworu,
Był rokiem straszliwego w ojczyźnie pomoru;
A kiedy pierwszy Moskał wszedł w Dziadka podwoje,
Z strasznym hukła łoskotem i pękła na dwoje.
Pod nią chłystki szlacheckie na kobiercach bito,
Pod nią duch się pokazał, i Szweda zabito.
Nigdy też dobry Dziaduś, znany z ostrożności,
Ni sam pod nią siadywał, ni umieszczał gości;
O szeląg on się nawet pod nią nie założył,
Na niczém nie podpisał, listu nie otworzył,
Zważał nawet, że gdy kto kłął się na szatana,
Zachłysnął przy kielichu, ograł w kasztelana,
Lub się wyrwał niebacznie i głupstwo powiedział,
Zawsze się pokazało, że pod belką siedział.

W takiej to izbie dawni grzmieli biesiadnicy,
Jakby w giełdzie sąsiedztwa, forum okolicy:
Nie raz się do niej wtłaczał szlachty powiat cały,
A głośne stypy, gaudy, dni i noce wrzały.
Gdy wtém nagle — cud rzadki! — jakby wymiottił gości,
Dziaduś udał potrzebę spocznienia starości,
I przez wielką estymę dla staruszka chęci,
Nikt do niego od dawniej nie zajrzał pamięci.
Głuchosć więc, jakby w skutku morowej zagłady,
Jakby wszystkie *ad patres* już poszły sąsiady.
Dziaduś zbierał grosiwo, i samotnie siedział,
Coś on niby zamyślał — lecz co — nikt nie wiedział;
Ta oszczędność jednakże nie skąpca, nie sknery,
Zdawała się Stachowi nie być bez kozery.
Jak ów dąb, co na zimę w głąb swe ściąga soki,
By większém z wiosną życiem wystrzelić w obłoki,
Tak i Dziaduś przed czemsiś wielkiém wypoczywa,
Aż wreście wyszła prawda, jak na wierzch oliwa.
Z dziewczką się Chorążego zacny młodzian żeni;
Prawa krew, dobre *mores*, i grosik w kieszeni.
Najlepszą wioskę z działu wziął on bez ochyby,
Bo to mąka i łąka, i ryby i grzyby;
Nie jest i bez sperandy, bo ma księdza w rodzie;
Sam stryj tysiąc czerwieńców zapisał mu w grodzie:
Wreście prawnik nielada, i chwata na pałasze,
A więc nie da nikomu dmuchać sobie w kaszę.

Lecz ona — ona zwłaszcza — poczciwa Ewunia,
Drugie serce wyjęte z pod serca Dziadunia;

Nie mógłby czuliej kochać swęj własnej dzieciny,
Córa bliżkiej krewniaczki, córa Chorążyny,
Bogdanki jego serca w czasach jęj panięństwa,
Któręj musiał się wyrzec — musiał z posłuszeństwa
Świętym prawom kościoła. Próżno na gwałt dzwonił,
Do Rzymu nawet stukał, Rzym słuów zabronił.
Kamieńby się był wzruszył nad jego rozpaczą;
Matki tylko takimi łzami dzieci płaczą,
Jak on po swęj bogdance. Dni i noce szlochał,
Bo raz ją pokochawszy, *in aeternum* kochał.
Nie wiedział co ma począc z tęj tak ciężkiej rany,
Chciał umrzeć kawalerem, chciał pójść na pogany,
Chciał zostać Bernardynem. Próżno Chorążyna
Prosi, błaga, przekłada, na niebo zaklina,
Radzi codzięń odmawiać *Pod Twoję obronę*,
A zwolna mu Sędziankę podsuwa na żonę;
Skoczył Dziaduś, jak gdyby sparzony ukropem,
I całym skarg, wyrzutów oblał ją potopem;
Lecz czegoż dobry anioł swym słodkim wyrazem
Nie zgoi, nie złagodzi, z nami płacząc razem;
Ożenił się Dziadunio: lecz choć się ożenił
Ani z myśli jej wydarł, ani serca zmienił;
Żył on, jak Bóg przykazał z Sędzianką uczciwie,
Nie raz nawet myślała, że ją kochał tkliwie;
Szanował ją jak żonę, krew zacnej rodziny,
Ale zwłaszcza jak wybór i dar Chorążyny.

Zmarła mu, zmarła wkrótce, i z łzami ją chował,
Nie wiedząc, że mu sroższy piorun los gotował;

Zgasła po niej i druga! — właśnie kończył żniwa,
 Gdy go z czarną pieczęcią doszła wieść straszliwa;
 Trzykroć omdlał, a choć się na chwilę pokrzepił,
 Na trzy dni zaniemówił, nie spał, nie jadł, nie pił,
 Błakał się i rozpaczał, i morze łez wylał,
 Przecież zwolna, stopniowo, Bogiem się zasiłał.
 Chcąc pozgonném jój nawet szczęściem być szczęśliwy,
 Krocie mszy pozamawiał i cztery wotywy;
 Całą noc przed pogrzebem przy jój klęczał marach,
 Dzwonić kazał po wszystkich klasztorach i farach,
 Śpiewając litanie, lub psalm Dawidowy,
 Po dwakroć za jój duszę szedł do Częstochowy;
 Modlił się, darzył nędzę, i jak martwym głazem,
 Leżał krzyżem przed świętym Maryi obrazem;
 Zawiesił na nim wotum, serce złotolite,
 Z cierniem w koło i siedmiu mieczami przebite;
 I tak długo jój płakał, i wzdychał boleśnie,
 Aż mu się jednej nocy objawiła we śnie;
 Jasność ją otaczała, a choć twardo śpiący,
 Słyszał, jakby na jawie, głos jój dziękujący.
 Odtąd dopiero czoło rozjaśnił ponure,
 Wszelki affekt dla matki na jój przeniósł córę,
 I ztąd teraz nie tylko chce jój błogosławić,
 Ale takie jój nawet wesele wyprawić,
 By je *fama* po świecie rozniosła daleka,
 I jedynie ptasiego na niem brakło mleka.

Rada więc, walna rada wśród dziadka komnaty,
 Woła Podstarościę, przyzywa Agaty;

Wchodzi zwinna gosposia, raczej jak wiatr leci,
 Hoża, tłusta, fertyczna i nakształt Waszeci;
 Najlepsze ona w świecie wymyśla przekąski,
 Nikt, jak ona nie tuczy, ni świński, ni gąski,
 Po całej okolicy z swych gomulek głośna,
 Ależ za to mruk ciągły i zręda nieznośna;
 Lata, łaje i gdyra po każdej ustroni,
 Jak domowy grzechotnik, pękiem kluczów dzwoni;
 Miła przecież Dziadkowi, bo sprawna i skrzętna,
 A nad wszystko o jego czeladce pamiętna;
 Leczy mu chorych po wsi, nie cierpi sromoty,
 Jak gdyby oka w głowie, strzeże dziewcząt cnoty;
 Stacha nawet, gdy do niej koperczaki zwróci,
 Wypchnie za drzwi i jeszcze za drzwiami wymłóci.
 Z nią więc pierwsza rozmowa, z nią najwyższa rada,
 Co jeszcze ma w spiżarni, co kupić wypada;
 Przyrzeka nową szatę, lecz za dar łaskawy,
 Najbardziej jój poleca śmietankę do kawy,
 Mnóstwo przysmak, konfektów, placki niezakalne,
 A zwłaszcza owe baby, baby kapitalne,
 Które pewno ksiądz Kustosz aż dotąd pamięta,
 Bo odjeść ich się nie mógł w wielkanocne święta.

Miał jeszcze mówić Dziaduś, i polecić wiele,
 Ta już trzepie i trzepie, i jak wiatrak miele;
 Szczęściem, że Podstarości przerwał jój gadanie,
 Wchodzi w rękę z batogiem, kurtą na żupanie,
 Pas z klamrą, wąs sumiasty, już siwy w polowie,
 I czerep na golonęj bielący się głowie.

Sześćdziesiąta już wieku przyciska go zima,
 Lecz służył w rajtaryi, i prosto się trzyma,
 Ztąd to przy gęstój minie i wojackiej dumie,
 I słuchać i wypełniać i rozkazać umie.
 Z każdym słowem się kornie do nóg pańskich chyli,
 A choć wciąż się w rachunkach i omlotach myli,
 Wiecznie się po sąsiedztwie chwali i wysławia
 I choć pustki w stodole, w polu brogi stawia.
 Drwi z książki, drwi z niemieczyny, na nowość się jeży,
 A jak w duszne zbawienie, tak w kalendarz wierzy;
 Nabożny, zna kantyczki, wie, co wąż i Ewa,
 Suszy piątki, na summach z organistą śpiewa;
 A gdy ksiądz na spowiedzi burę mu wypali,
 Słychać w całym kościele, jak łbem w ziemię wali.
 Ma on swoje słabości, znają je we dworze,
 Zapachom przepalanki oprzeć się nie może,
 Lubi zwłaszcza jarmarczki, — lecz któż bez przywary,
 A Dziaduś na grzech cudzy patrzy się przez szpary,
 Teraz nawet, gdy nie źle podciętym się stawia,
 Z łagodnością mu swoje rozkazy objawia,
 Jak ma wszystko urządzić, jak wino sprowadzić,
 Z Stachem ściągnąć gąsioriki, o stajniach zaradzić,
 Rozmieścić wszystkich podług godności, starszeństwa,
 Młodzianków po stodołach, po chatach małżeństwa;
 Dwóch księży u Proboszcza, — a co zjedzie potem,
 Niech na słomie i sianie wyśpi się pokotem;
 Wszystko zwłaszcza od serca dawać bez odwłoki,
 Wszystkim jadła po uszy, i wszystkim obroki,
 Aby gwoli polskiemu działa się przyjęciu,
 I dobrze było panu, słudze i bydłociu.

Skończył Dziaduś, wstał z krzesła znużony rozmową,
 Kiedy nagle przypomniał starą Regentową;
 Nie chce on jój zapraszać na ten szlub Ewuni,
 Bliska wprawdzie sąsiadka i krewna Babuni,
 Lecz za to jakieś *quanquam*, baba samiec, jędba,
 Nie dość, że w rok po trzykroć swą czeladź rozpedza,
 Jeszcze w wiecznej z Proboszczem i dworami zwadzie,
 Wciąż się wdziera w granice, a wciąż pozwy kładzie;
 Jak od dżumy tak od niej palestra ucieka,
 I ztąd sama po sądach, trybunałach szczeka;
Quondam ona, jak nie raz Stach nam o tém gwarzył,
 Szalała za Chorążym, choć o niej nie marzył;
 I ztąd od pierwszej jego zaślubin godziny,
 Nie mogła i nie mogła cierpieć Chorążyny;
 Gryzła ją do żywego i przez wszystkie środki,
 Jakieś dziwne domysły, podejrzenia, plotki,
 Chciała na śmierć pokłócić jój małżonka z Dziadkiem,
 Ale że Bóg najlepszym niewinności świadkiem,
 A Chorąży nie głupi, aby jędzy wierzył,
 Kłamstwo! krzyknął, i trzykroć pięścią w stół uderzył;
 Ksiądz zaś Proboszcz weredyk wpadłszy na złośnicę,
 Porządną kapitułę wytarł Magnifice.
 Wiecznie przecież na okół nowe bajdy siała,
 Wszystkie w świecie amory na palcach wiedziała,
 Kłóciła, kojarzyła wiejskie, miejskie stadła;
 Niegdyś nawet samemu Dziadkowi dojadła,
 Bo chociaż z grubą jeszcze po żonie żałobą,
 Chciała żenić z wszystkimi, a nakoniec z sobą.

Dumał właśnie, i marzył owe dawne czasy,
 Kiedy nagle przed dworcem jakiś zgiełk, hałas;
 Zachodzi wóz potężny, trąbią jak na łowy,
 I z pokłonem mu wnoszą list od Regentowój.
 Zdumiał się, otwarł, czyta, a to istne dziwy!
 Czy jój djabeł podszeptął? czy téż cud prawdziwy?
 Nikomu o tém słowa ani pisał wprzody,
 A przecież przewąchnęła te weselne gody;
 Zręcznie o nich, o sobie w liście napomyka,
 I przesyła wraz z sarną ogromnego dzika.
 Poci się, chodzi Dziaduś i pociera czoła,
 Gdy nagle, „słuchaj Stachu!“ tak na służę woła:
 „Wiesz, że pan twój jest Piotrem, a Pawłem Chorąży,
 „I jutro tam na stypę cały powiat dąży;
 „Jeszcze nigdy bez niego Pawła nie zakończył,
 „Sam Bóg nas w kalendarzu w jednym dniu połączył,
 „Trzeba więc kornie z świętym godzić się nakazem,
 „Uściskać się, i wspólne zdrowie wypić razem;
 „A że przytém i nasze zbliża się wesele,
 „Muszą się więc naradzić starzy przyjaciele,
 „Jak wszystko do Ewuni gustu przysposobić,
 „Zwłaszcza rozstrzydz ten *casus*, co z tą babą zrobić!“
 I nazajutrz, gdy ledwie błysnie brzask na niebie,
 Już Dziaduś ze mszy świętej pospiesza do siebie;
 Już i Jasiiek dzielnemi pędząc kasztankami,
 Rusza z starą karocą i stawa przed drzwiami.
 Nieważniejszy od dworca gmach ów znamienity,
 Zewnątrz niegdyś szkarłatny, a wewnątrz wybity
 Felpą żółto-gorącą, z mnóstwem taśm, kutasów,
 Wznosi się w starój pysze Batorowych czasów;

Gęsto się w gwóźdź mosiężny brzegi pudła stroją,
 Groźne gryfły na straży drzwiczek z kordem stoją,
 A na tryumf téj wzniosłej i dziwnej struktury,
 Sześć sfinksów wyłaczanych świeci się u góry.
 Raz tylko w rok nim jadą w gwałtownej potrzebie,
 Tak go Jasiiek przeklina za konie i siebie,
 Ogłuchł prawie od jego turkotu i stuku,
 Bo gdy bębni po moście, lub huczy po bruku,
 Jakby na szturm tatarski, lub grzmiącą nawałę,
 Zrywają się wśród nocy ze snu miasta całe.
 Stach się kręci i spieszenie gotuje do drogi,
 Stawia kufer pod kozłem, puzderko pod nogi;
 Od przypadku oś nową wiąże obok drąga,
 I stęka pod tłómokiem i powrozem ściąga,
 Szasta się, zwija, lata — śmieją się przytomni,
 Bo zawsze coś zostawi, lub czegoś zapomni;
 A tymczasem Dziadunio wciąż szepce Agacie,
 Chce by wszystko w sypialnej przemienić komnacie;
 Młode tam bowiem państwo umieścić zamierza,
 A siebie z swemi graty przenieść do alkierza.
 Jak to? krzyknie Agata, i dodaje z cicha,
 A wszakże tam noc każdą coś jęczy i wzdycha;
 Bajdy! Dziaduś odpowie — czy straszy, czy kusi,
 Zakupię mszę duchowi, i cicho być musi.
 To rzekłszy, zjadł kielbasę i wódeczki popił,
 Dotknął wody święconej, i czoło pokropił,
 Ożegnał wszystkie kąty, gumna i podwórze,
 I zażywszy tabaczkę, ruszył w imię Boże.

Nie minął jeszcze karczmy, i jeszcze ciekawsi
 Za tętniącym ogromem patrzyli się na wsi;
 Gdy już zwinna klucznica z kąta w kąt przelata,
 W oznaczonej komnacie ściera, myje, zmiata,
 Porusza stare sprzęty, przenosi, ustawia,
 I zawsze niby kończy, a zawsze poprawia.
 Przykro było zapewne dla pocziwój sługi,
 Psuć i burzyć, co zdawna czas uświęcił długi,
 Nikt przez tyle pokoleń nic tam nie przemieniał,
 Zdało się, że ów stary porządek skamieniał;
 Ach! wszystko tu pamiątką, ten kord, ta rusznica,
 I ten zegar z kurantem, i owa gromnica,
 Z palmą, wiankiem święconym wisząca u ściany,
 A zwłaszcza ów kantorek dziwnie wyrabiany,
 Chocimskich jaszcze może czasów zacny świadek,
 I jak Dziaduś swych wnucząt, tak on sprzętów dziadek,
 Przy nim on od czterdziestu lat zwykle siadywał,
 Na nim pił swe śniadanko, marysza grywał,
 Od niego on się zerwał, gdy zagrzmiało w chmurze,
 By dzwonkiem loretańskim porozpędzać burze;
 W ten kątek zawsze spraszał w bliskości kominka,
 Do skrytszój pogadanki i starszego winka;
 Tam żyd karczmarz, nim winę raczył mu darować,
 Musiał wprzód przed tym krzyżem ziemię ucałować,
 I zbrodnią najczarniejszą obrażone Bóstwo
 Z rzewną skruchą za całe przeprosić żydostwo.
 Tu nakoniec ilekroć z poblizkiej wioszczyny,
 Sąsiad Niemiec do Dziadka przybył w odwiedziny,
 Poił go, ścisnął, zęgnął, przed dom odprowadził,
 A potem izbę mirrą po lutrze wykadził.

Ale gdy tak klucznicę owe rzewnią wzmianki,
 Już potężną część drogi ubiegły kasztanki;
 Groźny antyk po twardej ciągle dudniąc ziemi,
 Jakby baszta ruchoma toczy się za niemi.
 Na przodzie kum przy kumie, Stach przy Jašku siedzi,
 Na jednym obaj koźle odwieczni sąsiedzi,
 Jednogodnie o blizkim już kiermaszu gwarzą,
 Częstują się z dwóch różków, na szynkarzę skarżą.
 A czy się pojazd zwiesi, czy też spotka z głazem,
 I razem się przechylą i podskoczą razem.
 Siedzi równie i Dziaduś w swém pudle zamknięty,
 Jakby Jonasz przez potwór morskich wód połknięty:
 Przemijanych on wiosek różne marzy sprawy,
 Cessye, kompromissy, widerki, zastawy,
 Świętém słowem przechodniów pozdrowia co chwila,
 Przed każdą bożą męką czapeczki uchyla
 To znów mruczy paciorek, to przy cichszym głosie
 Na wpół drzymiąc, z muchami wojuje po nosie.

Ciekawy on jest, jakie tam zastanie goście,
 I poważne subjekta i strojne Jójmoście.
 Kogo z posłów, z palestry, z starych przyjacieli,
 I z krewnych Chorążego, po mieczu kądzieli:
 Ujrzy on tam zapewne, wśród tłumów niezmiernych,
 I obu rejmentarzy i kilku pancernych
 A jako u Syndyka Ojców Franciszkanów
 Z pięciu Definitorów i trzech Gwardyanów;
 Najbardziej przecież o tém i duma i marzy
 Czy tam będzie ów Kubuś, figlarz nad figlarzy,
 Kubuś cudak, hulaka, rębacz, tancerz walny,
 Kubuś w wiecznych conceptach, Kubuś jowialny.

Najhuczniej on po wszystkich kuligach wywija,
I rej wodzi w Drabantach i ciżby rozbija;
A gdy sobie na jakiej podochoci stypie,
I krocie dykteryek jak z rękawa sypie,
Wyganiają swe panny, stare matki, ciotki,
Jak przed biésem się jakim żegnają dewotki,
Wiwat nasz Kubuś! grono wykrzyka hulacze,
A potężne od śmiechu trzęsą się brzuchacze.

Lecz gdy tak Dziaduś rojąc, długim jedzie lasem,
Nagle: *stój! stój!* z potężnym szerzy się hałasem,
Coraz bliższe tętnienie i bliższe wołania,
Pan Pułkownik skarbniczkiem karety dogania.
Dziaduś z trwogą o powód tylu krzyków bada,
A ten, „*pędzę za Piotrem!*“ szumnie odpowiada;
Szczęśliwy, że choć w lesie zabiegłszy mu drogę,
Cujus festum colimus, pierwszy spełnić mogę;
I rzekłszy to, z puzderka swego kielich bierze,
I szczerze go nalewa i wypija szczerze;
Dziaduś drzwiczki roztwiera i na stopniu staje,
Drugim na dank kielichem replikę mu daje,
Ku wspólnej go podróży obok siebie mieści,
A ten tysiąc tysięcy dziwnych plecie wieści,
Łże o sobie, o koniach, łże o pannach, wdowach,
Łże o swój gospodarce, łże o wojnach, łowach,
Ściele zwierza krociami, ścina Bisurmany;
Gdy w tém Jasiék zawoła: „Panie, most zerwany!“
Krzywią się, martwią wszyscy, lecz za wspólną radą
W bok do mostu drugiego o trzy mile jadą;

Drą się przez gąszcz dróżyną, i wloką bagnami,
A pojazd szamotany wciąż się klóci z pniami;
Jasiék mrucząc pod nosem, że koniki shasa,
Potrzykroć im odetchnie i dwakroć popasa,
Tak; iż z grubszą już nieco wieczoru pomroką,
Zaledwie się do włości Chorążego zwloką.

Rzęsistém wewnątrz światłem wnieśli dworzec pała,
Przed dworcem częstowana wieś się cieszy cała,
Brzmią trąby, huczają kotły, i o jednej porze
Jak tańczą na podwórzu, tak tańczą we dworze;
Lecz cóż to nagle Dziaduś przez okno spostrzeże,
Żegna się, jak przed widmem, za sen, marę bierze,
Ani pojąć nie może, co się święci, dzieje,
Własnym oczom nie wierzy i z dziwu słupieje;
Wśród koła tłumnej ciżby i wśród głów jak maku,
Regentowa! — i jeszcze z Kubusiem w Kozaku!
Z każdą jego przysiadą, susem skocznój wdowy,
Szerzy się głośny okłask, krzyk i wiwat nowy.

Nie wysiadł jeszcze Dziaduś, gdy nakształt nawały
Już całe imieniny na dwór wyleciały:
Witają go, sciskają, radość, wrzawa, płąsy,
Ciśnie się całowany w ramie, ręce, wąsy,
Pcha przez tłum mężczyzn, kobiet i wśród dzieci mrowia,
Jeszcze progę nie przeszedł, już wypił trzy zdrowia;
Wiążą się nowe tany, Dziaduś z graeką miną
W pierwszej parze polskiego stawa z Podstoliną,

Rźnie od ucha nadwórna Starosty muzyka,
 Dziaduś w kord swój uderzy, pomuśnie wąsika,
 Uśmiechnie się, dłoń poda, i z marsowym wzrokiem
 Na czele par trzydziestu wolnym stąpa krokiem,
 To zwraca, to kołem, to wężykiem krąży,
 Gdy już w trzecim nawrocie wstrzyma go Chorąży,
 Wiwat Pan Piotr! zakrzyknie, wznosząc flachę sporą,
 Damy *solo* puszczone nowych mężczyzn biorą;
 Dwaj zaś starce klękawszy dawnym obyczajem,
 Piją swe zdrowia, płaczą, ściskają się wzajem,
 A za każdym uściskiem zaonej starców pary
 Z bliskiego wirydarza huczy mózdzierz stary.
 Bojąc się o ich obu pocziwa Ewunia,
 Do pobocznej komnaty odwodzi Dziadunia,
 Chec, by się zostawionym posilił obiadkiem;
 Był tam rosół z pozłotą, sztuka mięsa z kwiatkiem,
 Flaki w tłuszczu tonące i pieczeń huzarska,
 Wielka nawet naówczas raritas kucharska,
 Jakaś strawa szczególna i dotąd nie znana,
 Dziwacka — cudzoziemska — kartoflami zwana,
 Którą Grzegórz, nie wiedząc, jakby się warzyła,
 Zgotował z jajecznicą, i przedziwną była.
 Zjadał Dziaduś, lecz lepiej Pan Półkownik zmiatał.
 I znów Turki i Szwedy i Tatarzy płatał,
 Walił łosie, jelenie, żubry i niedźwiedzie,
 I co w drodze nie wyłgał, dołgał przy obiedzie.
 Uciekł Dziaduś, nie mogąc znieść tych kłamstw tak
 sprosnych,
 Wraca w sam war i rozmów i tańców radosnych,

Siada w bliższym kąciku i nieznacznie boczkim
 Na każdy ruch Ewuni tkliwém strzela oczkiem;
 Nie może się jój wszystkim wydziwić ponętom,
 Nasłuchać się jój głosu, napatrzeć oczetom.
 Śliczna jakby obrazek, jak aniołek słodka,
 Perła, kwiatek, brylancik, przylepka, pieszczotka;
 Cóż dopiero, gdy nieco poprawi kołpaczka
 I stanie do mazura i upieczce raczka,
 Utnie korkiem hołupca i koło zatoczy,
 W ówczas ledwie z starego dusza nie wyskoczy
 Tupa, klaszcze, podryga i chustą wywija,
 I zdejmuje trzewiczek i duszkiem wypija.
 Piją wszyscy, gdy nagle w tłum nawalny zbita
 Cała młodzież wraz z krzesłem Chorążankę chwytą,
 Wywyższa ją nad siebie, wdzięk jój w piosnkach głosi
 I wśród krzyków, wiwatów, po sali ją nosi.
 Nie mógł się Kubuś wtłoczyć w tę ciżbę młodzieży,
 I z kilku pustakami nagle pędzi, bieży,
 Porywa Regentową, wznosi ją od ziemi,
 I windując do góry, razem chojda z niemi.
 Szerzy się szal rozgłośny, radość rośnie w burzę,
 Już starosta — Chorąży — już i Dziaduś w górze,
 Stawa piętro na piętrze, wszystko śpiewa, skacze,
 Biją kotły, i głośnie ciągle grzmiały trębacze.

Lecz cóż to za blask w oknach? jaki ryk nad dachem?
 Nagły szturm zwalił lipe, całym zatrzęsł gmachem,
 Hałas, popłoch przed dworcem, wszystkich strach rozgania,
 Cała wieś z krzykiem biegnie i do chat się schrania :

Jak hufce za hufcami, tak chmur kłęby czarne
 Ciagną, szumią, i ogniem i śmiercią ciężarne,
 Szarpia je wściekle wichry i miotają niemi
 Od ziemi ku niebiosom, od niebios ku ziemi;
 Wszystko ścichło, i burzy słyhać war sam gniewny,
 Ciemność, błyski i gromy, grad i dęszcz ulewny;
 Drzy ziemia — niebo płonie — i wyje nawała,
 Nuąc — *Kto się w opiekę* — sala kłęczy cała,
 Szerzy się przestkach kobiet i krzyki dziecięce,
 Wznoszą się wciąż błagalne i głosy i ręce.
 Ach! bijcie się w pierś z skruchą, ziemię bijcie czołem,
 Głowy wasze pokutnym osypcie popiołem,
 Lejcie, lejcie łzy żalu — bo inna — straszliwa
 I sroższa od tej burza już ku wam napływa:
 Nie wy jój dożyjecie kłęsk i gromów końca,
 Czy słyszycie ten tentent spieszącego gońca,
 Ściga za nim psów wrzawa, patrzcie — pędzi — wpada,
 Szuka okiem Dziadunia — i list w ręce składa;
 Wziął Dziaduś, rozwarł, spojrział — i upadł jak długi.
 Rwą ów papier — czytają — Polski rozbiór drugi!

Jakby widmo grobowe nagle wyszło z ziemi,
 Lub trąba archanielska zarykła nad niemi,
 Stoją wszyscy zmartwiali, drżący, osłupieni,
 Bieli ich trupia bladeść i znów wstyd rumieni.
 O jak byli wysoko — jak upadli nisko —
 Jaki piorun runięcia! jak straszne zwałisko!
 Dla królów są szyderstwem — u ludów bez cześci,
 Ten głową tłucze ściany — ten ryknął z boleści,

Wrząca krew mu ustami lunęła potokiem,
 Tu dwóch starców z zdziaczalym porywa się wzrokiem,
 Stargane się ich myśli zmieszały rozpaczą,
 Drobne nawet dziecińcy, jak bobrzęta płaczą;
 Wszyscy o sejm wołają w tak strasznej potrzebie,
 Winia króla, magnatów, a żaden z nich siebie;
 Wszyscy winni! tak Dziaduś, zrywając się, woła,
 Trzeba stratę odrobić, trzeba w pocie czoła;
 Tym potem jest krew nasza — pracą Sybir, boje,
 Długo Bóg zatrzymywał straszne gromy swoje;
 Któż kar jego nie przejrzał? kto o nich nie wiedział?
 Wróżył je nam Jan Kaźmierz, Skarga przepowiedział
 A nie było poprawy. — Dziś tłoczący duszę
 Zrzucam ten kamień grzechu — jarzmo włościan kruszę;
 Rozjaśnią się niebiosy wolnych dusz widokiem.
 I nagle na Ewunię łzawém patrząc okiem.
 Smutne, rzeczy, biedaczko będzie twe wesele;
 A ta nagle przed wszystkich występując śmieje,
 Wiem, powie, jaką ranę dwom tu sercom zadam,
 Lecz woli méj nie cofnę i ten ślub odkładam,
 Żle jest mieszać i żenić z wesołością płacze,
 Pluje na grób ojczyzny, kto w jój smutku skacze;
 Nie! — nigdy prawej Polki nie splami ten zakal!
 Ucisnął ją Dziadunio — błogosławił — płakał —
 I spiesznie wzięwszy kilku między sędziwszemi,
 Schronił się w boczną izbę, zamknął, radził z niemi;
 Długo ciche i tajne były ich rozmowy,
 I znów wrzawa — znów głuchość, znów *certament* nowy,
 Gdy w tém Dziaduś głos wzniesie — jedrny projekt poda,
 I wraz *unanimiter* wykrzykują — zgoda!

W godzinę już żadnego nie widziano z gości,
Wśród nocy jeszcze do swych dążą, pędzą włości,
Po wszystkich razem drogach tętnią i turkocą,
Taradajka za koczem, koczyk za karocą,
Tu się cisną przez groble, lub też drą przez lasy
I lekkie soliterki i ciężkie kolasy;
Tam znów dezobliżantki — dormeuzy — skarbniczki,
A czwałem i na przełaj graniczkami bryczki.

I wkrótce się okolny jakiś ogień żarzy,
Dziwną jest postać kraju, wyraz wszystkich twarzy,
Jakaś tajna, niezwykła czynność, ruch po dworach,
Zda się, kordy i bronie w nocnych znoszą porach;
Idą skrytą ofiarą srebra i klejnoty,
Po wszystkich razem kuźniach huczne tętnią młoty;
Rośnie żar w wiejskiej młodzi, a zwłaszcza w dworakach,
Po dziedzińcach na pańskich harcują rumakach;
Sam Dziaduś, jakby strasznym wojny dyszał mordem,
Sił próbując, po izbie starym macha kordem;
Straszne jakieś wąsale, nieznanie nikomu,
Z licznemi się krésami w każdym jawią domu;
Kwestarze gęściej z świętych wyjeżdżają murów,
I jakoś niby groźniej patrzą z pod kapturów;
Żydki nawet przegłędne tłumią się i straszą,
Cisną się do nowinek, pańskim dworom łaszą,
I konnych, pieszych Icków rozsyłaną zgrają,
Jak przed burzą jaskółki, kręcą się, latają.

Dziwne wieści po gminach strach niewiast rozgłasza,
Tamte jakiś krzykliwy ptastwa tłum przestrasza,

Który tylko na wojnę zwykł krażyć po świecie;
Tam dzisiaj urodzone przemówiło dziecię,
Ta widziała na niebie groźne trzy miesiące,
Szkarłatne zorzy słupy, rozlew krwi wróżące;
Ta dwa miecze płomienne — tam się dziwy dzieją,
Widma nocne po polach krwawe rosy sięją,
A jak po wsiach im gadki roznoszą żebrzące,
Wciąż Królowej Korony Polskiej obraz płacze.
Ciśnie się lud do świętyń i z grzechu obmywa,
Wsparcia polskich Patronów łzą i pieśnią wzywa,
Błaga dla chat obrony, dla ojczyzny cudu,
A kapłan skrytej myśli błogosławi ludu;
Myśl ta jak sieć płomienna szérzy się, rozrasta,
Łączy dworce, klasztory, z wsiami wiąże miasta,
Kraży po lasach, górach — w jaskiniach się żarzy,
Tętni w sercu młodzieńców i w śnie starców marzy.

Długo Dziaduś przeciąga pracę w nocną ciszę,
To układa manifest, znów drze, maże, pisze,
Z praw go świętych, praw ludzkich, boskich wyprowadza,
Gromi — żółcią doprawia — łaciną dosadza —
Gdy wtém jakiś *Derdydas* w drzwi się jego tłoczy,
Jakiś z orłem szubrawiec stawa mu przed oczy,
Ciska mu z wzgardą papier i w groźnym szwargocie
Każe mu w najsprośniejszej brudzić się sromocie,
Jutro jechać, by siebie, naród w jarzmo wprzegął,
I jakimsiś przybyszom na wierność przysięgał.
Porwał Dziaduś gwintówkę leżącą na stole,
Ale już Niemiec dernął i czmychał przez pole;
Pobiegł — bunt! bunt! zawołał — zbrojni i zajadli
Najeźdźnych rot siepacze dom starca napadli,

Porwali go, okuli, i jak wściekli, dzicy,
Wśród szarpań, do męczeńskiej wtrącili ciemnicy.

Grube mury sędziwą pochłonęły cnotę —
Z życia w grób go wrzucono, z pod słońca w ciemnotę,
Z wolności w loch i więzy — znikł, jak głaz zatonał,
Znikł jak cień, znikł bez śladu, znikł, jak błysk tak splonął;
Śmierć tak srodze, tak szybko życia nie przecina,
Dozwala jeszcze ojcu błogosławić syna,
Ziębniejącą już ręką przyjaciół uściskać,
I na martwój już twarzy łzą ostatnią błysnąć;
Dzisiaj i tój łzy jednej, tego dania dłoni,
Tych marnych nawet pociech dziki wróg nam broni;
Radby on z wszystkich piersi wszystkie wydrzeć jęki,
W każdą kroplę krwi polskiej inne wszczepić męki,
I w swój pastwie tygrysięj i zemsty nasycie,
Drgające dławić serca i zdusić w nich życie.

Powstał naród, szerokim zagrzmiawszy orkanem,
I zrosł się w jeden hufiec i wybuchł wulkanem.
Jak gdy w piersi młodzieńczej wielki zamiar błysnie,
Z wszystkich się kończyn ciała krew do serca ciśnie,
Tak się dzielny lud polski w swój całej potędze
Złął i skupił przy prostój Kościuszki siermiędze.
Uśmiechnęła się wnukom stara dziadów sława,
I szeroko rozległa pierwszych zwycięstw wrzawa,
Krzyk tryumfu trzech stolic wzniosłe przerosł góry,
Oddech wolności zwionął wszystkie z niebios chmury,

A kosa Raclawicka wraz z kordem Dubienki,
Zabłyły rannym blaskiem tój młodej jutrzeńki.

Wyparł los rydwan szczęścia z tak świetnych kolei,
Upadł z hukiem piorunu gmach tyłu nadziei;
Runął naród — potrójnym zwałił się rozłomem,
A świat zadrzał — oniemiał — sam Bóg swoim gromem
Nie uderzył w zлочynną morderców potęgę,
I anioł śmierci zamknął polskich dziejów księgę.
Napróžno do państw tyłu i królewskich grodów
Długi jęk swój dociągał ten Łazarz narodów,
I wśród własnych swych mogił, zbladły i sierocy,
Jakby widmo grobowe, błąkał się po nocy,
Wszystkie lochy Sybiru paszcze swe rozwarły,
I jak głodne potwory krocie ofiar żarły;
Najczystsza krew narodu z serca mu wydarto,
I imię nawet Polski z jój grobowca starto.

Ale gdzież jest Dziadunio? ta postać dostojna,
I pętami i wieńcem męczenników strojna?
Dni po dniach przemijają — żadnej o nim wieści,
Nie przepuszcza wróg na świat ni głosu boleści,
Ni brzęku ciężkich kajdan — nie da się tam wcisnąć
Żadnej trosce rodziny — nie da słońcu wblysnąć
Jednym nawet promieniem. — Sroższe od morderstwa
Znosi starzec obelgi i z Polski szyderstwa,
Za cały dar otrzymał dla losu osłody
Snop słomy, chleb spleśniały i dzban zgniłej wody;

Z każdym w pierś swą oddechem wciąga jad zarazy,
Gdzie spojrzy, ciemność nocy; gdzie się dotknie, głazy.
Nie on nie wie o domu, kraju, świata losach
I czas tylko zgaduje po rosnących włosach,
Po wzroście drobnych płazów, co tłumy czarnemi
Po tej zimnej, wilgotnej czolgają się ziemi,
Myśl bólem — pamięć męką najsroższą z katuszy,
I okropna samotność z wielkim życiem duszy!

Miewał on przecież chwile szczęścia w tym więzieniu,
Nie raz w długim i rzewnem o Polszcze marzeniu,
Roił on o powstaniu — o tym zbrojnym ruchu
Już niegdyś tak dojrzałym i bliskim wybuchu....
Raz nawet.... Wielki Boże! — lecz nie — to złudzenie,
Nie! nie! — słyszy wyraźne dział dalekich grzmienie;
Huk ten zrazu zbyt słaby odzywa się głucho,
Przykłada więc do muru wyteżone ucho.
Krew mu bije nawałą, myśl przebija mury,
Gdy coraz bliżej huczy ów odgłos ponury,
Biegnie — płata się w więzach — woła — krzyżem pada,
I głośnym rycząc płaczem, dzięki Bogu składa.

Lecz cóż to za śpiew wdzięczny? głos srebrny, niewieści,
Jak gdyby dla przesłania jakiejś szczęśnej wieści,
Aż u kraty okienka polskiem nuci słowem?
Zrywa się w szale szczęścia, zrywa z życiem nowem;
Zapomniał o swych mękach, czarnej murów cieśni,
Pieśnią tylko oddycha — cały żyje w pieśni;
Gdy wtém czata wystrzelił — urwało się pienie,
Jeden tylko krzyk powstał — i głuche milczenie! —
I znów cicho jak dawniej — pierś żalem ciężarna —
Te same zimne mury i taż ciemność czarna,

Jakaś czasu strupiałość, co w tyłu dni tłumie,
Ni w miesiące, ni w lata złożyć się nie umie;
Echo nawet w tém ciężkiem powietrzu do koła,
Jakby przez nie spętane, ozwać się nie zdoła.
Ież on odtąd przewłókl dni w tym żywym grobie,
Jak go więżą, tak wszelką boleść więził w sobie;
Czasem tylko wśród nocy ciężko wzdychał, jęczał...
Gdy nagle u drzwi jego pęk kluczków zabrzączał,
Wszedł człowiek i rzekł: — Wolnyś! — Ktoś jest? —

Dziadek bada,
Od trzech dni strażnik więzień — z łzami odpowiada.
Polak? — Polak. — I cóż cię do usług podobnych
Mogło zmusić nieszczęsny? — Głód mych sierót drobnych.
W rozkrwawionej im Pradze matkę zarzeczano,
Mnie po wojnie w nagrodę sprosny urząd dano. —
A więc bój był! więc mamy Litwę i Koronę!
I znów wszystko jest nasze! odbite! — Stracone.
To mówiąc, wiódł Dziadunia ciemnym więzień mrokiem,
Lecz ten niemy i zbladły, drżącym włókl się krokiem,
Ryknął z żalu — przykleknął — wzniosł oczy ku Bogu,
Krew buchła — serce pękło — i skonał na progę. —

Tak skończył dzielny starzec, — liczne łzy i modły
Rozkute jego zwłoki na cmentarz odwiodły;
Odetchnęły z nasytu zemsty swój morderce,
Zacne to kłem wściekłości rozszarpawszy serce....
Ależ nie on sam tylko w swoim legnie grobie,
Stoi i druga trumna. — Przypomnicie sobie

Ów śpiew strzałem przerwany — ach! Iza wasza świadkiem,
 Żeście zgadli — Ewunia znów się łączy z Dziadkiem.
 Szcześliwi! w czystej jeszcze, wolnej grobów ziemi
 Święte ciało swych popioły złączą z przodki swemi,
 Aż do dnia, w którym straszna trąba Archaniola
 Na sąd krwawą ofiarę i jej katy zwoła.

Jak w ojezyźnie, tak w wiosce, tak w dworcu dziadkowym:
 Zstarzał on się, i smutkiem pochylił grobowym,
 Wymarł w nim odgłos swobód, wrzawa uczt tak żywa
 Głuche tylko milczenie i pustość straszliwa;
 Nikt go już w tym samotnym sieroctwie nie zwiedzi,
 Sam Stach tylko na ławie pod kasztanem siedzi;
 Dziwnym jest jego ubiór — myśl dziwnie zmieszana,
 Zapomniał w swym szaleństwie, że utracił pana,
 Wciąż mu służy jak służył — codzien łoże ściele,
 Czyści bronie i starą ostrzy karabele,
 Co dzień on mu stępaka kulbaczy na wojnę,
 A gdy go strapią jakieś troski niespokojne,
 Zrywa się z starym psiskiem, wśród słót i zawiei,
 Szuka pana i trąbką nawołuje w kniei,
 I tak całą noc szuka — aż znużony biegiem,
 Legnie gdzieś w gąszczu śpiący i zawiany śniegiem.

Dziwnież to rzeczy we wsi o tym dworcu gwarzą,
 Nieraz w nim wszystkie okna wśród nocy się żarzą,
 Słychać chrzęst starych zbroi, jakieś groźne dźwięki,
 Strzały, krzyki, wołania i orężów szczęki,
 Nieraz nawet najbliżsi ludzie to widzieli,
 Jak duch Dziadka stał w progu, cały w śnieżnej bieli,

I długo wrytém okiem w zachód się wpatrywał,
 Słuchał ku zachodowi, na zachód wskazywał,
 I chociaż w okół było tak cicho, pogodnie,
 Zawsze się w ów czas niebo łyskało zachodnie,
 Głuchy grzmot się po grzmocie wciąż odzywał zdala,
 Aż wreszcie z rankiem straszna nagle spadła fala.

Lecz cóż to za gwar, śpiewy, wrzawa w każdej chacie,
 Piérwszy odgłos radości po Dziadunia stracie?
 Zkąd te we wsi proporce? patrz, w szacie żołnierza
 Zbliża się jakiś młodzian i do dworca zmierza;
 Czemuż on tym tak drzącym wewnątrz wchodzi krokiem
 I po pustych podwojach łzawém ciągnie okiem?
 O nie tenże to młodzian, co w dziecinnych latach
 Igrał tutaj po cichych Dziadunia komnatach,
 I marząc, że z swym wrogiem stacza bitwę wielką,
 Z drewnianego konika wywijał szabelką.
 On to jest — on niemylnie — widzę z rysów twarzy,
 Patrz, jak płacze, jak starych ściska gospodarzy,
 O wszystkich on się pyta i o wszystko bada,
 Długie im swych wojaczek dzieje opowiada,
 Jak służył pod Dąbrowskim w różnych świata stronach,
 Za morzami, górami walczył w legionach;
 Dzieci! woła, za Polskę teraz bój stoczemy,
 Bo jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy;
 Jakby morza wzburzone, chmury świat ten ćmiące,
 Takie wam Cesarz Franków wiedzie wojsk tysiące,
 Wiarę on wam i Polskę wyzwolić przychodzi,
 Za pług więc stare ojce, a wy na koń młodzi.

Na koń! Na koń! wieś cała z głębi serca woła,
Gdy wtém tętent i wrzawa — z wszystkich stron do koła
Pędzą konni, bryczkowi, bratnie widzieć szyki.
Ten się w szturmak uzbroidł, tamci w kordy, piki,
Wszyscy w konfederatkach, a wszyscy w czerwonych
Osadzonych na bakier, nad uchem zwieszonych;
Już ich pełen dziedziniec, już razem zmieszani
Dworak, wieśniak, niewiasty, szlachta i hułani,
Witają się, ściskają i w tłumy gromadzą,
A starsi, znów jak dawniej, w dworcu Dziadka radzą.
Ileż ofiar — ileż szczęścia — śpiewów i okrzyków,
Wznoszących się sztandarów, stawających szyków,
Rzekłbyś, że wszystkie razem groby i mogiły
Z starych się i rycerskich mężów wyludniły,
I że ta cała Chrobrych ziemia drząc radośnie,
Wznosi się z swoim ludem i ku niebu rośnie;
Zewsząd hymnów kapłańskich wzbijają się tony,
I po wszystkich kościołach wszystkie biją dzwony.

Nowe więc, nowe słońce znów Polszcze jaśnieje,
I na nową ję wiosnę młode światło leje,
Złoci drogę do zwycięstw — i promienném kołem
Zda się blask swój roztaczać nad Cezara czołem.
Istotnież więc Bóg jarzmo tego kruszy ludu?
Istotnież więc już przyszła owa chwila cudu,
Wytęskniona sercami, łzami wypłakana,
I przez łyzy te oddawna gdzieś w dali widziana? . . .
Lub czyż i ta nadzieja jak inne zawodna,
Nową nam znowu przepaść roztworzy aż do dna,

W której legniem na długo — i zamrzem grobowo,
By znów ożyć — znów runąć — znów powstać na nowo,
I tak ciągle i ciągle przechodzić z kolei,
Z nadziei do rozpacz, z klęski do nadziei.
Ach! bo jest we krwi polskiej jakaś iskra dzielna,
Iskra święta — wszechmocna — iskra nieśmiertelna,
Co ciągle z tajemniczym ję nurtuje warem,
A na słowo „*ojczyzna*“ groźnym pała żarem;
Iskra ta w pośród kajdan, pod toporem kata,
Z słów serca, wzroku duszy, piorunem wylata,
Iskra ta, jak płonęła w dziadów, ojców łonie,
Tak w nas synach goreje, tak w wnukach zapłonie;
Przywal ją głazem grobów i górą przemocy,
A i z grobów i czasów znów wybłyśnie nocy!



WIZYTA W SĄSIEDZTWO.

(Z czasów Stanisława Augusta.)

Gdzież jesteś czasie Ojców?.. jeszcze niedaleki,
Przecież zda się, że setne dziela cię już wieki.
Wszystko, wszystko tak nagle, tak zupełnie inne!
O powrót myśli moja w tve lata dziecinne;
Wywołaj dawne kształty, schwyć i przedstaw oku
W mglistym już niepamięci ginące obłoku.

W dzień niedzielny, dzień letni, po mszy, po obiedzie,
Pan Wojski na wizytę taradajką jedzie,
Zacny Pan i domator; żył on niegdyś w świecie,
Lecz się od lat dwudziestu zakopał w powiecie.
Woli on braci szlachtę, niż te korowody,
Jakieś tam, Boże odpuść, cudzoziemskie mody,
Które (uczciwszy uszy) głupce tylko lubią,
A do reszty i naród i wiarę zagubią.

Po polsku on ubrany jest od stóp do głowy;
Kontusz, jak Bóg przykazał, ciemny, rodzynekowy
Żupan jasny bez fałszu, z grodeturu szyty,
Bucik kształtny, czerwony, i słucki pas lity.
Na piersiach za kontuszem pektoralik złoty,
Przy nim lśniący łańcuszek misternej roboty,
Trzcina z dziadkiem kościanym: sygnecik maleńki,
Przedślubny jeszcze datek kochanej Kasieńki.
Wszystko w nim narodowe: czapka, wąs, czuprynka,
Pod szyją, jakby gwiazda, z paragonu szpinka;
Nakoniec karabela, co Szwedów pamięta,
A jak w sercu, tak w uściech zawsze prawda święta.
Takim jest nasz pan Wojski; już z twarzy wyrazu
Wszystkie przodków twych cnoty wyczytasz od razu.
Głową on kompromissów i sejmików lumen,
Zna i dzieje krajowe, i legum volumen;
Ma sporą sylvam rerum, stare kordy, zbroje,
Wręście się za piwniczkę nie powstydzi swoje;
Ma czem przyjąć sąsiada, ucześć przyjaciela,
Ma kielich po Auguście i beczkę Popiela.

Ale nie on sam tylko Podstolstwo odwiedzi,
Po prawej jego zacna magnifika siedzi;
Z rodu, cnot, konnexyi dama znakomita,
Zawołana gosposia i Polka zabita —
Przybrała się, jak zwykle, na wyższą wizytkę,
W manele i mitenki, lankotki, lewitkę,
W agażanty z forbotem, kornet z fontazikiem,
Balsamkę za gorsetem i perły z krzyżykiem.

Ma w swój konsyderatce wszystkiego po trosze,
Ma książeczkę z koronką, dla ubóstwa grosze,
Dla dziateczek Podstolstwa z pierniczkami paczkę,
Larendogrę, różaniec, chustkę i tabaczkę.

Jadą, dąży pospieszna szóstka koni zwinnych,
Z tyłu hajduk Franciszek, sługa z lat dziecinnych,
Stoi tam zawsze czujny na głos Pana, Pani,
A smagłym słynny biczem stary Wach furmani.
Gracko on i ogniście umie państwo wozić,
Wie kiedy siwki zaciąć — wie kiedy pogrozić;
Żadna w gąszczu tak zręcznie nie przemknie się zmija,
Jak nasz Wach i *odsiebie i k'sobie* wywija.
Z Bogiem on się do każdej podróży sposobi,
Nie ruszy, nim przed końmi biczem krzyżyk zrobi;
Zjeżdża z winnym respektem panom orderowym,
Biskupom, Infulatom i wozom żniwowym;
Ależ wara pijakom, zwłaszcza żydom wara!
Nie Wach to już na ów czas, lecz jakaś poczwara,
Łaje Pan, krzyczą Żydy, on jak Jędza sroga
Smaga niecne Kaimy — mordyasze Boga.

Nie taką jest gorączką hajduk, kumotr Wacha,
Stary, zwinny famulus, choć nieco rubacha.
Rozłóż mu wszystkie skarby, usyp góry złota,
Grosza nawet pocziwa nie dotknie prostota.
W panu on tylko swoim żyje i istnieje,
Pan się smuci, on smuci, pan śmieje, on śmieje.
Słońce to uczciwości w tysiąc cnot ozdobne,
Przecież równie jak słońce ma swe plamki drobne

Ledwie że Pan rozpocznie dyskurs obiadowy,
Jużci się i Franciszek wtrąca do rozmowy;
Zawsze z jakąś nowinką lubi przybyć z rana,
Nigdy bez dykteryjki nie rozbierze pana,
Z najmniejszego on plotkę uprzedzie pozoru,
Nosi ją z dworu na wieś i ze wsi do dworu.
Gotów przysiądz na wszystko, nawet na rusznicę,
Że jadącą na miotle widział czarownicę.
Żegna się, kiedy sowę w pośród dnia spostrzegnien,
Żegna się, kiedy zając drogę mu przebiegnien;
Ziewając nawet zwyknie usta palcem żegnać,
By chcącego w nie wskoczyć djabełka odegnać.
Szkoda przytem, że wielki bibosz jest z Franciszka,
Ożenił się on z flachą, przyrosł do kieliszka;
O piątój czasem z rana już ma czub zalany!
Lecz cóż ma Wojski czynić? nadto z nim spętany,
Dziadek jeszcze u Dziadka służył za hajduka,
Później Ojciec u Ojca, a dziś wnuk u wnuka.
Dwa to dęby z jednego pnia wyrosłe społem,
Z tą różnicą, że jeden w niebo sięgnął czołem,
Szeroko się konary rozgałęził swemi,
A drugi jak wilk prosty pozostał przy ziemi.

Cmoknie nagle, podcina konie Wach ochoczy,
Żwawo się turkocąca taradajka toczy;
Wojski w dobrym humorze, Franciszek szczęśliwy,
Patrzą razem na pola, zżęte na pół niwy;
Cieszą ich mnogie garście i obfite snopy,
Pozostałe z soboty przeliczają kopy.

Ręczę obaj za pewność jutrzejszej pogody,
Wychwalają ciągnące krów i owiec trzody,
Unoszą ich skaczące młode wołki, źrebce;
A Jejmość sobie z cicha swój paciorek szepce.
Wzmaga się coraz żywsza z hajdukiem rozprawa,
Często Wach na głos pański z taradajką stawa;
Lata dzielny Franciszek, zwinny, wierny słuźka,
To śpiącego przy bydle przebudzić pastuszka,
To spojrzeć czy granicznych nie nadpsuto kopców,
To z grochu Podstolego powygnaniać chłopców.
A gdy wraca za pojazd, Pan zwolna, nieznacznie
Na wiejskie plotki, baśnie, wyciągać go zacznie;
Poduszcza go na Wacha, do żartów podwodzi,
Poważnia stare kumy i znów obu godzi.
Bawi go głupstwo slugi, bawi gniew małżonki,
Co nie może od śmiechu domówić koronki.

Ale już widać szczyty Podstolstwa zaciszny,
Krześlata krętój dróżce wierzba towarzyszy,
Co ciągle obcinana i znów obrośnięta,
Pięćdziesiąte już może rodzi prawnuczęta;
I tak wierzch swój zielonym umają obwodem,
Jakby starzec marzeniem strzelający młodem.
Ciagną się jakby hufce w tłumne szyki zbite,
Lemieszowych wojaków chaty mchem pokryte.
Kaźda z nich płotem chróstu broni się na przodzie,
Ma w bocznej straży szopkę — stodołkę w odwodzie.
Stoją głównym korpusem, jak czworobok spory,
Pańskie stajnie, owczarnie, gumna i obory;

Browar nawet wojennym ustawiony planem,
Śpichlerz tam magazynem, karczma markietanem.
Wzbija się ponad wszystkich, jakby wódz dostojny,
Dwór o wielkim kominie, kitą dymu strojny;
A jakby na sztandarze zagonowej chwały.
Na wzniosłym szczycie wiązu sterczy bocian biały.

Wjeżdżają wreście w bramę, godło gościnności,
Która ciąglem roztworem zda się wolać gości.
Grzmi, tętni taradajka, już zdala słyszana,
Z turkotu swego w całej okolicy znana.
Wszyscy się nagle od swych zrywają stolików,
Od kupców, maryszów, kasztelanów, ćwików,
Kawy! kawy przyrządzić! woła Podstolina,
A Podstoli galopem każe przynieść wina.
Trzaska stangret, zajeżdża szóstka, dzielna, żwawa,
Wysiada z wolna Wojski i na stopniu stawa,
Wita wierszem łacinskim zacnego sąsiada,
Sąsiad mu *ex abrupto* drugim odpowiada,
Śmieją się i w potężne ujmują ramiona,
Pan Szymon Pana Piotra, a Pan Piotr Szymona.
Biorą damy i wiodą dziećmi obskoczeni,
Xiądz Dziaduś exjezuita, czeka na nich w sieni,
Którój przestwór ogromny, tak szeroki, długi,
Że mógłbyś w niej bezpiecznie dom wystawić drugi. —
Zniża się do nóg Wojskiej służebna Barbara,
Kłania się Pan Dyrektor, dyga Madam stara,
Ruch i rwetes po domu: pędzą do swój pracy
Stary Grzegorz piwniczny, szafarz Bonifacy;

Uwija się klucznicza, krząta, szuka, pyta,
A tym czasem się z Wachem drugi wąsal wita,
Ściskają się hajducy, na tabaczkę proszą,
I chyłkiem po za dworem do karczmy wynoszą.



III.

NA POWRÓT WOJSKA
1812 roku.

Szacowny szczytku bohaterskiej młodzi,
Zemsto i duma Sarmackiego rodu,
Z jakże trudnego wracasz nam zawodu.
Z jak krwawej nieszczęść powodzi!
Nikogo los zażarty nie ścigał potężniój,
I nikt go nad was nie przemagał mężniój!
Łącząc los własny z narodowym losem,
Czy w klęsce, czy mu chwile błysnęły łaskawsze,
Polak Polakiem był zawsze.
Wezwany sławy i ojczyzny głosem
Chętnie resztę dostatków i życie utracił,
Lecz nigdy, nigdy z podobnej wyprawy,
Nigdy godniejszym sławy,
Godniejszym siebie nie wracał.

O zmienności losów świata!
Już upadły przed wami zastępy i grody,
Chwała zwyciężkie wieńczyła narody,
Już Orzeł polski nad Rossyą wzlata!
Kiedy z górnego patrząc majestatu,
Bóg nagle władzę swą przypomniał światu.
Okropna nieszczęść nawiała
W nieznanej dziejom wzniosła się potędze,
Wszystkie swe gromy rzuciła,
Tchnące mordami przywołała Jędze.
Całą przestrzeń chwały,
Krwi i nieszczęścia powódzie zalały.
Już nie ludy z ludami, już nie z mężstwem mężtwo
O wahające łamie się zwycięztwo.
Los, natura i piekło wyzywa rycerzy,
Człowiek z losem, naturą i piekłem się mierzy.
Lecz trzeba było takiej nędzy i zniszczenia,
Całej wściekłości żywiołów potrzeba
I woli samego nieba,
By polską nogę zmusić do cofnienia!
I wtenczas nawet czego nie przeparała
Dzielność waszego ramienia?
Nieśmiertelności znamienia
Żadna wam siła nie starła.

Pójdźcież więc bratnie odwiedzić ogniska,
Zawieście dzielne oręże,
Zwycięzce Mozańska!
Smoleńska, Czerykowa męże!

Po tylu cudach, po tak świetnych czynach,
Którym potomność zaledwie uwierzy,
Spoczynek na tych wawrzynach
Nie jest niegodnym rycerzy.
Póki łagodna wiosna nie zstąpi z obłoków,
I ten świat poziomy
Z twardych nie uwolni oków,
Póty wojenne mają milczeć gromy.
Wróci znów szczęście do Sarmackiej młodzi,
Wróci i błąd swój nagrodzi.
Wszakże nie duma zacięta
I nie chciwość na obce dziedziny i kraje,
Wam miłość ojczyzny święta
Wojenny oręż podaje.

Rycerze! tchnienie ostatnie
Chcecie waszój oddać ziemi;
Czują to serca bratnie,
Bo jako wasze równie są polskiemu.
Patrzcie! co tylko męża, co Polaka razem
Chlubnym imieniem się zdobi,
Już się do bitwy sposobi,
Już dzielnym błyska żelazem,
Ogólnym chwały złączony przymierzem
Cały naród żołnierzem!

I czegoż nie dokażem tym dzielnym zawodem
Podobnej obrońce sprawy,
Gdy wy téj nowój i siły i sławy
Świątym będziecie zarodem?

Bóg ojców trudy synów ojczyznę nagrodzi,
Wszakże z drobnój żołądzi groźny dąb się rodzi
Którego głowa niebios tykająca,
Gromy i burze roztrąca;
A gdy pioruny już huczeć przestały
I wszystko w koło dębu nowe bierze życie
Na jego tryumfalnym szczycie
Króluje Orzeł wspaniały!



NA POWRÓT WOJSKA
1814 roku.

Precz ztąd, wieszczami nazwana niegodnie
Spodłonego Parnasu tłuszczo najemnicza,
Co laurem cnoty czarne stroisz zbrodnie
Precz, z mężnych oblicza!
Nie do ciebie należy słać ich przymioty
Niewytrzymasz blasku cnoty,
Oko twoje nie dosięże
Tęj górnej sławy leżącej przed niemi.
Bóstwo! co rodu mego nie ugięte męże
Głosi z tryumfem po Sobieskich ziemi,
I z tak chlubnego tyłu klęsk zawodu
W nieznanym dziejów zaszczycie,
Rokując Ojczyzny życie
Do królów polskich prowadzi ich grodu!
Precz więc, haniebne pochlebce!
Polak podłe karki depce

I z ust skalanych nie pragnie zaszczytów.
Lecz wy, godniejsi wieszczowie Lechitów,
Wy prawi mędrce, coście w każdej dobie,
 W tryumfie niedoli,
 A nawet w więzach niewoli,
 Zawsze równi byli sobie,
Nigdy nie zbledli, nie drżeli przed nikiem,
Wy im z lutniami zastępujcie w rękę
 I w ojczystym dźwięku
Przemówcie Bogów językiem.

Ja sam zbyt chciwy udziału ich chwały,
 Równie jak oni śmiały,
 Niepomny losu Ikara
 Pójdę za Orłem Pindara
 Samego słońca doścignąć.

I tam wslawiając braci moich dzielność
Sławy Ojczystej nowy kolos dźwignąć,
Dla nich i dla mnie zdobyć nieśmiertelność.
Nie mnie nie zwróci, nie zatrzyma w drodze,
Póki zwyciężcą nie stanę u góry,
Z odgłosem gromów lutnię moję zgodzę,
I przez ryczące przebiwszy się chmury,
 W pośród miliona światów,
 Przy starym Lecha imieniu,
 Na wielkim niebios sklepieniu,
 Zapiszę czyny Sarmatów.

Niech je z zdumieniem wiek po wieku czyta,
Niech na ich widok czarna Zawisć zgrzyta,

A pomnąc czém był Polak dla Ojczyzny,
Czego z pewnością jeszcze po was czeka,
Niechaj swe własne pożera trucizny
 I w głąb Tartaru ucieka.

Piekielne ognie rzucając po globie
Jędza niezgody wzburzyła świat cały,
 Ludy nie znane sobie
 Na przeciw sobie powstały.

Goreje męztwo i wściekłość się pieni.
Dalekie Tagu i Azyi męże
Zbójce na siebie podnoszą oręże,
 Wzajemnie sobą zdziwieni.

Daremne czucia! słyszą głos Bellony
I już się starli, już się we krwi nurzą;
Walczą, padają narody i trony
 I świat cały jedną burzą.

Tak gdy licznymi pioruny ciężarne,
Dwie nawałnice czarne
Silny Akwilon zetrze,

Póty grzmi, ryczy wzburzone powietrze,
Dopóki gromów w wrzącem starczy łonie,
 I burza burzy nie schłonie.

Bracia! byliście w tej nieszczęść powodzi,
Poznał świat męźnych i sam Mars się zdumiał.
Sławny, kto jak wy przemagać ją umiał,
Sławniejszy, kto z niej podobnie wychodzi.

Zadna potęga, mimo ciężkie ciosy,
Dzielności waszój przełamać nie mogła:

Biły w nią wściekle żywioły i losy,
Żywioły, losy, przemogła.

Próżno się, próżno, Bóg zwycięstw omyła,

Olbrzymia przemoc wysiła,

I na zgubę Lackich szyków

Leci z światem wojowników,

Pomnąc, że prawych żaden los nie znęka,

Żaden z was z światem walczyć się nie lęka,

Równie jak niegdyś ów Ajax niezgięty,

Kiedy mszcząc Greci, szerzył bój zacięty,

A nagle zrzucone z góry

Zewsząd go czarne otoczyły chmury,

On jednak niechciał meżkić; cofnąc nogi,

Jeszcze na nowe boje się zdobywał,

I jeszcze na plac wyzywał

Troje, pioruny i Bogi!

Ale gdzież błędnym zboczyłem zawodem

Was-że to równam z Ulyssesa rodem?

Gdzież wasze imię krwawe lży wyciska?

Polak nie burzył narodów i tronów,

Nie szukał Ilionów,

Własne podnosił zwałiska.

Bronić Ojczyzny, bronić Ojców sławy,

Zrzucac jarzmo niewolnicze,

Te były wasze wyprawy

Jedyne laury, zdobycze.

Nowe w narodach umowy i zdrady,
Gwałcą swe własne przymierza, układy;

Wy jedni wierni do ostatniej chwili —

Szeroki przedział Wołgi i Sekwany,

Waszemi groby zasłany

Zaświadczy wiekom, czém Polacy byli!

Grzmijcie więc, grzmijcie w te trąby marsowe,

I z dumą sztandar rozwińcie Ojczyzny!

Ukazujcie wasze blizny,

Wznoście Orły narodowe!

Otaczaj ich hołdzie wieczny!

Sławo! mężnym przewódź szykom!

Rozsuń się, ludu stołeczny,

Miejsce twoim wojownikom!

Nie z palmą chwały zwycięztwami świetną

Naszym wracają nadziejom,

Świetniejszy tryumf polskim niosą dziejom:

Nieszczęściu wierność szlachetną.



DO

HRABINY ALEXANDROWÉJ POTOCKIÉJ

w roku 1814.

Przesyłając Jój mowę mianą w Sedan na obchodzie
pogrzebowym X. Józefa Poniatowskiego.

Gdy w ciężkim boju nasi łamiąc się wojacy,
Z strzaskanym wprawdzie mieczem, lecz nie mniéj Polacy,
Aż nad brzegiem Sekwany krew lejąc obficie,
W obcej ziemi, ojczyzny przedłużali życie;
W téj, ponury ten cyprys, krwawéj wyrośł dobie,
Przy kołysce Turena, na Józefa grobie.
Ale stalsza przez ciebie czeka go nagroda,
Gdy go śmiały Torwaldsen przyszłym wiekom poda,
A dzieło nieśmiertelne i mężem i rysem,
Wyjętym z Woronicza ozdobisz napisem.
O jeźli świetne Polski dni będą zwrócone,
Tam przyjdziem bronie ostrzyć na kraju obronę;

Tam ucząc młode serca wojownik zgrzybiały,
Jak należy do wielkiej dobijać się chwały,
Ucząc, co miłość kraju, sława ojców każe,
Ręką co mu została, na ten posąg wskaże.
Godna Polko! uwieczniaj bohatera cnoty,
Ożywisz w matkach polskich piękne ich przymioty,
Ujrzysz, jak dziątek swoich kształcąc pamięć młodą,
Z radością imię Jego z drobnych ust wywiódą
I składając ku Niebu słabe synków dłonie,
Wyczą słów ostatnich, które rzekł przy zgonie.
Nie jeden może starzec w swéj cichéj ustroni
Z odmłodzonéj źrenicy tkliwą łzę uroni,
Gdy mu przyszlą swą dzielność zdradzając nieznacznie
Kreśleniem polskich szabli wnuczek pisać zacznie;
Lub téż wiodąc do boju rówienniki swoje
Zmyślać będzie Dąbrowskich i Kościuszków boje,
Przypuszczać krwawe szturm, liczne garnąc jeńce,
I dumnie w Raclawickie przybierać się wieńce.
Tak wolno jeszcze, wolno jest marzyć radośnie,
Że może nowy Józef w małych Lechach wzrośnie
Może i tobie Niebo tę pociechę przyzna
Że go kiedyś w twym Synu powita ojczyzna,
A lud wdzięczny, na który spadnie Jego chwała
Ukłęknie przed tą matką co go Polszcze dała.



NA WIEŚĆ O ŚMIERCI DĄBROWSKIEGO.

(Improwizowane na wieczorze u Niemcewicza.)

Niechce się los zaciekły z tą ziemią rozłączyć,
Po łzach jeszcze nie oschłych każe nowe sączyć.
Grot po grocie z szybkością piorunu wymierza,
Jeszcze pierwszy tkwi w sercu, już drugim uderza.
Przebóg! jeszcze te smutne nie wybrzmiały głosy
Co za cieniem Józefa *) darły się w Niebiosa
Już żal goni za żalem, i jęk ściga jęki,
I dwóch dzwonów pogrzebnych mieszają się dźwięki!
Płakał Polak nad dawnym ojców swych siedliskiem,
Gdy gmach wielki potrójnem rozpadł się zwałiskiem,
Tysiączone w gruzach jego spoczywały meże,
Szerzył się dziki powój, rda żarła orężę;
Ale sterczały jeszcze te słupy wspaniałe
Które wspierały jego potęgę i chwałę;

*) Księcia Józefa Poniatowskiego.

Stały jeszcze te drogie potomkom ostatki,
Jakby z grobu przeszłości wychodzące świadki,
Jak przestrogi dla wnuków, dawnych cnót pomniki,
Jednej chwały i czasu i klęsk rówienniki.
Ale i one padły! — nicże już, o Boże!
Z téj staréj naszéj Polski ostać się nie może?
Wszystkoż groby pochłoną, a to co zostaje
Przekształci się na obce prawa i zwyczaje?
I ja uczeń tych mężów, ja czciciel ich cnoty,
Mam dożyć nie jednego z mych ziomeków sromoty?
Jak się do sprosnych pochlebstw uniży ta głowa,
Którą niegdyś wznosiła duma narodowa?
Sam rycerz nawet legnie swym mężstwem skalany
Gdy jak niegdyś za wolność, umrze za kajdany!
Muzo polska! pieniami wślawiona smętnemi,
Ty coś w wolnej, dalekiej Waszyngtonów ziemi,
Przez usta Niemcewicza przemawiała z jękiem,
Wzruszała ją twym losem, zadziwiła dźwiękiem,
Ozwij się, wielką Chrobrych przypomnij spuściznę,
W sercach ludu przynajmniej uratuj ojczyznę,
Pójdź do grobu Zmarłego i wskaż téj młodzieży,
Wzór jak nigdy rozpaczać, jak działać należy.
Czternaście lat ojczystych dziejów niedostawa:
Któż zapelił tę przerwę — Dąbrowskiego Sława!

PARCHATKA.

„I live not in myself, but I become
„Portion of that around me.
Childe Harold. Canto III.

Jakże tu miło, zielono,
I jak pierś wolniej oddycha,
Głośnych Paław siostró cicha,
Wdzięczna Parchatki zachrono!
Wszystko się we mnie odradza
W lubej pomroce twych cieni,
Myśl i Niebo wypogadza,
Ziemia nadzieją zieleni.
Unoś Wisło z twemi wody
Bolesne duszy wspomnienia,
Wraca, wraca wiek mój młody
I dawne roi marzenia!

Tu mię natura w swej wiosnie
Ciśnie, przytula do łona,
Każde mi drzewo miłośnie
Swoje wyciąga ramiona.
Milěj jak wieńcem laurowym
Czoło mi liściem okraża,
I razem z kwiatem majowym
Łzami poranku obciąża.
Tu mi z gniazd swych tajemniczych
Tysiąc razem piosnek śpiewa,
I z wrzawą dźwięków słowiczych
Deszcze harmonii zlewa.

Witaj! witaj z wdzięki twemi
Ustroni miła, spokojna,
Witaj wiosno Polskiej ziemi
Arkadyjskim wieńcem strojna!
Ranek twój dla mnie — radośnym
Zdaje się niebios uśmiechem,
Twoje powietrze — miłośnym
Młodego serca oddechem.

Rozsuń mi ręką natury
Zieloną drzew tych osłonę,
Ukażcie się gaje, góry
Tylu gęśłami sławione. —

Cóżto za baszta ogromna *)
Zdumiony wzrok mój pociąga,
Tylu burzami niezłomna
Nowym się jeszcze urąga?
Ileż mi gmach ten wspaniały
Świetnych dziejów w pamięć zwraca,
Zdaje się, że słońce chwały
Blaskiem go swoim ozłaca.
Chcesz-li wiedzieć, czem Piastowie,
Czem ich dzielne były wieki?
Kruszwicka wieża ci powie
I ten jej prawnuk daleki.
Stoją jeszcze dwie te baszty
Jak pomniki stariej sławy,
Jak sterczące jeszcze maszty
Zatonionej w morzu nawy.
Huczy burza, wicher wyje,
Całe przewraca się morze,
Aż w dno głębi orkan bije...
A okręt powstać nie może.

Dziwaczne losu igrzysko!
Tyżeś to młode ustronie,
Ty przy tych gruzach tak blisko,
Niegdyś królewskiej zachronie?

*) Pozostała wieża z gmachu Kazimierza Wielkiego.

Jak ten drobny, polny kwiatek
Pod zgrzybiałym dębem wzrosły,
Patrzysz na ten gmach wyniosły,
Dawniej wielkości ostatek. —
Ileż lat, wieków was dzieli?
Dalekie czasu ogniwa!...
Iluż tu może mścicieli
Pomiędzy wami spoczywa?
Wielkie czyny, zgon ich krwawy
Zapomniane są przez dzieje,
Całą dla nich pieśnią sławy,
Wiatr co po ich grobach wieje.

Ale gdzież to wzrok mój chciwy
Aż za nurt rzeki przebiega,
Jakiż to pomnik sędziwy
Na owej górze spostrzeża?
Wznosi swe posępne szczyty,
Gmach piękności starożytniej,
Jakby mgłą wieków okryty
Ginie w tej dali błękitnój. —
Wzniosłe i pamiętne mury
Któż was w ten smutek przyodziął?
Janowca zamku ponury!
Gdzieżeś twoją świetność podziął?
Gdzie są te łupy zwyciężkie,
Gdzie pamiątki dawniej chwały?
Gdzie te serca, dusze mężkie,
Które gmach twój zaludniały?

Zgasła już twoja potęga,
Już ją cień wieczny okrywa,
Już zamknięta sławy księga
W urnie przeszłości spoczywa.
Nikną wieki, meże sławne,
Grób się na grobie otwiera,
Nowe imię — gasi dawne,
I chwała chwałę zaciera.

Bierz Muzo pędzel do ręki,
Postać widoku się zmienia,
Przybiera się w nowe wdzięki
Wielki obraz przyrodzenia!
Słońce wychodzi z za góry,
Statek po statku przemija,
Na tle czarném grzmiącej chmury
Biała się wieża odbija.
Zdaje się, że noc wieczności
Już nad nią cień swój rozszerza,
Stoi jak widmo przeszłości
W pośród gruzów Kazimierza!
Lecz oto widzisz z kolei,
To wdzięczne tęczy półkole,
Piękne — jak promień nadziei
Na schmurzoném smutku czole.
O jakże łuk ten potrójny,
Całą naturę pociesza!
Jakże wdzięczny, jakże strojny,
Nad tą się wieżą zawiesza!

Promienne to pasmo chwały
W kształcie wieczystej korony
Okraża posąg wspaniały,
Królówi chłopów wzniesiony!

Stare opuszczone grody,
Już wam laur wasz nie odrośnie;
I wam też niegdyś wiek młody
Kwitnął podobny tój wiośnie.
Czemuż gdy jej oddech świeży
Wszędzie nowe budzi życie,
Wy same z waszych nabrzeży
Tak smutnie na się patrzycie?
Zdajecie się pytać wzajem
Co się z tą świetną spuścizną,
Co z szerokim Chrobrych krajem
Z Sarmacką stało ojczyzną?
Ten sam Wisły strumień płowy
Dotąd w pośród was przemija,
Ten sam odgłos polskiej mowy
Jeszcze się o was odbija!
Te same góry i skały
Otaczają was dokoła,
Samój tylko dawniej chwały
Nie wam powrócić niezdola...
Wzruszcie się prochy czcigodne!
Powstańcie stare pradziady,
Spytajcie wnuki odrodne
W co poszły wasze przykłady!?

Spytajcie ich jak bez sromu
Wasze cnoty poniechali,
Zapytajcie głosem gromu
Gdzie dawną Polskę zadziali?

Toczy się bój teraz, toczy,
I krew nasza rzeką leje,
Krew ta lądy, morza broczy
I czerwieni świata dzieje!
Jak gdy wśród szturmy bojowe
Hufiec po hufcu się zmienia,
Tak wciąż nasze — młode — nowe —
Idą na śmierć pokolenia.
Walczyły po wszech przestworzach:
Przy Ebrze, Nilu i Niemnie,
Walczyły po wszech zamorzach,
A przecież wszystko daremnie!
Buchał Moskwy wulkan dziki,
Żaden nie zadrzał nikczemnie,
Nowy Cezar wiódł ich szyki
A przecież i to daremnie!
Świat ten naszym rozbrzmiał jękiem.
Sybirskie lochy i ciemnie
Słyną polskich kajdan brzękiem —
A i to nawet daremnie!...

Gdzie cię teraz szukać będzie
Lud twój, matko nieszczęśliwa?
Jesteś i nigdzie i wszędzie, —
Razem — i zmarła i żywa! —
Tam gdzie lśni się ów prąd Wisły,
Nad nim wzniosły nadbrzeg chyli,
Widzę z gęstwi drzew wytrysły
Królujący szczyt Sybilli!
Ciągną tłumy — i z kolei
W świętą cisną się budowę;
Pieśń żałoby — pieśń nadziei,
Nuca wieszczę narodowe.
Tam na każdy patrząc szeptek
Żal nasz tyle wspomnień roi...
Ale któż z tylu pamiątek
Jeden dzień Polski nam spoi?
Wielki, potężny narodzie!
Tużes się to schronił cały?
W tak ciasnym zmieścił obwodzie
Tyle wieków, tyle chwały?
Tyleż więc tylko zostało
Po tak głośném państwie w świecie...
A i to nawet tak mało
Wkrótce może wróg rozmiecie!*)

*) W dziesięć lat później, spełniła się smutna wróżba
poety.

Żegnam cię lube ustronie,
Wywołane z marzeń kraju!
Kiedyż znowu na twém łonie,
W twym uroczym spoczną maju?
Kwitnij rozkoszne nabrzeże,
Kwitnijcie wzgórze nadobne;
Zieleńcie się liście świeże,
Młodej nadziei podobne.
Mijajcie je czarne burze,
Nie rańcie gromy Bellony,
I choć téj jednéj w naturze
Nie burzcie szczęścia zachrony.
Niechaj żaden głos żałośny
Echa tych gajów niesmuci,
Niechaj z zwrotem każdéj wiosny
Ojczysty bard tu zanuci,
Niechaj pieniem sielskiéj muzy
Głosi tu szczęścia wieśniacze,
A wpatrując się w te gruzy
Jak ja — nad Polską zapłacze....

Parchatka, 15 Maja 1822 roku.



TESKNOTA DO BOJU.

(W czasie wojny greckiej.)

Kiedyż więc rycerz zgnuśniały
W wrzawie krwawych walk odżyje?
Nigdyż się już słońce chwały
O mój oręż nie odbije?
Zgaszał wszelka żądza sławy
W tyłu wojowników tłumie;
I dla wielkiéj świata sprawy,
Niktże już umrzeć nie umie?
Nie tak było w lat mych kwiecie,
Gdym w rycerskie wstąpił szyki:
Zewsząd po struchlałym świecie,
Grzmiały ciężkie Marsa ryki.
Licznym trupem wróg zalegał
Rozległe boju płaszczyzny,
Drugi Cezar je przebiegał,
I jam walczył dla ojczyzny.

Polska! Polska! — głos ten święty
Z tysięcznych serc się wylewał;
A jój sztandar rozwinięty,
Aż za morzami powiewał.
Któż mi zwróci te natchnienia,
Tę rozkosz młodej odwagi,
Kiedym stawał do pomszczenia
Rodu mojego zniewagi;
Gdy się z ciężkim ziemi drzeniem
Tylu ludów bój zaczynał,
A każdym spiży zagrzmieniem
Mój mi naród przypominał.
Walcz! słyszałem z dział tysiąca,
Walcz! w odgłosie dawniej chwały,
Walcz! kryśliła krew płynąca,
Walcz! niebo, ziemia wołały!

 Nie żądza to krwawych czynów
Odwagę moję zagrzewa;
Wyrzeklbym się tych wawrzynów,
Które lza matek oblewa.
Lecz niktżeto nie przyzywa
Męztwa mojego w obronę?
Jużżeto ziemia szczęśliwa,
Lub więzy Greków skruszone?
Cisną ich srogie tyrany,
I krew niewinna się leje,
A ja orzeł skrepowany
W podłym spoczynku gnuśnieję!

Grecy! Grecy! syny sławy,
Królujące w dziejach świata,
Czemuż, przebóg! waszój sprawy
Nie może wspierać Sarmata!
Któżby was lepiej zrozumiał,
Jak to wrzące Lecha plemie;
A kto silniej pomścić umiał
Jak ten, co stracił swą ziemię;
Co za wielkim idąc śladem,
Z waszych przodków brał nauki,
I może swoim przykładem
Przelał je znowu w ich wnuki!
Co pod Germanów stolicą,
Ścierał waszych wrogów szyki,
I już Sobieskich prawicą
Karał Greków najezdzniki!
O dniu wielkiej chwały, męztwa,
Jakże tobą ród mój sływał,
Z jakimżeś blaskiem zwycięztwa
Do dawnych wieków popłynął.
Cała ziemia Leonida
Rozgłaszała plemie Lecha;
Sławą polskiego Alcyda
Grzmiały Termopilów echa;
Zrywały się z nocy wieków
Przebudzone Miltiady,
I z uśpionej lutni Greków
Dźwięk się ozwał Iliady;
Łądy, morza, pola chwały
Pełne imienia mych braci,

Jednym tylko hymnem brzmiały:
„Chwała wam, chwała Sarmaci!“

.
.
.
.



POWRÓT.

Przypisany bratu Józefowi, jako współswiadkowi
wielkich pamiątek.

— — — — —
Wraca więc — wraca w swój pozgonnej chwale,
Niosą go szumne oceanu fale,
Głośnie, szerokie żalu lejąc hymny:
A nad Nim słońce Austerlicu pała,
I dzień Mu świeci tak piękny jak chwała,
A jak grób tak zimny.

Wszystkie się brzegi spiżą Marsa zbroją
I wszystkie góry lasem ludów stroją,
I wszystkie grzmoty i krzyki olbrzymie
W jedno potężne zlewają się Imie.
I na to Imie — całą masę świata
Jakiś wielkiego czucia dreszcz przelata:
Troi się życie — zwiększa sił potęga,
Myśl olbrzymieje — dusza w wielkość sięga:

Porwany swego równiennika cudy
Wznosi się człowiek i wzrastają ludy:
Sława królewskim świeci majestatem,
I burza meztwa znowu trzęsie światem.
Rzuca się z łoża starzec w chwili zgonu,
Dziecię z pochew miecz dobywa
I ze szczytu Panteonu
Orzeł Piramid się zrywa.

Zda się, że w pierwszej Jego chwały wiosnie
Stare Taboru znowu drżą granity
I znów Alpejskie zniżają się szczyty
A Wandomski posąg rośnie!

Sława Mu! sława! woła ród człowieka,
Sława Mu! sława! grzmi przyszłość daleka,
Świat się wielkim wznosi meżem!
Lecz jest lud jeden darty zgryzot wężem,
Piekielna trawi go rana.

Próżno się, próżno płaszczem wstydu kryje.
Już on jak żona mordercy Dunkana —
Plamy swej morzem nie zmyje.

I jest lud drugi — dalszej odległości,
Co całą ziemię swemi bieląc kości
Ciągnął za mieczem zemsty Archaniola;
Sto gwiazd do Jego dodał on imienia,
Ale dziś z krzyża cierpienia
Łzy Mu tylko posłać zdoła.

I są koronni władzce milionów,
Co hołd ten świata z swoich słyszą tronów...

I myśli w długich zadumaniach grążą
I dziwne czucia po Ich łonach krążą,
A gdy Ich korzy ta nicość grobowa,
I znowu patrzą na ogrom zwaliska;
Zdają się szukać wielkiego Słowa,
Zagadki Jego zjawiska!

Spiesz ludu Franków — złej się w naród cały:
Patrz! — jeden z wodzów — ojców twojej chwały,
Trumnę ci Jego roztworzył!

Spojrzyj — cesarskim płaszczem obwiniony,
Jak gdyby życia orkanem znużony,
Na wieczny sen się położył.

Wzniosły się skronie — dłoń na mieczu wsparła:
W wyższą dostojność przybrał wyraz twarzy;
Jakaś Mu do brew wielka myśl przymarła:
Rzekłbyś, że swoją nieśmiertelność marzy.
Patrz! — jak w tych rysach — w tem monarszem czole,
Wszystkie dni Jego wybiły się dole,
W jednym obliczu, jakby w dziejów księdze,
Widzisz ludzkości i wielkość i nędzę!
Ileżto wpośród tej grobowej nawy,
Co już na morze wieczności ulata,
Zlało się potęg — koron — nieszczęść — sławy:
Mieści się wśród niej Pan i więzień świata!
Wzniósł się, zajaśniał jakby słup wulkanu —
Jakby piorun, syn orkanu,

Zrodził się, powstał z nawały:
Burza ogniem Jego wzrosła,
Burza pod gwiazdy go wzniosła,
Burza rzuciła na skały!

Stało się! — wszystko pochłonęły czasy,
I oto za Nim Jego przeszłość cała
Stoi tak wielka — martwa — skamieniała,
Jakby potężne Himalai massy!
Leżą w tym wielkim ogromie natury,
Zuchwałych czynów i pomysłów góry:
Wpółśród rozbitych opok gromem wzgardy
Sterczy kamiennej woli olbrzym twardy:
Groźące śmiercią i morzem zalewu
Ryczą w przepaściach katarakty gniewu,
Warzą się burze i aż z chmur wyżyny
Grzmią w głębie dolin wyroków lawiny!
Leżą warstwami wielkich sław rozłomy
W groźnych pokładach, całych wojsk ogromy,
Ludy szkieletów! — wszystkie szczyty celne
Stroją Alp, Piren orły nieśmiertelne:
A o świat cały wytrysły nad niemi,
Jakby maszt jaki żeglującą ziemi,
Stoi głaz, Cezar — złotem słońce oblany
W koronę wieków przybrany,
Na który krwawy sęp Heleny wzlata
I w sprośnym dzióbku kruszy berło świata!



NADZIEJA

1831.

— — —

Zabł grad na łanie całą żniw nadzieję,
Nie ma i kłosa na wieniec żniwiarzy.
Cóż czyni rolnik? — na nowo ją sieje,
I znów lepszą przyszłość marzy.
O! nie broń, nie broń, i rojeń mych pola
Ziarnem nadziei osiewać;
Wzrosła ku Niebu już Polski niedola,
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Zasnął sierota na cierniu boleści,
Roi nadzieję matki swój ujrzenia;
Z młoda się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci marzenia.
Chceszże z omamień wypędzać go kraju,
Chceszże sen szczęścia rozwiewać?
Nie budź go, przebóg! nie wywołuj z rajy!
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Spartański szkielet przebił lat tysiące,
Zbudził się — powstał — odział blaskiem chwały.

A prochy Polski — jeszcze tak gorące, —

Jużżeby ożyć nie miały?

Będą je, będą, wszystkie syny dzielne

Ogniem serc swoich rozgrzewać,

Błyszczać z popiołów iskry nieśmiertelne.

Pozwól się, pozwól spodziewać!

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów,

Jęk Go nasz w górnej ojczyźnie dolata;

Słyszysz! jak huczy wielka burza ludów,

Wre, grzmi, tętni wulkan świata.

Kończą już, kończą law tych groźne wary

Na piorun zemsty dojrzewać.

Nie, nie zawodzi Niebo silnej wiary —

Pozwól się, pozwól spodziewać!

Pozwól się patrzeć w gwiazdę marzeń tkliwych,

W kwiaty nadziei grób Polski przybierać

Nadzieja życiem, wsparciem nieszczęśliwych,

O! nie dajmy jój umierać!

Póty lud żyje, póki nieprzestanie,

Pieśni nadziei swój śpiewać;

Nią się on budzi, przez nią zmartwychwstanie,

Pozwól się, pozwól spodziewać!...



POCZĄTEK 1848 ROKU.

Silna myśl wieku czynem zagrziała,
Wszystkie się ludy w jeden lud zbiegły,
Groźnie się kłębi Przyszłość zczerniała,
Zaryknął orkan jak świat rozległy.
Głośniejszy puls tętni w całej naturze,
Życie się w piersiach zmieścić nie może,
Pożar po duszach, a w tchnieniach burze,
Gdzieżes o Boże?

Z grzmiotem leących w przepaście tronów,
Łamają się stare świata posady;
Trzęsie tą ziemią krzyk milionów,
Pała na Niebie meteor krwawy.
Zda się że zmarłe wstają mocarze,
I zdziwionemi patrzą oczyma,
I znów pod ziemię kryją swe twarze,
Na straszny widok Ludu-olbrzyma.

Kogóż to zbawiasz, karzesz w tej porze?
Oświeć nas Boże!

I z głębi burz tych, dwa wielkie głosy
Braterstwo — Zgoda, biją w Niebiosy,
I na sztandarach wściekłego boju
Jaśniejże święte słowo — Pokoju.
Wszechmocne słabem — słabe pogromem, —
Poziom górami, — góry poziomem.
O! cóż z zamętu tego wzrość może?
Ty sam wiesz Boże!

Zgubaż to, czy też odrodzin chwila,
Pijeż świat zdrowie, czy też truciznę?
Czyż się z gorszego lepsze wysiła,
I czy to moją wskrzesi ojczyznę?
Czyż ten Lud ludów łzy nasze spłaci?
Czyli też w swojej szczęśliwy dołi,
W braterstwie — biednych zapomni braci,
W wolności, — o tych co są w niewoli!
Czyż jego nawet jęk nasz nie zmoże?
Powiedz nam Boże!

O jeżeli na te gruzy i łomy
Nieład na nieład górami padnie,
Boga zapomni proch ten znikomy,
A duma, zawiść, świat ten owładnie;

Jeżeli nóż mordy ma rządzić nami
Na szal się wieczny burzyć to morze,
I my znów tylko żyć krwią i łzami
Zabierz mię Boże!

Lecz jeżeli płomień ten jest tak święty,
W Tobie szukany, z Ciebie powzięty,
Jaki nam pierwszy zajaśniał w łonie
Zastępcy Twego w nowym Syonie;
Jeżeli z téj iskry bucha żar ludów, —
O! wtenczas wierzę jako w cud cudów.
I wołam, widząc co moc Twa może,
Chwała Ci Boże!



ŚWIATOWID.

Zadrzyj pycho germańska z fałszem, zdrady twemi,
Głazy się nawet budzą na Sławiańskiej ziemi!
Ocknął się — i kamienną odgarnąwszy dłonią
Dziesięć wieków leżącą na swem Bóstwie tonią,
Powstał stary Światowid — powstał — zmarszczył czoło —
Wzrokiem swym mnogie ludy ociągnął w około —
I krzyknął: — Kto tak moje porozdzierał Państwo?
Kto do pługą niewoli wolne wprzągnął Słowiaństwo?
A Wandy i Krakusa jęki zagrobowe,
I wieża mu Kruszwicka, i trąby Dnieprowe,
Wszystkie rzeki, mogiły i góry Sławiańskie,
Jednym chórem odrzekły: — Króle chrześcijańskie!

MOWA POLSKA.

Depce z wzdargą przodków kości
Już jest w duszy niewolnikiem,
Nurzy się w błocie podłości,
Kto mówi wrogów językiem.

Ludu, broń się dzielnie, szczerze, —
Tarcza twoja w polskim słowie,
Stoisz skałą przy twój wierze,
Stań posągiem przy twój mowie.

Polko, w gronie twem domowem,
Bądź nam od wroga zasłoną,
Odepchnij go polskim słowem,
Jak czarta wodą święconą.

Słowo jest tak wielką siłą
Którój żadna moc nie zwali,
Słowo świat ten utworzyło,
Słowo i ten kraj ocali.

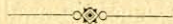
Póki w polskich komnat ściany
Gwar obczyzny nie zawita,
Póty próg nasz nieskalany,
Póty Polska nie zdobyta.

W polskich to domach się mieści
Mowy polskiej arka święta,
Stoi na niej krzyż boleści,
Leżą krwawe ludu pęta.

W tych to dworach Polska żyje,
W nich ostatnia już obrona,
W nich najdroższy skarb się kryje,
Godności naszej korona.

Matki, matki przyszłych matek,
Bądźcie wsparciem świętej sprawy,
Zapiszcie to w duszach dzieciak
Ogniem Pragi — krwią Fiszawy:

Że kto wrogów w dom wprowadza
Siebie hańbi, lud swój zdradza,
I każdym słowem obczyzny
Dokończa mordu ojczyzny.



WIEŻA KRUSZWICKA.

Do R. Berwińskiego, zbieracza powieści Wielko-Polskich.

Jak król ruin omglony mrokiem tajemnicy,
Omszonej przedwieczności świadek skamieniały
Wznosi się groźny olbrzym prababnej Kruszwicy,
W czarnym wieków pancerzu i z koroną chwały!

Widzi w koło pomarłych czasów, ludów krocie
W dalekiem i już ciemnem leżące wspomnieniu;
Na nim orzeł Gnieźniński w pierwszym spoczął locie
I Piast jeszcze dziecięciem w jego igrał cieniu:

Patrzył on w swęj starości, jak po rzek potokach
Bito słupy żelazne, na wrogów postrachy;
Patrzył, jak w biegu wieków na lackich opokach,
Prawnucznych mu olbrzymów rodziły się gmachy.

Wszystkie padły — on stoi, przeżył nawet życie
Téj matki, co się sławą aż za gwiazdy wzniosła;
Jak Tatry przy sercowym skupione granicie,
Tak cała Polan przeszłość do niego przyrosła.

Stoi jakby Assarmot — lecz na grobie chwały,
Jak Adam Sarmacyi — już bez hołdu, cześci;
Stoi jakby Laokon rozpaczą zczerniały,
Wśród dzieci skrępowanych węzami boleści.

Szumią mu pieśń żałoby puszczy zamierzchłych knieje
Wiatr długie jęki wyje w wielkiem morzu łąnów;
Gopło mu poruszone głośny żal swój leje,
I gromami rozpaczy gra lutnia orkanów.

Dołącz i ty gęśl twoję sławiański Ryszardzie;
Pojmiecie się w zawiecznym języku Sarmaty,
On ci starą swą gadkę młody powie bardzie, —
Ty mu z łzami zaśpiewasz wielki hymn zatrady!



TRZY MOGIŁY.

Trzy góry znojem sypane narodu,
Lackiego Nilu piramidy wzniosłe;
Trzy groby z grobu ojczyzny wyrosłe,
Stoją w obliczu królewskiego grodu.

Stoją — jak Bardy, co w przyszłość daleką
Sędziwą sławę swojej głoszą ziemi,
Jak Alpy czasu, pomiędzy którymi
Przeszłość tak pełną przepłynęła rzeką.

Mieszczą się wśród nich całe lat tysiące,
I z pełnią chwały i z zagubą bratnią:
Słońce, chrobremu ludowi świecące,
Weszło nad pierwszą, zgasło nad ostatnią.



OSTATNI KONTUSZ.

Jak gdy skazany prawami świata
Zbrodniarz za swych przestępstw brzemię,
Co nim kark podda pod topór kata,
Ubiór swój ciska na ziemię —

Takto niestety i ród mój bratni,
Nad przepaścią swęj zatrąty,
Z swojej się polskiej rozebrał szaty,
I mój kontusz — już ostatni!

Gdzież są z młodością związani moja
Równi mi sercem, odzieżą?
Wszyscy, ach wszyscy po grobach leżą
I szczęśliwsze sny tam roją.

A ja tak jestem jak w mroźnej porze
Ptaszek od stada urwany,
Smutnie po pustym kwilący borze
I przez wszystkich zapomniany.

Jestem jak gdyby jakiś dziw nowy
W starem mych ojców siedlisku:
I stoję jakby posąg grobowy
Na wielkiem Polski zwalisku!

I skądże takiej płochości kroku
Oreźny naród się chwycił,
Ubiór ten przecież miał kord przy boku,
Rycerskim wąsem się szczylił.

Ubiór ten siadał na tronie chwały,
Z morza do morza się sławił;
Znał go za Dnieprem nasz orzeł biały
I kontusz Wiedeń wybawił.

Słusznie Bóg, słusznie gromem potęgi
Na taką skazał nas dolą,
Chłopiek nie zrzuca ojców siermięgi,
Chociaż tak ciężka niewolą.

Jest on jak dąb ten, co już z wszystkimi
Walczył szturmy przyrodzenia,
Przecież tak silnie stoi w tej ziemi
I kory swojej nie zmienia.

O gdy ten kontusz ma iść w zaturę;
Do sukni gminu się zwróćę,
Przynajmniej polską przywdzieję szatę,
A staréj cnoty nie zrzucę.



III.

BRZOZA GRYŻYŃSKA.

Do Ireni.

Łubisz uroczę wiejskich marzeń kwiaty,
Przyjmij więc jeden w ofierze;
Pierwsza to gadka Wielko-Polskiej chaty
W szaty się rymu przybierze.

Nie żądaj po niej świetnego ubrania,
W proste się barwy przystroi;
Skromne są ludu naszego podania,
Skromny im wierszyk przystoi.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi,
Kościół świętego Marcina,
Głośnie on niegdyś hymny brzmiał boskiemi,
Dziś głucha w polu ruina.

Mnóstwo tam grobów i mogił do koła,
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi;
Zkąd polubiła ten pobyt żaloszny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz któż wie lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecko i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swój mogiłek leżał,
Antoś, matczyzna nadzieja,
Kiedy w tem kopacz do wjeżdża przybieżał
I tak ztrwożył Dobrodzieja:

„Jakieś nam лихо na cmentarz się wdarło,
„Próżno człek strzeże i czuwa;
„Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
„Wciąż rączkę z grobu wysuwa.“

Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsce zjawiska,
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnej kłęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.

Budzi się rączka tajemniczej siły,
Wzrusza swój wzgórek grobowy,
I znów z zielonej wyrasta mogiły
Bieluchna jak śnieg majowy.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy wszyscy już staną do koła,
Tak się odzywa do matki:

„Co w syna twego dzieje się tu grobie,
„Ja ludzką myślą nie schwycę,
„Samój to tylko wiadomem jest tobie,
„A więc wyjaw tajemnicę.“

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy,
Gdy w tem straszniemi zaklętą słowami,
Tak się wśród jęku tłumaczy:

„Kara to mojej matczynej ślepoty,
„Bóg mi złem za złe odmierzył;
„Synek ten memi popsuty pieścizoty,
„Raz mię w swym gniewie uderzył.“

„Bierz więc tę różgę i chłoszcz rękę syna,
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
„Ziemskiej on się tu kary dopomina,
„Aby wieczystej uniknął.“

„Uderz!“ zawoła — i silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona,
Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona....

I patrz! za ledwie różczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój cofa, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestkach sciska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A xiądz na pamięć straszego zjawiska,
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiosnie
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi, jak stała.


I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie,
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o gryżyńskiej brzozie.



ŚWIĘTY IZYDOR.

(Legenda wiejska.)

Przypisana w hołdzie WJmci Xiędzu Borowiczowi wydawcy
Szkołki Niedzielnój.

 pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej góry,
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojej wierze,
Za poczciwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozповідаł:

„O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnój tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem;
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem,
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek;
Krzywdził, więził, chłostał, głodził;
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały,
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwszych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia,
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzął wołki upoczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem.
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze,
I gorąco błagał, prosił. —

Głowę w świętej chylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swój niedoli;
Gdy w tem w koło okiem rzucił,
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty,
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Kzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtem anioł promienisty,
Nagle w górę wzłata, leci;
A jak tęcza, pas ognisty
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tem samem miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niem mnóstwo złało ludu.

Od poranku do wieczora,
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora,
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreście
Chłopka tego w pomoc wzywa.



CICHE DZIECIĘ.

(Z podania gminnego.)

Mówią, że gdzieś chodzi w świecie,
Jakieś dziwne, ciche dziecko;
Dziewczynek to jest mała,
Twarz jęj śniada, suknia biała,
Wzrok ma dziwny i uroczy,
Jakieś martwe, trupie oczy.
W polne maczki się przybiera,
Po cmentarzach kostki zbiera,
Krwawą chustą głowę sioni,
Czarny precik nosi w dłoni,
A gdzie idzie tam jęj ramie
Wszystkie kwiatki niszczy, łamie;
A gdzie przejdzie, tam i w wiosnie
Trawka nawet nie porośnie. —
Próżno człek ją pyta, bada,
Sama tylko z sobą gada,

Jakieś straszne, dzikie słowa,
Których ludzka nie zna mowa.
Raz ją chłopek jakiś trącił,
Zaraz mu się mózg pomącił,
Ręka w krótkiej uschła porze,
I powiesił się gdzieś w borze.
Tak po świecie, jak po grobie,
Drobna mara chodzi sobie;
Słucha miłych sobie dźwięków,
Pogrzebnego dzwonu jęków;
A po miejscach, co przemija,
Cień jój krwawo się odbija.
I nikt nie wie, z kąd przybywa,
Patrząc na nią dreszcz przeszywa.
Zimno grobów od niój leci,
Mówią że to — mor na dzieci!



HALKA.

Z gminnej powieści, z okolic Poznania.

„Gzemuż po tój świętej niwie
Zbierasz kwiatki tak skwapliwie?“
Rzekł do Halki dziad kościelny,
„Co się zrywa na cmentarzu,
To się składa na ołtarzu,
A dziś właśnie dzień niedzielny.“

„Nie staruszku, dziewcze woła,
Nie zrywam ich dla kościoła,
Innym razem go ozdobię.
Dziś ja z rady dobrej matki,
Na to święte zbieram kwiatki,
By w nieszczęściu pomódz sobie.

Pierwsza niegdyś z dziewic grona,
Urodą Zosi zgaszona,

Straciłam serca młodzieńcze,
Mówią, że szczęściem obdarza
Kwiat zerwany w śród cmentarza,
A więc dziś się nim uwieńczę.“

„Nie kłopot się, dziadek rzecze,
Już ci żaden nie uciecze,
Gdy w tem szczęścia widzisz tyle!
Wszystkie kwiaty uzbierane,
Dla zgaszenia Zosi rwane,
Rwałaś je — na jój mogile.“ —



GÓRA POZNAŃSKA.

— — —

Słuchajcie gadki starożytniej treści,
Słuchajcie sercy waszemi;
Któż wie, jak długo te stare powieści,
Będą w waszój brzmiały ziemi?

Kiedy Bolesław świętą szerząc wiarę,
Ciemne wykorzeniał wieki,
Strącał i kruszył Polan Bogi stare,
W nurtach szumnój topił rzeki.

Miłoś to było pociągnąć oczami
Po wielko-polskiej krainie;
Cała się w koło zwieńczyła krzyżami,
I z gór wyrosły świątynie.

W dźwięcznych się zdrojach rozplywało wszędy
Religijnej spiży brzmienie,
Wszystkimi drogi, na nowe obrzędy,
Lały się ludu strumienie.

I ciągnąc w boje dzielne hufce państwa,
Grzmiały hymn Boga-Rodzicy,
A szcerbiec słońcem ranku chrześcijaństwa,
W Chrobrego jaśniał prawicy.

Nie mogło piekło tyle ścierpieć blasku,
Tryumfu króla i wiary;
Takim więc grzmotem czartowskiego wrzasku,
Straszliwe rykły pieczary:

„Wstrzymajmy Wartę, przetnijmy jój wody,
Niech wzrosną w morze topieli,
Zanurzymy wszystkie świątynie i grody,
Zalejmy krzyża czcicieli!”

I wichry w jarach, wilki w puszczech wyją,
Głębsza noc czernieć zaczyna,
Drżące się gwiazdy za chmurami kryją,
Wybija duchów godzina.

Snują się — bielą w okropnej ciemności,
Huczą puszczyki i sowy;
Słychać w kostnicach chrzęsty ludzkich kości,
Trupie przemawiają głowy.

I gdzie tę górę, zwaną kopcem Nii,
W pogańskiej czczono ślepocie;
Gdzie sprosne kłęby i węzów i żmii,
I okropnych ropuch krocie;

Gdzie czarne świerki, gdzie ów wiąz spruchniały
W ostatnim listku już kona,
I wciąż ku niebu, jak nędzary zgłodniały,
Ushłe wyciąga ramiona,

Jakiż tam hałas i krzyki radosne,
Jakiż szum, szelest po puszczy?
Z wszystkich ziem Polski lecą czarty sprosne,
Do wściekłej łączyć się tłuszczy.

Pędzi, przypada Rokita sromotny,
I Smułka potwór dziwacki,
I czarny Węglik i Boruta psotny,
I okropny Widoracki.

Leci i wyje czarny duch za duchem,
Kupi się poczet szatański,
I wielkim ramion złączonych łańcuchem,
Otocza kopiec pogański.

I trzykroć szumnym okrążywszy lotem,
Z dzikim go wrzaskiem opada,
Ciągnie, oddziera, wykorzenia z grzmotem,
I na spiekle barki wkłada.

I hura! hura! z wściekłym leci rykiem,
Jak groźną niesie nawałę;
Nocne się ptaki rozpierzchają z krzykiem,
Okropnem widmem zdumiałe.

Z wszystkich stron wichry szumnym lecą hurmem,
W rozległej huczeć równinie;
I bory strasznym rozrzucają szturmem,
A góra płynie i płynie.

I grom za gromem, błysk za błyskiem goni,
Rozświeca larwy piekielne;
A choć od ludzkiej nie dotknięte dłoni,
Wciąż jęczą dzwony kościelne.

Pędzi i pędzi zgraja przeraźliwa,
I góra wichry przegania,
Szumi nad puszcza, nad Obrą przepływa,
Dotrąca murów Poznania.

I już, już widzą, dopadają Warty,
Cieszy się tłuszcza zajadła,
Gdy w tem kur zapał, i prysnęły czarty,
A góra w miasto upadła.

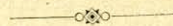
Zatrząsał się Poznań, na pół w gruzach runął,
Czarna pękła nawałnica;
Skoczył nurt rzeki i wstecz się odlunął,
Zadrżały Gniezno, Kruszwica.

I długo, długo liczne echa grzmiały,
Jakby setne rykły burze;
A gdy dzień błysnął, zbiegł się lud struchlały,
Zjawionej dziwić się górze.

I przez lat wiele, mimo nowój wiary,
Straszliwym była postrachem,
Aż na nią wstąpił nasz Mieczysław stary,
I świetnym zwieńczył ją gmachem.

Licznym on szturmem, licznym łupem męztwa,
W wojennych wślawiał się latach,
Wzniosłe tam psalmy i hymny zwycięstwa,
Po złotych brzmiały komnatach.

I coraz, coraz bujniej w państwie młodem,
Wzrastały wiary nasiona,
Aż krzyż zbawienia nad całym narodem,
Święte rozciągnął ramiona.



CHŁOP I DJABEL.

(Powiastka gminna z nad Warty.)

Dziwiąc się djabeł zmyślnój chłopa głowie,
Zaczął i dumać i marzyć:
Ot! wiesz co, chamie! tak do niego powie,
Pójdźmy razem piwo warzyć.

Pójdźmy, rzekł Szymczak — i już kociół grzeje,
Na tegie piwo się sadzi;
Warzy i warzy, miesza — spuszcza — leje,
I ot cały war już w kadzi.

Dzielmy się teraz, djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia;
Dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa,
A djabłu drożdże zostawia.

Żle coś! czart woła, zmienmy więc umowę,
Posiej mi ziarno na grzędzie:
Ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
A co z wierzchu, mojem będzie.

Sieje więc chłopek na wspólne korzyście;
Wschodzi, rośnie plon wzbudają,
Przyszło do działów — djabeł dostał liście,
A rzepy chłopu zostały.

Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę,
Widzę, że jesteś mędrzejszy;
Lecz jeszcze jedno — rzucajmy się w górę,
A ujrzym, kto z nas mocniejszy.

I porwał, wstrząsnął i z takim zamachem
Śmignął go łapy silnemi,
Że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
Nim go czart schwycił przy ziemi.

Tęgiś, chłop rzeknie zbladły i zdyszony,
Myslałem, że już nie wrócę;
Lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
Niech i ja ciebie podrzuce.

I w pas go bierze, i za róg pochwyca,
I tak w dwojgu rąk go trzyma;
Lecz zamiast rzucić — nagle w twarz księżycą
Wrytemi patrzy oczyma.

I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
Choć djabeł — pojąć nie zdoła;
Aż wręście gdy się znudzi, zniecierpliwi,
Czego tam ślepisz? — zawoła.

Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
Nie chcę cię rzucać daremnie;
Czekam, aż się tam mój tatuś pokaże,
Co cię odbierze odemnie.

Co? ryknie djabeł — czyś, głupi? szalony?
Wydarł się z ręku Szymczaka,
I jakby wodą święconą sparzony,
Aż w piekło urznął drapaka.



GIERMEK.

(Śpiew historyczny. Rzecz wzięta z Niesieckiego.)

Smutnie w Polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniółł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Spoczywały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy w tém siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

„Mile gadka dawniej treści,
„Brzmi dla ucha, w serce wpływa,
„W starych czasów to powieści,
„Stara dzielność się ukrywa.

„Był czas, gdyśmy za przedmurze,
„Za tarcz ludom, światu stali;
„Był czas, gdyśmy wschodnie burze
„Piersią naszą odpierali.

„Lasem polskich dzid, narody
„Zasłaniane od podboju,
„Wynucały pieśń swobody,
„Pieśń miłości, pieśń pokoju.

„Naszym hymnem był szczepek broni,
„Trąb wojennych dzikie dźwięki,
„Wrzawa bitew — grzmot pogoni,
„I rozległe rannych jęki.

„Złoci wieczór łan Podola,
„Ciągną wojska, tabor, wozy,
„Tętnią całe lasy, pola,
„Stoją groźne dwa obozy.

„Z jednej strony sztandar wiary,
„Siwy hetman, młodzież dziarska,
„Z drugiej wściekłość, krew, pożary
„I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
„Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
„Słońce krwawym zaszło blaskiem,
„Bój to będzie straszny, krwawy!

„Ledwie pierwszy mrok zapada,
„Polski hetman kord przypasze,
„Z młodym giermkim na koń siada,
I objeżdża czaty nasze.

„Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
„Słucha gwaru, rżenia koni,
„Pyta, zważa — ognie liczy,
„I już w myśli łamie — goni.

„O nie ciesz się wódzu stary,
„Zmienne wojny są koleje,
„Nie tak łatwo to z Tatory:
„Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

„Hura! hura! pędzi horda,
„Nocny napad w obóz leci,
„Giermek za broń, wódz do korda,
„Na koń, woła, na koń dzieci!

„Spieszą — biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni;
„Gdy w tém z grzmotem nowych krzyków,
„Zewsząd czernią otoczeni.

„Tną i walczą na przebicie,
„Rąbie hetman, giermek łamie;
„Całą młodość, ogień, życie
„W wojujące przelał ramie.

„I już słyszą, słyszą w dali,
„Jak nadbiega polska wiara;
„Ale już ich nie ocali,
„Już nie wyrwie z rąk Tatara.

„Wzięty giermek, hetman wzięty;
„Krzyczy, huczy motłoch dziki;
„Bucha gniewem Han zacięty,
„Patrzac na swe niewolniki.

„Wre i zemstą ryczy sroga,
„Każe jednóm skuć żelazem
„Nogę giermka z wodza nogą,
„I tak obu więzić razem.

„Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
„Na wysokie gwiazd sklepienia;
„Ale na cóżbym wam nucił
„Ich boleści, ich marzenia?

„O kto nigdy pęt nie nosił,
„Kto nie jęczał w wrogów mocy,
„Strawy swój łąz nie rosił,
„Nie przetesknął długich nocy;

„Kto w pół-dzikim, podłym tłumie
„Nie włókł ciężkich lat niedoli;
„Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
„Jak jest gorzkim chleb niewoli!“

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha... łąz wylewa,
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

„Zasnął hetman siwobrody,
„Zasnął, jakby między swemi;
„Nie śpi, czuwa giermek młody,
„Długo o swój duma ziemi.

„I łąz tryska mu z źrenicy,
„Żal i rozpacz serce tłoczy;
„Gdy w tém nagle w swój ciemnicy
„Zapomniany topór zoczy. —

„Patrzy, duma, drzy i marzy,
„Serce szczytnym ogniem płonie,
„Wielki w duszy zamiar waży,
„Topór w obie chwyta dłonie;

„I podnosi ręką śmiałą,
„Mężnie ku swym pętom zwróci,
„Tnie — odcina nogę całą,
„I hetmana swego cuci.

„Wolnyś, rzeczce, straż zaspana,
„Uchodź, ocal twą krainę;
„Spiesz i pobij wojsko Hana,
„Ja z radością tutaj zginę.

„Powstał hetman i wzniosł dłonie,
„Rzewnemi się łzami zalał,
„Żegnał, Boskiej zdał obronie,
„Ścisnął, uszedł i ocalał.

„I straż nagle z snu się zrywa,
„Wieść ucieczki wodza szerzy,
„I sam wreście Han przybywa.
„I zaledwie oczom wierzy.

„Długo, długo wzrok swój wryty
„W śmiałych topi mu źrzenicach,
„Stoi jakby gromem zbity.
„Po dostojnych czyta licach.

„I odpycha wszystkie straze,
„Cnota dzikość zwyciężyła;
„Każe leczyć, darzyć każe,
„I do Lachów go odsyła.

„W świetném dworzan, wodzów gronie
„Szkarłatnemi szaty odzian,
„Siadł król Polski na swym tronie,
„Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

„W miejscu nogi prosta kula
„Ujmującą postać wspiera,
„I dwór cały się rozczuła,
„Z szmerem dziwu nań spoziera.

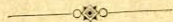
„I dwaj wiodą go rycerze,
„Kornie przed tron przystępuje:
„Król z wezglowia szcerbiec bierze,
„I rycerzem go pasuje. —

„Gdy w tém w pośród wodzów koła
„Hetman nogę niesie złotą;
„Oto herb twój! — król zawoła,
„Wysłużony twoją cnotą.

„I porywa dłoń rycerza,
„Wśród okrzyków ludu wiedzie,
„I przed ołtarz pański zmierza,
„I sam klęka z nim na przedzie.

„O blask, chwałę swych orężów,
„Korne w niebo dłonie wznosi,
„I o więcej takich mężów
„Dla ojczyzny swojej prosi.“

Tu dźwięk lutni mdał, upadał,
Coraz głuchszém cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.



RADZIWIŁŁ SIEROTKA.

Gdy się zwróciły litewskie Pany
Na łono Rzymu w skrusze, pokorze,
Książę Radziwiłł, Sierotką zwany,
W kamiennym wytrwał uporze.

Nie dość, że w sprośnej bluźnił rozmowie,
Nie szczędził jeszcze szyderstw i wzgardy,
Z niego to stare poszło przysłowie:
Jak gdyby kalwin, tak twardy.

Lubił on w bojach gonić za sławą
Ale i łowcze lubił hałasy;
Codzień też prawie trąb i psów wrzawą
Grzmiały Kołdyczowskie lasy.

I tak w dniu jednym, gdy Pan Nieświeża
Szlachtę na łowy zaprosić raczył,
Grubego w koło objechał zwierza
Sieciami knieję osaczył.

Hulała Litwa, strzelała, biła,
Głośnie po puszczech wrzały okrzyki;
Słano u pańskich stóp Radziwiłła
Żubry, rogacze i dziki.

Po łowach uczta, bankiet wesoly.
Książę wraz z szlachtą zasiada ławy,
Gną się pod srebrem i złotem stoły,
Obfite kurzą się strawy.

Leżą na misach lśniących, wspaniałych,
Jelenia pieczeń, niedźwiedzie łapy,
Potężne stósy kuropatw białych,
I precudne łosie chrapy.

Zajada książę smacznie i żwawo
Kiedy w tem nagły dziw go przenika
Spojrzy się w okół — w lewo i prawo —
Nikt potraw jego nie tyka.

Cóż to jest, rzecz, okoż mnie mami?
Któż to tak straszną krzywdę mi czyni.
Strawą jak sercem dzielę się z wami —
Wzgardząż nią bracia Litwini?

Przebacz nam Książę, tak jeden z gości
Siwy już starzec z za stołu woła,
Piątek dziś mamy, Litwa go pości,
Podług praw świętych kościoła.

Śmieje się Książę, żartuje, szydzi,
I na ich opór zżyma się, dąsa.
Lecz gdy ich wolą niezłomną widzi
I nic ich wiary nie wstrząsa:

Sluchajcie, rzecze z dumą na czole,
Spór ten nasz zaraz będzie rozcięty.
Widzicie tego kura na stole?
Co dopiero z różna zdjęty.

Jeżeli sam przez się z misy téj wstanie,
I tak do życia wróci na nowo,
Dziś jeszcze rzymskie przyjmę wyznanie —
Litewskie daję wam słowo.

I ledwie uciął — przed ich oczami
Dziwne zjawisko, cudo się dzieje,
Kur pieczonemi bijąc skrzydłami
Wznosi się, stawa i pieje.

I tak wciąż piejąc zerwie się, wzbije,
Skacze po głowach, lata nad stołem;
Drżąc się szlachta pod ławy kryje,
I o ziemię bije czołem.

Kur to jest Piotra! zawrzała zgodnie
Litwa z obliczem trwogą zbiełonem.
Kur to jest Piotra! on niezawodnie
Pieje w tem widmie pieczonem!

Sam Książę strasznym zwalczony cudem —
Kłęka — jak rzewna płacze dziecina,
I przed zebranych kluczów swych ludem
Zrzeka się fałszów Kalwina.

Żegna się z Litwą, żegna z wszystkiemi —
Przed Bogiem, ludźmi grzesznym się głosi;
I z kijem w ręku po Świętej Ziemi
Łzy swój pokuty roznosi.



ADAM JARACZEWSKI.

(Z pamiętników kapitana Hempla.)

Swieci z góry księżyc błądy
Na hiszpańskie grody, łany;
Sławne ostrzem dzid hułany
Ciagną z cicha na wywiady.

Drobna siła, oddział mały,
Cztery trójki polskiej młodzi.
Ale dzielny, ale śmiały,
Jaraczewski im przywodzi.

Wiedzie w góry — lasy — jary,
Wszystko uchem, okiem chwyta,
A na przodzie hułan stary:
Stój! kto idzie? stokroć pyta.

I już wszystko widzą w dali:
Ognie, czaty, obóz cały,
Broń i siłę rozpoznali,
Najeżone spiją skały.

A więc z zwrotem do obozu
Ciagną w ciszy przez godzinę,
I ot koniec już wawozu,
Wyszli wreszcie na równinę.

I nuż w śpiewki o swój ziemi
Brzmi pieśń polskim sercom znana...
Ale jakaż to przed niemi
Czarna, długa stoi ściana?

Patrzą — patrzą, gdy w tém świta,
Brzask się wzmaga, pomrok niknie,
Jaraczewski za kord chwyta:
Formuj pluton! stój! zakrzyknie.

Patrzcie, rzeczce, wróg się sroży,
Odwrót nam się przeciąć stara,
Tchórzów tylko liczba trwoży
W imie Boże! — za mną wiara!

I garść naszych jak grom wrząca,
Leci, pędzi w bój zażarty,
I przebija i roztrąca,
I już odwrot ma otwarty.

Tęgo chłopcy! wódz ich woła,
Poznali się z męztwem naszym.
Ale patrzcie, wróg mi z czoła
Czapkę w boju zmiotł pałaszem.

A więc gracko znów na niego!
Na powtórkę kolmy, gnajmy!
Nie zostawmy nic polskiego,
Czapki nawet im nie dajmy!

I znów pędzi, łamie, goni,
Kopę jeńców uprowadza,
Czapkę z wroga zdziera skroni,
I na bakier dumnie wsadza.

Grzmot go polskich witał krzyków,
Gdy już ku swym braciom zmierzał,
Zśród francuzkich nawet szyków,
Długi oklask się rozszerzał.

Sam ich Cesarz, z wzniosłej skały,
Widząc czyn ów tak zuchwalczy,
Oto, wołał, Polak śmiały,
I tak zawsze czapka walczy.



PAN PRZYJEMSKI.

Cudo! cudo! jest w Koźminie.
Pan Przyjemski w trumnie leży,
A choć drugi wiek już płynie
Przecież zawsze czerstwy, świeży.

Groźna postać, wąs obfity,
Lica pełne i rumiane;
Kontusz, żupan i pas lity,
Wszystko jakby wczoraj wdziane.

Zkąd to cudo? ztąd dowodnie,
Że tam klasztor obdarował,
Żył wciąż z boskiem prawem zgodnie,
Za kraj, wiarę swą wojował.

Ztąd to życie tak zwodnicze,
I ten wyraz wojownika,
Że choć trupie już oblicze,
Jeszcze trwogą lud przenika.

Tak on wielką cześć tam budzi,
Że i tknąć się go nie waży;
Lecz nietrudno o złych ludzi,
Co najświętszą rzecz znieważą.

Przybył Niemczyk płochy, dumny,
Niewierzący w prawdę cudu,
I zbliżywszy się do trumny,
Zaczął szydzić z trwogi ludu.

Śmiał się z trupa, bluźnił, broił,
Jakby w czarta się przeradzał,
Z pasem, kordem żarty stroił,
I na bakier czapkę wsadzał.

Lecz gdy tak się nad nim srożył
Że aż wąsy targnął siwe,
Trup się wzruszył i otworzył,
Oczy wielkie i straszliwe,

I tak ostry i tak srogi
Wbił mu w duszę gniew żrenicy,
Że nasz Niemczyk skościł z trwogi,
I z grobowej zbiegł ciemnicy,

I biegł, przebiegł staj tysiące,
Leciał zbladły, zadyszały,
Lecz mu wszędzie te iskrzące
Oczy drogę zabiegały.

I znów leciał w las głęboko,
Gdzie go pędził strach nadziemski;
Lecz i tam mu oko w oko,
Patrzył straszny Pan Przyjemski.

Pędził z burzą i wichrami,
Przez wsie, miasta, góry, rzeki;
Aż nakoniec za morzami,
Gdzieś tam znalazł zgon daleki.

Lecz i w ten czas, gdy mu lice
Śmierć bielila, krzepło ciało —
Jeszcze jakby dwie gronnice,
Dwoje przed nim ócz gorzało! —



BIAŁA OSŁONA.

(N a ś l a d o w a n i e.)

Kieży w więzieniu Węgrzech hrabia młody,
Śpiący na słomie, okuty w kajdany;
Chciał on ojczyste wywalczyć swobody,
I za to teraz na śmierć jest skazany.

Urodzin swoich dwódziestęj rocznicy
Nie dosiagli jeszcze — a już ma umierać!
Nie w polu chwały, lecz na szubienicy
Gdzie się o niego kruki będą spierać.
I czemuż on ma tak pogodne czoło,
I zda się we śnie marzyć tak wesoło?

Bo się wyplakał u matki swej łona:
O matko, mówił, tve jedyne dziecie,
Tak wczesną i tak wstydłą śmiercią skona,
Zhańbione imię zostawi na świecie.

W tyłum się bitwach, z tyłu wrogi zmierzał,
Z krzykiem tryumfu w szturmie walk uderzał,
Ale na jutro wzmagam się daremnie,
Czuję, o matko, że zadrzę nikczemnie.

A matka: Nie drżj, nie drżj, synu drogi,
Pójdę się rzucić pod Cesarza nogi.
A choć ma zimną i kamienną duszę,
Przecież go łzami matki skruszyć muszę.
Gdy cię przez długie powiodą ulice,
Na ganek matki zwróć twoje źrenice:
Jeżeli w czarnej osłonie się stawię —
Musisz iść na śmierć — już cię nie wybawię!
Nie drżj i pomnij w tój strasznej godzinie
Że krew węgierska w twoich żyłach płynie.
Lecz jeśli białą będzie ta osłona
Nie trwóż się niczem — wina przebaczona.
Nie drżj, choćby cię już kaci schwycili,
Łaskę w ostatniej ogłoszą ci chwili.

Bije dzwon śmierci — nieprzejrzane okiem
Tłumy wzdłuż ulic wolnym ciągną krokiem,
A liczne rotj zbrojną groźne władzą
Strzegą młodzieńca i na śmierć prowadzą.
Z wszystkich się okien lud wyciska mnogi,
A lzy i kwiaty sypie mu pod nogi.
Lecz on nie patrzy, on nie zważa na nie —
W sam pałac matki wzrok i dusza wryta.
I nagle widzi jak na ganku stanie,
A twarz jój białą zasloną okryta.

Setnem, tysięcznem nagle życiem ożył,
Szedł śmiało, dumne w górę wznosząc czoło,
A chociaż kat mu już stryczek założył,
On się uśmiechał i patrzył wesoło.

I cóż się stało?... wytrwał do ostatka —
Wysoko-duszna uwiodła go matka,
Na to się w białej stawiała osłonie
By syn jój, Węgier, nie zadrzał przy zgonie.



EDGAR I CELINA.

(Naśladowanie z Szyllera.)

Tkliwą siostrę znajdziesz we mnie,
W nagrodę twojej czułości,
Nie zasmucaj mnie daremnie,
Nie żądaj innej miłości.
Uspokój twoje cierpienia,
To ci zostało jedynie,
Bo na twe żale, westchnienia,
Nie wolno patrzeć Celinie.

Słyszy to Edgar z zdumieniem,
Ciężki żal w sercu zamyka,
Silnem ją żegna ściśnieniem,
I na bystrym koniu znika.
Wszędzie odgłos wojny szerzy,
Wszystkie swe rotę gromadzi;
Z krzyżem na piersiach rycerzy
Do świętej ziemi prowadzi.

Iluż tam laury okryty,
Wznosił się sztandar ich chwały,
Lśniących hełmów gęste kity
Groźnie w bojach powiewały.
Liczne hufce Muzułmana
Ręka Edgara przemogła,
Cóż, gdy ciężka w sercu rana,
Niczem się zgoić nie mogła.

Rok cały zniósł te cierpienia.
Lecz już dłużej znieść nie zdołał;
Daremnie szukał ulżenia,
Próżno spokojności wołał,
Wsiada więc w okręt i płynie,
Do lubej wraca krainy,
Tam gdzie po cichój dolinie,
Ulata oddech Celiny.

I przed jej zamek przybywa,
Trzykrotnie w bramę uderza,
Ale o wieści straszliwa,
Z którą przyjmują rycerza:
Już ona twoją nie będzie,
Złożyła śluby dozgonne,
Wczoraj przy świętym obrzędzie
Przyjęła szaty zakonne.

Rzuca więc ojców podwoje,
By do nich nigdy nie wrócił,
Ni na konia, ni na zbroję,
Już więcej okiem nie rzucił,
Zrzekł się chwały wojownika,
Chce żyć w świecie zapomniany,
W smutnej szacie pustelnika
Zszedł w dolinę niepoznany.

I na przeciw owiej góry
Wzniósł dla siebie domek mały,
Gdzie stare klasztorne mury
Z ciemnych świerków przeglądały,
Tam chwile ranne, wieczorne,
Dni całe smutny przebywał,
Ciągłe się w okno klasztorne
Z cichą nadzieją wpatrywał.

Patrzył od samego ranka,
Patrzył z swiej smutnej zaciszy,
Aż się ukaże kochanka,
Aż brzęk jej okna usłyszy.
Aż ujrział drogą Celinę,
Aż wreszcie słodka, nadobna
Wychyliła się w dolinę,
Samemu niebu podobna.

Chętniej spoczął w nocnej dobie,
I zasypiał spokojniejszy,
Już się skrycie ciesząc w sobie,
Ciesząc na ranek jutrzejszy.
I tak siedział rok za rokiem,
Nie żalił się, nie narzekał,
Zawsze tęsknem patrzył okiem
I na brząk jej okna czekał.

Aż ujrzał drogą Celinę,
Aż wreszcie słodka, nadobna,
Wychyliła się w dolinę
Samemu niebu podobna.
I tak jednego poranka
Ujrzano zwłoki siedzące,
I martwe oczy kochanka,
Jeszcze w jej okno patrzące.

EDWARD.

(Ballada z staro-szkockiego.)

Czemuż twój oręż cały krwią oblany,
Edwardzie, Edwardzie?
Czemuż twój oręż cały krwią oblany,
Czemuś smutny, zadumany. O!

O ja zabiłem mojego sokoła
Matko, matko moja;
O ja zabiłem mojego sokoła
Żaden mu zrównać nie zdoła, O!

Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Edwardzie, Edwardzie!
Lecz krew sokołów nie jest tak czerwona,
Powiedz z kogo wytoczona. O!

O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Matko, matko moja,

O ja zadałem śmierć memu koniowi,
Pocziwemu cisakowi. O!

Koń twój był stary, jużes go porzucił,
Edwardzie, Edwardzie!

Koń twój był stary, jużes go porzucił,
Nie on to ciebie zasmucił. O!

O ja zadałem śmierć ojcu drogiemu,
Matko, matko moja,

O ja zadałem śmierć ojcu drogiemu,
Biada, biada sercu memu. O!

I jakąż sobie pokutę nakażesz,
Edwardzie, Edwardzie!

I jakąż sobie pokutę nakażesz,
Czemże synu winę zmażesz. O!

Opuszczę ziemię i na okręt wsięde,
Matko, matko moja,

Opuszczę ziemię i na okręt wsięde,
Po morzach tulać się będę. O!

A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Edwardzie, Edwardzie!

A cóż z twym zamkiem, z wieżami się stanie,
Z taką dumą patrzył na nie. O!

O niech się wałą, niechaj w proch obróca
Matko, matko moja;

O niech się wałą, niechaj w proch obróca,
Moje tam nogi nie wróca. O!

Cóż z żoną, z dziećmi stanie się w tej porze
Edwardzie, Edwardzie!

Cóż z żoną, z dziećmi stanie się w tej porze,
Gdy ty popłyniesz na morze. O!

Świat jest szeroki, niech żebrzą i płaczą,
Matko, matko moja!

Świat jest szeroki, niech żebrzą i płaczą,
Mnie już nigdy nie zobaczą. O!

A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Edwardzie, Edwardzie!

A drogą matkę, gdy syna pozbawisz,
Powiedz, cóż jój pozostawisz? O!

Klątwę ci z piekłem zostawi zabójca,
Matko, matko moja!

Klątwę ci z piekłem zostawi zabójca,
Bo z twój rady zabił ojca. O!



ROZBICIE OKRĘTU.

(Legenda hiszpańska.)

Miotany gniewem nawaly
Rozbił się okręt o skały,
I w morskim tonał odmęcie;
Jedna tylko łódka była,
Cząstka się na nią schroniła,
Reszta została w okręcie.

I już drobna pędzi nawa,
Gdy w tém nagle z krzykiem stawa:
„Zabierzmy księdza do łodzi!”
Lecz ten w pośród groźnych toni
W świętej szacie, z krzyżem w dłoni,
Na brzeg okrętu wychodzi.

„Płyńcie, rzeczce, bracia mili,
Dzielnieście bliźnich bronili,
Wdzięczna was przyjmie kraina.
Nie dla mnie łódki zachrona:
Wasza powinność skończona,
Moja się teraz zaczyna.“

Rzekłszy to, w okręt zstępuje,
Ginących na śmierć gotuje,
Godzi, wzmacnia, cieszy w zgonie.
Wtém przyklęka, zniża głowę,
Wznosi hymny pogrzebowe,
I z wszystkimi razem tonie.

I wciąż płynęły łódki spieszonym lotem,
I nagle straszna wśród nich burza wzrosła;
Zginęły obie — nikt nie wiedział o tem —
Że jedna syna, druga matkęniosła.

DWIE ŁÓDKI.

Dwie łódki w nocy po rzecznej głębinie,
Nieme jak trumny cichym spieszą lotem.
Mijają siebie, a nikt nie wie o tem
Że jedna z synem, druga z matką płynie.

On liczne, srogie przemogłszy nawały,
Spieszony gdzie matka czeka go stęskniona.
Ona na groźne puściła się wały
By go tem prędzej przycisnąć do łona.

Ona, gdy nawały mijaly się obie,
Czuła jak rzewna łza w jej oczach drżała.
On taką błogość w całym uczuł sobie
Jak gdyby matki miłość go owiała.

Wsparty na mieczu czarny rycerz marzy,
A wzrok się jego dzikim ogniem żarzy.

I kiedy płynie do grodu Biskupa,
Ren za nim zwolna wciąż posuwa trupa.

ŻEGLUGA.

Rozległą rzeką, w germańskiej krainie,
Na jednej nawie dwóch rycerzy płynie.

Ciche, głębokie jest Renu przestworze.
Lecz któż wie, jakie w głębi z łą spać może?

Wtem jasnowłosy nagle się odzywa:
O jak ta podróż miła i szczęśliwa.

Jadę Biskupią odwiedzić stolicę
I piękną jego pojąć siostrzenicę.

Po raz ostatni, krzyknie czarnobrody,
Do jój cię murów niosły Renu wody.

I za broń chwycą, walczą miecze, dłonie,
I jasnowłosy nagle spada w tonie.

ZABOBON.

(Z niemieckiego.)

Nie troszcz się żono, powrócę ja zdrowo,
A choćby ciężką ranę mi zadali,
Znam ja tak silne, tak urocze słowo,
Które natychmiast życie mi ocali.
Niech tylko syn mój to słowo wypowie,
A choćbym konał, znów odzyskam zdrowie.

I poszedł na bój — i ciężko raniony
Zwolna w domowe znów się przywlokł progi,
A choć już prawie konał w rękę żony,
Przecież najmniejszej nie przypuszczał trwogi.
Synu, zawołał na najstarsze z dzieci,
Pójdź, wymów słowo, wprzód nim czas uleci!

Lecz syn ten niechce zimnych ust otworzyć,
Choć biedny ojciec już na pół jest w grobie.
— Mamże ja — mówi, sam siebie ubożyć,
Opóźniać moje dziedzictwo po tobie?
Śmierć tę nie moje zadały ci dłonie,
Ja tylko tobie umierać nie bronię.

Nie czas do przekleństw, gniewny ojciec rzecze,
Kiedy już życie na minuty liczę;
Pójdź drugi synu, patrz jak krew ta ciecze!
Wymów nad raną słowo tajemnicze.
Wszakżem, o synu, kochał cię tak tkliwie —
Spiesz się więc, wymów, bo cierpię straszliwie!

I syn ten z serca słowo to wymieni,
I znów powtórzy — i znów silniej, głośniej;
Lecz rana bardziej jeszcze się płomieni,
I krew się czerni, i wciąż bucha sprośniej.
— O żono, woła, o kochane dziecko,
Jakże to słowo zwodzi mię zdradziecko!

A żona z łzami: — Słowo cię nie zwodzi.
Wyznam... ach wyznam... choć skarzesz surowo
Ten, który mówił, nie z krwi twój pochodzi.
Każ najmłodszemu wymówić to słowo.
— Niech zaniemieje! z krzykiem odpowiada,
Kopcie grób dla mnie! — i wraz trupem pada.



BIEDNA MARYNIA.

(Naśladowanie.)

Czarnem wśród nocy nękana marzeniem,
Przed snami nawet zmuszona uciekać;
Wstała Marynia, i z ciężkiem westchnieniem
Poszła na górę, wschodu słońca czekać.
Na pierwsze całej natury ocknienie,
Tkliwie się w gnieździe ozwał ptaszek mały,
Matka mu słodkie niosła pożywienie;
Oczy Maryni łzami się zalały.

O jakże, rzekła, szczęśliwie życie,
Czemuż ja nigdy matki mej nie znałam;
Nic nie mam mego na tym wielkim świecie,
Kołyśki nawet nie miałam.

Na tym kamieniu, u drzwi téj kaplicy,
Tu mnie znaleźli porzuconą srodze,
Tu ja z téj wioski do Boga Rodzicy
Po łzy pociechy przychodzę.

Nikt mię tam w swojej nie chce znać rodzinie,
Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie,
I żadne dziecię w téj całej dolinie
Siostrą mię swoją nie zowie.

Widzę ich zdala wieczorne uciechy,
Patrzę na ojców i matek pieśczoćy;
Ale nikt do swój nie zawoła strzechy,
Biednej, nieszczęśnej sieroty.

Tutaj więc — tutaj idę z łzami memi,
Kaplico! ty mi świat ten zastępujesz,
Ty mi się jedna otwierasz na ziemi,
Ty mię jak córkę przyjmujesz.

Ileż ja razy nad tym głazem płacę,
Tu gdzie przez matkę porzuconą była;
Patrzę, czy śladu łez tych nie obaczę,
Które tu może ronila.

Nieraz ten cmentarz błędą zwiedzam nogą,
Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych,
Ale cóż groby obchodzić mnie mogą,
Ja i w grobach nie mam krewnych.

Ach! połóż koniec mojemu cierpieniu,
Nigdyż cię, nigdy nie ujrzę w mem życiu?
Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
Gdzieś mię rzuciła w powiciu!

Na tem umilkły jój skargi i żale,
I wszystkie razem cierpienia i troski,
I już jój odtąd nie widziano wcale,
Ani na górze, ani w pośród wioski,
Mówią w nięj tylko że po kilku latach
Jakaś nikomu nieznana niewiasta
Z zakrytą twarzą i w żałobnych szatach,
Przybyła skrycie z dalekiego miasta;
Z łzami o cmentarz pytała wieśniaków,
Poszli z nią pełni uczynnej ochoty,
Lecz już nie mogli w pośród traw i krzaków
Rozpoznać grobu sieroty.



ŚMIERĆ WATELA.

(Naśladowanie.)

Kondeusz, co się niegdyś w tyłu wślawił bojach,
Króla swego przyjmował w Szantylly podwojach;
Żaden mocarz na świecie, od swego książęcia
Tak wspaniałego jeszcze nie doznał przyjęcia,
Watel wszystkim, na wszystkie rozkazywał strony,
Nieśmiertelnego wodza marszałek wślawiony;
Wielkie chęci i zdolność nadały mu nieba,
Ale nie dość talentu, geniuszu trzeba.
Wszystko szło zrazu dobrze, porządnie i bacznie,
Watel patrzył z tryumfem jak król zjadał smacznie,
Gdy w tém nagle z tą wieścią drżące biegną sługi,
Że dwóch pieczęi zarazem na stół brakło drugi.
Rzuca się Watel, biegnie przestraszony, zbladły,
Szuka pieczęi — lecz próżno, jak w piekło przepadły;

Krzyczy więc wpośród strasznych przekleństw i złorzeczeń:

„Jużem honor mój stracił — zabrakło dwóch pieczęci!

„Znikły wszystkie zasługi — laury powiędniały,

„Jeden dzień zgasił świetność tyloletniej chwały;

„Zdradziłem mą powinność, mój honor poniżył,

„A zwłaszcza Kondeuszów sławie tak ubliżył!“

Dochodzi wieść ta księcia, biegnie więc z pośpiechem:

„Cóż czynisz, mój Watelciu,“ rzecze mu z uśmiechem,

„Nie gniewam się lecz owszem dziękuję ci szczerze;

„Przewyborną dla króla dałeś mi wieczerzę;

„W całej chwale zabłysła dziś twoja przewodnia,

„A wręczcie, brak dwóch pieczęci nie tak wielka zbrodnia!“

Ukoił się nasz Watel, łzami skruchy zalał,

I dobroć swego pana pod nieba wychwalał.

Ale wkrótce go stokroć sroższy cios dobija;

Mija noc, mija ranek i południe mija,

A z sandaczem, którego król na obiad żąda,

Napróżno tylu razem posłańców wygląda;

Lata więc, krzyczy, wrzeszczy, rwie włosy, rozpacza,

W całej wściekłości woła śmierci — lub sandacza,

Sama śmierć odpowiada! — Watel się nie chwycje,

Stawają mu na myśli i sława i dzieje.

„Kiedy nie ma sandacza,“ z straszną ryknie złością,

„A więc życie ohydą, a śmierć powinnością!“

To rzekłszy, oręż chwytą, do serca przymierza,

Uderza się, uderza i jeszcze uderza;

Pada — krew go ubiega. Lecz o wieczne żale —

Gdyby się był na chwilę wstrzymał w swym zapale,

Chwilę tylko zniósł jeszcze te srogie męczarnie,

Byłby ujrział sandacza i nie zginął marnie!

Zaledwie, że wyzionął to szlachetne życie,

Już zewsząd rozgłaszają sandacza przybycie;

Szukają go, wołają, lecz o wielkie Bogi,

Cóż widzą? we krwi leży samobójca srogi!

O jakże postać jego rozbestwioną była,

Zdawało się, że straszna wściekłość go przeżyła,

Że się jakiś głos skryty z jego ran dobywał,

I silniej niż słowami sandacza przyzywał.

Mówią nawet, że kiedy po swym krwawym zgonie,

Przeplýwał już z Charonem wrzące Styxu tonie,

W Styxu nawet głębinę dzikie wlepił oczy,

Czyli swego sandacza gdzieś na dnie nie zoczy.

Tak skończył groźny Watel, Kato, Ajax nowy,

Najzaciętszy z marszałków — Solon objadowy.



CHITCHER CZYLI WIECZNIE MŁODY.

(Naśladowanie z poezji wschodnich.)

Chitcher, wieczyście młody, tak nam prawil:
Jadąc raz obok potężnej stolicy
Pytałem: Który król ten gród wystawił?
A człowiek w bliżkiej pracując winnicy
Tak mi rzekł na to: Gród ten z wieków stoi
I na wiek wieków runąć się nie boi.

I za lat pięćset, pielgrzym nieznużony,
Znowu te same przejeżdżałem strony.

Zastałem stepy puste, nieprzejrzane,
Sam pasterz wśród nich swój przegrywał trzodzie,
Badam go, pytam o tak straszną zmianę,
Lecz on o żadnym nie zasłyszał grodzie.

Od wieków, rzeczce, wszystkie trzody nasze
Na tę odwieczną pędzimy tu paszę...

I za lat pięćset, pielgrzym nieznużony,
Znowu te same przejeżdżałem strony.

Zastałem morza niezmierzone tonie
Pytam rybaka, co nad brzegiem siedział;
Oddawna morze zalało to błonie?
Rozśmiał się głośno, i tak mi powiedział:
Odkąd to morze morzem ludzie zowią,
Odtąd w nim ryby jak łowią tak łowią.

I za lat pięćset, pielgrzym nieznużony,
Znowu te same przejeżdżałem strony.

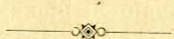
Zastałem lasem zarosłe obszary,
W nich pustelnika, który stu lat dożył.
Pytam go: Ojczy, jakże las ten stary?
A on mi: Bóg go razem z światem stworzył,
Jedno się wali, drugie wzrasta z czasem,
Tak las ten wiecznie był i będzie lasem.

I za lat pięćset, pielgrzym nieznużony,
Znowu te same przejeżdżałem strony.

I znów zastałem gród wielki, wspaniały,
Po rynkach wrzawę, krzyki i hałasy.
Pytam: Oddawnaż te gmachy powstały,
Gdzie są ów pasterz — i morze i lasy?

Lecz wrzawa moje zgłuszyła pytanie —
Tak się tam działo i dźiać nieprzestanie.

I za lat pięćset, pielgrzym nieznużony,
Znowu w te same będę jechał strony.



IV*

KLASYCY I ROMANTYCY POLSCY
w dwóch listach.

Julianowi Niemcewiczowi
bezstronnemu sędziemu plodów ojczystej literatury
w holdzie uszanowania pismo to poświęca
Autor.

LIST PIERWSZY DO KLASYKÓW.

Si veteres ita miratur laudatque poetas
Ut nihil anteferat, nihil illis comparet, errat.
Hor. Epi. I. Lib. II.

Każdeście to klasycy tak gniewni, zajadli,
Na ten biedny romantyzm od kilku lat wpadli?
Rozsądku zawsze w waszych wołacie kazaniach,
Widzę go w waszych dziełach, lecz nie widzę w zdaniach;
Poważnej Klassyczności gniewać się nie ładnie,
Mówionoby, że zazdrość waszém piórem władnie,
Ze Szyllery, Birony nową dążąc drogą,
Zastraszyc waszą sławę i prześcignąć mogą;

Niechaj mnie cień Boala od téj myśli broni,
 Na tym trakcie tak gładkim nikt was nie przegoni,
 Tym bardziej ta niezgrabna romantyków tłuszcza
 Co się, jak wy mówicie, manowcami puszcza,
 I przenosi nad wasze dzieła nieśmiertelne
 Swoje babskie powieści i pieśni kądzielne.
 Lecz na cóż się tak dąsać, jeżeli brednie klecą?
 Im śmielój dążą w przepaść, tem w nią prędzój wleczą;
 Nie wręście na tym świecie tak długo nie władają,
 Chwała, wielkość, potęga, wszystko tu upada;
 Któżby więc mógł z rozsądkiem utrzymywać śmiało,
 By same tylko głupstwo wiecznie bujać miało,
 Choć i to rozsądkowi zdaje się przeciwić,
 By się tyle narodów miało głupstwu dziwić. —
 — Wchodzę ja wprawdzie w gniewu waszego przyczynę;
 Że śmiano tak zaburzyć Apolla krainę,
 Ten Parnas starożytny, gdzie aż wspomnieć miło,
 Wszystko już tak spokojnym i tak cichym było,
 Że nikt mu już słodkiego snu myśli nie kłócił,
 A Feb co się za ledwie raz na wiek przecucił,
 Skarciwszy Ossyana i Szekspira zbrodnie,
 Chrapiącą klasycyzm zarządził swobodnie. —
 Minął już ten wiek złoty, i nie prędko wróci;
 Cały świat się zakłócił, więc i Parnas kłóci,
 Rośnie burza powszechna i pędząc od Szkotów,
 Z całą wrzawą bretońskich piorunów i grzmotów,
 Nie tylko prawowierne Franki wam zabiera,
 Lecz nawet do poczciwych już się Lechów wdziera,
 I tak szybko po całej Polsce się pomyka,
 Że raz po raz jakiegoś urwie wam Klasyka.

Strasliwa to jest kłeska, lecz jak jój zaradzić?
 Niepodobna jest cały świat do czubków wsadzić;
 Nielepięże by było walki nie otwierać,
 A zwłaszcza przesądami przesądów nie ścierać?
 Bo któż tych Anglomanów wściekły gniew uśmierzy.
 Nie jeden co was zdawna groźnym okiem mierzy,
 Mógłby do was tym płochym ozwać się językiem:
 „Zrzekam się waszój chwały, nie chcę być Klasykiem,
 „Jeśli mam to przytłumiać, com otrzymał w darze,
 „Jak głupie echo dawne podrzeźniać pisarze,
 „I z każdym się uczuciem dawnych radząc wieków,
 „Śmiać się śmiechem Rzymianów, płakać łzami Greków;
 „Lub jeśli to tak wielką zaletę stanowi,
 „Ukraść wiersz Horacemu, lub myśl Tacytowi,
 „I zyskać tę pochwałę dla swojej obrony:
 „Oto człowiek na dobrych wzorach zaprawiony;
 „Lub jeśli wręście waszym podobny klasykom,
 „Mam składać podle holdy Augustom, Ludwikom,
 „Więzy nieszczęsnych ludów uzłacać niegodnie
 „I zbrodnią poezji wspierać tronu zbrodnie;
 „Bóg sam tego zabrania, bym się tak ukorzył,
 „On mnie wieszczem mych czasów a nie małpą stworzył.“
 I jakaż z takiej kłótni korzyść wam wypłynie?
 Wśród wzajemnej przesady głos rozsądku zginie.
 Mają oni swe błędy, lecz i wy je macie,
 Takie głupstwo jest w starój jak i nowój szacie,
 Wręście jeśli coś znaczy wyrok sławnych ludzi,
 Każdy rodzaj jest dobry, prócz tego co nudzi.

Czemuż, czemuż nie mają jakieś śmielsze wieszcze
 Nowy nam poezji Eden odkryć jeszcze,
 A mędrsze tyłowiecznych doświadczeń przestroga,
 Nie znalazłszy go dawną, nową szukać drogą?
 Bracia! trzeba śmiałości! szczęście śmiałym sprzyja,
 Najpiękniejszym jest orzeł, gdy się w niebo wzbija!
 Jest jeszcze nowa sfera, nieznaną, daleką,
 Czeka swego zdobywcy i niepróżno czeka. —
 Ach! któżby mógł mieć duszę tak srogą, zaciętą,
 Aby chciał nam wydzierać tę ufność tak świętą,
 By śmiał gasić tę zorzę, co nam zdala dnieje,
 I tak piękne serce naszych zabijał nadzieje?
 Ten Bóg wielki, wszechmocny, co myśl ludzką stworzył,
 Nie takto ciasny przed nią świat marzeń roztworzył,
 By Homery, Marony, mimo wiecznej chwały,
 Już wszystko w nim i odkryć i wyczerpnąć miały.
 I cóż ztąd, że olbrzymiej sławie Rzymian, Greków,
 Nie zrównało aż dotąd tyle mężów, wieków,
 Czyż rycerz niezwalczony już nigdy nie legnie,
 Czyż ten czas dla przechadzki tylko naprzód biegnie?
 Jeżeli próżno jest zwykły bój toczyć z Dawnemi,
 A więc z nowych stanowisk trzeba walczyć z nimi.
 Tam dążyć, gdzie tak silna ufność ciągnie, wzywa,
 Ufność stwarza Kolomby i światy odkrywa.
 Któżby się wręście z swoim przeciwnikiem mierzył,
 Gdyby wprzód w podobieństwo zwycięztwa nie wierzył?
 Ale w jakążto walkę wdałem się niebacznie —
 Dopieroż to złość wasza obracać mnie zacznie.
 Od was to należało, wielkie Flakka wnuki,
 Nauczyć mi się wprzód strofowania sztuki,

Bo któżby wam w krytyce mógł zrównać na świecie?
 Wy to tylko, wy sami tak trafnie umiecie
 We wszystkim, co jest piękne, klassyczość ocenić,
 A każdą śmieszłą brednię romantyzmem mienić;
 Złapać tam jakieś słówko dziwaczne, przesadne,
 I już wiedzieć, że wszystko głupie i szkaradne;
 Tak się wręście przecuciem i instynktem rządzić,
 Że nawet bez czytania potraficie sądzić.

Lecz zkądże taka wrzawa, zkąd ten szczeł orężów,
 Jakież się zewsząd tłummy zbrojnych sypią mężów;
 Wszystkie razem Klassyki straszłą wojnę głoszą,
 Z pod Troi zapleśniałe sztandary wynoszą,
 Arystotem nabite wytaczają działa,
 I już sława Homerów do boju zagrzmiała!

Nie będę was w tym wściekłym wstrzymywał zapędzie,
 Chcecie wojny okrutni! niechże wojna będzie.
 Rzućcie się w te zawody, tak krwawe jak płocze,
 Ruszajcie więc, ruszajcie! tylko żwawiej troche,
 Nie bójcie się Birona okropnej pogoni,
 Już Hektor romantyzmu nie podniesie broni:
 Zbyt ciężko zasłużony cios go nie ominął,
 Błyszczał w ziemi Fingala, a w klassycznej zginął.
 Dalej więc, dalej wielkie tarcze Helikonu,
 Wznówcie boje Farsali, szturmujcie Ilionu;
 Niech żaden mir nie przerwie waszej zawziętości,
 Wy powstałi mściciele z Horacego kości,
 Nie dajcie się przełamać romantycznej młodzi,
 Wielbicielom Achilla tchórzyc się nie godzi.

Mężnie więc — mężnie bracia! tnijcie, rąbcie, sieczcie,
 Wbijajcie ich na pale, nawet żywcem pieczcie,
 A gdyby wam iść miało trochę twardo z niemi,
 Powiedzcie, że nie warto jest walczyć z głupiami.
 Tój jednéj im przynajmnieć nie odmówcie chwały,
 Że ich gockie ballady, wasz letarg przerwały,
 I że może z niejednéj wypoczętéj głowy
 Wymuszą kiedyś wręście jaki obraz nowy;
 Już się bowiem zdawało, że świat wieszczów znikał,
 I co Homer otworzył — to Wolter zamykał.



LIST DRUGI DO ROMANTYKÓW.

I had rather be a kitten and cry mew!
 Than one, of these same metre-ballad-mongers.
Shakspeare.

Zwycięztwo więc, zwycięztwo! krzyczą Romantycy,
 Odniesionv już tryumf, pierzchnęli Klassycy,
 Nie pomogli im Homer, Flakkus, ni Wirgili;
 Wszystkośmy to pogniotli i na miazgę zbili,
 A jeżeli przez nasze oszczędzony wieszczce,
 Jakiś tam niedobitek wałęsa się jeszcze,
 Niechaj mu romantyczna wspaniałość przebaczy
 Niech słucha naszych ballad i kona z rozpaczy.
 Dalej więc, dalej bracia, roztwierajcie szranki,
 Teraz czas się ubiegać, na zgliszcza, kurhanki,
 Teraz czas roić, bujać, i w *świetnym zawrocie*
Rozbijać się po wielkim marzeń kołowrocie,
 Zanurzać się w bezdenność, wzniesić nad gromów wrzawę,
 I na grobie Klassyków naszą wyrzyć sławę!

Wstrzymajcie się na chwilę z tym hucznym zapalem!
 Musiż i radość u was koniecznie być szalem?
 Mniej oni od was krzywdzą i gniewają Feba;
 Jeśli na nich satyry, na was gromu trzeba;
 Napróżno mnie waszemi straszycie potwory,
 Czary, duchy, szatany, strzygi i upiory;
 Napróżno nawet smakiem i rymy waszemi,
 Jużem się ich nasłuchał i oswoił z niemi;
 Śmiałą prawdę tym powiem, których hasłem śmiałość,
 Zbyt często chodzą w parze śmieszność i zuchwałość;
 Zuchwałością jest wszystkie pogwałcać ustawy,
 A śmiesznością tym torem dobijać się sławy.
 W liczne szkoły się ucnie dziela Rafaela,
 Lecz któraż tak dalece bredzić się ośmiela,
 Aby wbrew przyrodzenia odwiecznej zasadzie,
 Nie tam kładła ust, nosów, gdzie je druga kładzie.
 Dajmy na to, że wasze górnotne skrzydła
 Zbyt ciężkie dawnych wzorów tłoczyły prawidła,
 Że trzeba było Muzę w nowszą sferę zwrócić,
 I raz przecie to jarzmo tak haniebne zrzucić;
 Lecz czyż jeniec, co swoje rozerwie okowy,
 Ma koniecznie dla tego stracić rozum zdrowy,
 W wszystkich błędów i szaleństw puszczać się bezdroże,
 I tam chodzić na głowie, gdzie na nogach może?
 Krzyczycie na klasyków, że już nic nie śmieją,
 Że od wieków wrytą wlokąc się koleją,
 Tak wreszcie w rozjeżdżonej zarzneli już drodze,
 Że nie tylko sam Pelid, lecz i wszystkie wodze,
 Wszystkie Bogi — Pół-Bogi, mimo szczerzej woli,
 Już ich z téj tak okropnej nie wydzwigną doli:

Krzyczycie, że wciąż same Sparty, Rzymy roją,
 I mogąc się w swe własne, w cudze laury stroją,
 Gdzieś tam zawsze wspomnieniem sięgają dalekiem,
 Zawsze żyją z przeszłością, nigdy z swoim wiekiem,
 I tak patrzą za siebie, a szczególnym losem,
 Tego widzieć nie mogą co mają przed nosem.
 Przyznaję, że skarg waszych słuszne są powody,
 Bo na cóż zwiększać podle naśladowców trzody,
 Na cóż zawsze te same przerabiać obrazy,
 I wciąż mi to powtarzać, com słyszał sto razy,
 Kwiaty przez nazbyt liczne przechodzące dłonie
 Tracą wreszcie pierwotne blask, świeżość i wonie,
 I słabe to już bywa tych rysów odbicie,
 Które z naśladowania, naśladowują życie;
 Lecz jeśli i wy równie jesteście winnemi,
 A mam wybrać koniecznie, — wolę trzymać z niemi;
 Oni przynajmniej, w smutnej małpienia potrzebie,
 Homerów naśladowują, a wy samych siebie.
 Za nic wam są Szekspirów, Szyllerów przykłady,
 Spętana stopą własne powtarzacie ślady,
 I tak coście nowością samą darzyć mieli,
 Ledwieście się zrodzili, a już zestarzeli.

— Przebóg! pókiż nam będą wasze głosić dźwięki,
 I czułość tyłu zbójców i wisielców wdzięki,
 Kiedyż już wszystkie wasze zliczycie bożyszcza,
 Mogiły, mogilniki, kurhanki i zgliszcza?
 Zawszeż będą te widma głupich za nos wodzić
 I pielgrzym podkasany przez potoki brodzić?

Wiecznie więc — wiecznie chcecie owczym dążyć pędem,
 I też same obrazy długim ścigać rzędem?
 Ledwie, że z was jednego nocna zdusi zmora,
 Albo gdzieś tam brudnego wywlecze upiora;
 Jużci się za nim drugi w nocnej zrywa porze,
 Rozwala stare trumny, po cmentarzach orze,
 Od wieków śpiące trupy straszonym rymem budzi,
 I jakby nie dość żywych, jeszcze zmarłych nudzi;
 Kochać się nawet każe marom nieszczęśliwym,
 I w domiar losu wzdychać swoim wierszem ekliwym!
 Cóż dopiero, gdy straszne zabrękną kajdany,
 I po rozstajnych drogach zawyją szatany;
 Lub też wichur wśród stare zerwawszy się gruzy,
 Gwizdnie tam w ucho jakiejś rozmarzonej Muzy;
 Jużci z świetnym orszakim i sów i puhaćy,
 Całe pułki piekielnych sypią się tułaczy;
 Już tysiąc wichrów razem w stare zamki bije,
 Po pustych już piwnicach świszczce, jęczy, wyje;
 Lub gdzieś tam przez dziurawe gwizdże wam poddasze,
 Jakby gwizdał Horacy słysząc rymy wasze.
 Nie chcę ja was wstrzymywać w tylu uczuć tłumie,
 Często się romantyczność w wielkim mieści szumie;
 Lecz z takichżeto kwiatów sarmacki młodzieniec,
 Narodowych nam wspomnień będzie spletał wieniec.
 Takżeto będzie lutnię Kochanowskich kasał,
 I mijał Batorego, aby z strzygą szasał?

Jest piękność Muzie waszjej szczególnie właściwa,
 Która pewne obrazy lekką mgłą pokrywa,

Powoli je nasuwa mojej wyobraźni,
 Nie budzi jej gwałtownie, lecz przyjemnie drażni;
 I tyle tylko wdzięcznych rysów mi odkryśli,
 Bym sam rozkosz tworzenia w mojej uczuł myśli.
 Lecz cóżeście z tak lubym zrobili urokiem?
 Zamiast dnia gasnącego otaczać nas mrokiem,
 Tem światłem przycienionem, co tak mile skłania
 Do wdzięku tajemnicy, rozkoszy dumania
 Wy nas nieraz wieście w tak ciemne otchłanie,
 Że pomimo największe szukanie, macanie,
 Zbyt trudno nie pomieszać skutkiem nocnych cieni,
 Poety z opętańcem, a z szaleństwem pieni.
 Żaden wiek się na świecie z ciemności nie chlubił,
 Syn ciemności wśród raju jeszcze piękność zgubił,
 Ciemność zawsze prawd wszystkich najsroższym jest wrogiem
 A Feb nie tylko rymów — lecz i światła Bogiem.

Ale cóż to za liczne żale, łzy, rozpaczce,
 Iluż tu młodych wieszczów szłocha, jęczy, płacze,
 Ileż skarg, ile przekleństw, jak potwarce głosy,
 Na ziemię, ludzi, życie, naturę i losy!
 Nie ma dla nich pociechy, wszystko płonne, marne
 I jak w starych grobowcach zgasłe, ciemne, czarne,
 Zda się, że po wymarłej błakają się ziemi
 I cień Jeremiasza ulata nad niemi!

Stójcie! stójcie niebaczni! jakież to szal nowy,
 Tak rojne, cudotwórcze zawrócił wam głowy?
 Dziwią was, oburzają te gruzy, urwiska,
 Te młodą zgrzybiałością śmieszące zwaliska,

Co oplakując srogość udanej zagłady,
 Niezgrabnie burz i wieków przedrzeźniają ślady;
 Lecz czyliż i wy sami mniej gniewu budzicie,
 Tak młode i kwitnące oczerniając życie?
 Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek
 Jakiś tam romantyczny wyrwie Jeniuszek,
 Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
 Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi,
 Z jakiejś tam urojonój tęsknoty usycha,
 Je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha. —
 Wiem ja, że nie żyjemy w tak wesołym czasie,
 By sama tylko radość brzmiała na Parnasie,
 Lecz na cóż wam nieznane niedole okryślać,
 Niedożyte istotnych, trzebaż nowe zmyślać?
 Trzebaż, trzebaż tak srodze przez ten jęk żaloszny,
 Z pięknego maju życia zdzierać barwę wiosny,
 Okradać z wszystkich pociech młodość przerażoną
 I nieba, ziemię krwawą powlekać zasłoną,
 Jakby już Bóg dobroci przestał światem władać,
 I nie było mu za co dalszych dzięków składać!

— Ach! wskażę ja wam, wskażę do lez powód smutny,
 Stokroć on istotniejszy, chociaż mniej okrutny;
 Spójrzycie tylko sami na te kłęski nowe,
 Walące się na piękną ojców waszych mowę.
 Gdzież ów język naddziadów, ten ich obraz własny,
 Tak czysty, jak ich dzieje, a jak chwala jasny,
 Co w wdzięcznym śpiewie dziewic — w silnym słowie męża,
 Rozrzewniał jak łza matki, brzmiał jak szczepek oręża;

A jak ów wódz nad bratnie wyniesiony szyki
 Tak wszystkie ziem sławiańskich przewyższał języki. —
 Gdzież on jest, gdzie, powiedzcie, niebaczni pisarze,
 Któż go pozna w tym gminnym i rozlazłym gwarze,
 Wśród te twarde przybysze, wśród te chwasty szpetne,
 Głuszące podłym plonem Skargów laury świetne?
 Przebóg! cóż to za słowa? jakież dzikie brzmienia,
 Klóćą się z złotym dźwiękiem sarmackiego pienia?
 Tu głos surmy wśród lutni przebija się tonu,
 I po lirycznych strofach pędzi brodaczu Donu,
 Tam się w wdzięczną balladę cała Smorgoń wypycha,
 Tu jakiś gruby Kaszub po sielankach wzdycha;
 Puszy się dziki Pińczuk w rzewnym triolecie,
 Hajdamak w epepei, a Turek w sonecie!
 Jeżeli miłość ojczyzny wasze budzi lutnie,
 Za cóż się nad jój mową pastwić tak okrutnie?
 Szanowały ją wszystkie Sarmaacy wieszczce,
 A jak raz nas przeżyła, może przeżyć jeszcze.
 Polsko! jakże się w ów czas w swym żalu po tobie,
 Wnuki nasze na twoim rozumieją grobie! . . .
 Lecz cóż to? patrzcie bracia! z łona wiecznej chwały
 Powstaje Czarnolasu śpiewak osiwiady.
 Patrzcie, jak z głębi wieków ręce ku wam wznosi
 I nad mową Zygmunatów o litość was prosi.
 Nie miał on wprawdzie waszój zdolności, zasługi,
Nie mruczały mu sosny piosenek żeglugi,
Ni pułacz po nad śnieżne majaczył mu Tatry,
Ni mgła mu zadrzymała, ni czekały wiatry,
Nie znał on, nie znał nawet tych lubych katuszy,
By mu okropny powóz w tkliwój jeździł duszy,

Nie gardźcie przecież głosem, co tyle dzieł spladzał,
I który się przynajmniej zawsze z sensem zgadzał.
Nie chce on was w tym młodym ostudzać zapale,
Dążcie, dążcie ku nowój i nieznanój chwale,
Lecz jeśli świętój jego chcecie słuchać rady,
Łączcie dwóch szkół zalety, wygładzajcie wady,
I by samój śmiałości piękną nadać miarę,
Wysnute z nowych myśli piszcie wiersze stare.
Piszcie — ale nad wszystko stłumcie już te skargi,
Te nasz parnas ojczysty dwojące zatargi,
Czas niegodne szlachetnych bardów złożyć bronie
I starszym w chwale braciom polską podać dłonie.
Na cóż wam te prawideł, rodzajów, wywody —
Bliższemi, niż sądzicie, już jesteście zgody,
Jedna matka was swemi uwieńcza laurami,
Żadnej lutni bezbożność, ni podłość nie plami,
Jedno macie prawidło — bratnie kształcić plemię,
I jeden tylko rodzaj — polską śpiewać ziemię.



NA ŚMIERĆ KARPIŃSKIEGO.

Zgasłeś więc stary bardzie, pełen lat i chwały,
I ta lutnia, którą ci dawne wieszcze zdały,
Którą wzniosłe Dawida powtarzając dźwięki,
Smutne własnej ojczyzny dołączałeś jęki,
I nęcać z wrzawy świata do wiejskiej prostoty,
W niezgojne rany ziomek łeś pokój cnoty;
Już niestety wraz z tobą ucichła wieczyście!
Leży jeszcze w laurowe przystrojona liście,
Lecz jak wyschłego źródła umarłe już łożo,
Żalem nawet po tobie przemówić nie może.

Karpiński! któż ją teraz z rąk twych odziedziczy,
Któryż wieszcz z równa twojój prostocie, słodczy?
Każdy dźwięk twój po całym narodzie zasłynął,
Jak tkliwy żal dzieciny w wszystkie serca płynął,
Powtarzały go nasze lasy, pola, wioski,
Koił się ciężki smutek, uciszały troski;

Biegła miłość wieśniacza z pod swęj nizkięj strzechy
 Usłyszeć swoje trwogi, żale i pociechy;
 Rolnik nawet na wszystkie niedole skazany,
 Patrząc na zaniedbane ojców swoich łany,
 Zniszczony krwawą wojną i wszystko straciwszy,
 Zanucił twoję piosnkę i orał szczęśliwszy.
 Tak z naszym Kazimierzem chwałę podzieliłeś:
 On był królem wieśniaków, ty ich wieszczem byłeś.
 Nie miała twoja ziemia wdzięku obcych krajów,
 Tych powabnych miłości i pocie gajów;
 Nie przybrały jęj losy w te świetne obrazy,
 Te grzmiące wodospady, te olbrzymie głązy,
 Te twory niepamiętnych przyrodzenia zdarzeń,
 Cuda czarów z krainy wywołane marzeń;
 Nie zatrzał przecieź duszy twojęj niesmak podły,
 Ni cię wdzięki ziem obcych od twojęj odwiody,
 Tyś nigdy świętych serca uczuć nie przytłumiał,
 Tyś i niepiękną Polskę tkliwie kochać umiał;
 Dość miała dla twęj duszy wdzięku i ozdoby,
 Że się na nięj wznosiły stare ojców groby,
 Że świetna rodu twego okryła ją chwała,
 I że mowa Zygmunów po jęj polach brzmiała.
 Samo nawet nieszczęście, sam jęj zgon tak krwawy,
 Te rozpierzchłe sny szczęścia, wielkości i sławy,
 Te łzy, gruzy, zwałiska i ten los zaciekły,
 Tkliwym dla cię urokiem jęj ziemię powlekły.
 Ztąd to nizkie jęj kmiotków opiewając chaty,
 Znalazłeś na jęj niwach nieśmiertelne kwiaty;
 Nie potrzeba ci było do polskiego rymu,
 Brać obcych nam obrazów od Aten i Rzymu,

Dość ci farb dostarczały nasze łąki, pola,
 Nasz pasterz, nasze wiosny i nasza niedola!
 Iluż wieszczów w ten zawód z tobą biegło razem,
 Ten świetnym złotych wieków łudził nas obrazem;
 Ci z pieszczęszych wyrazów gładszy rym toczyli,
 Ten śpiewał jak Teokryt, tamten jak Wirgili;
 Tyś sam wieniec nagrody zyskał przed wszystkimi
 Bo i w pieniu twem byłeś wierny twojęj ziemi —
 I jakże ci nie miało lutni podać w dłonie,
 To tak miłe twym przodkom rodzime ustronie,
 Ten dąb co cię w dzieciństwie swoim cieniem darzył,
 Pod którym może ojciec o twem szczęściu marzył;
 Ta młoda się nadzieją zieleniąca niwa,
 Te pod błyskiem twych sierpów ścielące się żniwa,
 Te nakoniec wieśniaki, na twój głos tak tkliwe,
 Jeszcze jak Piast orzące i jak Piast pocziwe;
 Ten Bóg wreszcie, co od nich zbrodnie miast odsuwał,
 Który to wszystko stworzył i nad wszystkim czuwał.

Ale nie dość ci było Poety imienia.
 Całem życiem stwierdzałeś szczerść twego pienia.
 Tak kiedy ów tłum wieszczów, co się w miastach chronił,
 Nęcił nas do tęj wioski od kótorej sam stronił;
 Tyś każdy los podzielał z wieśniaki twojemi,
 Razem żył, razem cierpiał, razem płakał z niemi.
 Tyś ich w trudach pokrzepiał, ty boleść łagodził,
 I wskazując w niebiososa z ziemią ich pogodził. —

Spoczywaj, zacyjny bardzie, w twoim cichym grobie
 Wśród tych kmiotków tak znanych i tak miłych tobie,

Przy starych twoich sługach, mogile sieroty...
Zgodzą się wasze prochy, jak zgadzały cnoty;
A ty Polsko, coś jego okryła się chwałą,
Złóż mu na tym grobowcu lutnię oniemiałą;
Może kiedyś gdy wietrzyk swym chłodnym powiewem,
Stojącym nad mogiłą zaszeleści drzewem;
Spadkiem liści jesiennych przebudzana mile,
Zapomnianym już brzękiem ozwie się na chwilę;
A gdy ją dojdzie kiedyś odgłos polskiej chwały,
Z popiołów nawet swoich wyda dźwięk wspaniały.



ODPIS NA WEZWANIE DO PISANIA EPOPEI,
TRAJEDYI, SATYR I TD.

Nie chcesz bym pełzał po ziemi,
Każesz w wyższe sfery wzlatać,
I tak zuchwale się bratać
Z Sofoklami, Horacemi.
Wszystkie razem wieńce chwały
Odwadze mojej przyrzekasz;
I gdzie bujał Pindar śmiały,
Tam gdzieś pod słońcem mię czekasz.
Chceszże w tyłu razem płodach,
We wszystkich wieszczach zawodach
Upadku mego być świadkiem?
A gdybym ja też przypadkiem,
Lecąc przez powietrzne szlaki,
Natrafił na piorun jaki,

Coby mnie zgromił haniebnie,
 Lub gdybym w ślepym zapale,
 W samo słońce wpadł zuchwale,
 I tam zgorzał niepotrzebnie!
 Na taką mnie to zagładę
 Niebacznosc twoja wystawia,
 Taką przyjaźń daje radę,
 Takżeto serce przemawia?

Ale zkądże moje lutnię
 Płocha wesołość porywa;
 Zkądże, zkądże tak okrutnie
 Dawnym się dźwiękiem odzywa?
 Czyż niepomna mego losu,
 I ona go nie osłodzi?
 Czyż i ona swego głosu,
 Już z mojem sercem nie zgodzi?
 Ach! gdyby nawet na chwilę
 Mogła w dawniej zabrzmieć sile,
 Gdybym nawet wiersz odlewał,
 Jakim Szekspir, Byron śpiewał,
 Gdybym w sławnej krwi ubroczył
 Melpomeny sztylet srogi,
 Gdybym ojczyste półbogi
 Holdem stu wieków otoczył;
 Cóżbym otrzymał w korzyści?
 Listek lauru, liczne smutki,
 Prace, szyderstwa, zawiści,
 Wsławionego życia skutki.

Sława powabną ma postać,
 Lecz jej zawód jest zdradliwym,
 Trudno nieśmiertelnym zostać,
 Trudniej jeszcze być szczęśliwym!
 Znałem ja niegdyś swobodę,
 W której płyną lata młode;
 Żadne pióro nie okryśli
 Lat wiosennych omamienia,
 Błąkały się młode myśli
 Po wielkiem państwie marzenia;
 Inne mi słońce świeciło,
 Nie kryła go żadna chmura,
 Wszystko ponętniejszem było,
 Sława, ludzie i natura.
 W wszystkim się życia koleje
 Z młodzieńczą rzucał swobodą;
 Miłość, szczęście i nadzieje,
 Wszystko duszą piłem młodą;
 Jakby w miłości krainie
 Życiem tylko serca żyłem,
 I przez łzy szczęścia jedynie
 Na świat ten — świat mój patrzyłem!

Czarowne kraje uroku,
 Jakżem was spiesznie przepłynął
 I w jakże ciemnym pomroku
 Świat mych omamień zaginał!

Zgasło szczęście, młodość zbiegła,
 Boleść w krwawej wrzała ranie,
 Jakaś okropność zaległa,
 Bezdenne myśli otchłanie;
 Snuły się czarne widziadła
 Po ciężkiej życia kolei,
 W jednej się chwili rozpadła
 Budowa tyłu nadziei!
 Próżno, próżno oczy moje
 Na lube zwracam pamiętki,
 Zbieram szczęścia mego szczątki,
 Już ja z nich szczęścia nie spoję!
 Już i lutnia oniemiała
 Potarganych strun nie zgodzi:
 Dusza boleścią zwiędniała
 Dawnych uniesień nie zrodzi.
 Nie — nie zwrócę wód potoku,
 Dawnych marzeń nie odwołam,
 Nie rozjaśnię duszy mroku,
 Przed sobą uciec nie zdołam;
 Bo od czego człowiek stroni,
 To wryte wewnątrz człowieka;
 A to za czem wiecznie goni,
 Wiecznie od niego ucieka;
 Niech cię nie zwodzi chęć sławy,
 Co czasem we mnie powstanie;
 Lub to wpośród świata wrzawy
 Płochę rozrywek szukanie;
 Nie wierz tym marnym pociechom,
 Z których mnie żadna nie wzruszy,

Ni tym zmuszonym uśmiechom,
 Co kłamią pokój mej duszy
 Są to owe kwiaty płonne.
 Co już w późną jesień wzrosną,
 Wątle, blade i bezwonne,
 I udaną zwodzą wiosną.
 Przyjdzie może chwila zmiany,
 Gdzie od losu litośniejszy
 Czas co wszystkie goi rany,
 I moje boleść umniejszy —
 Ale ileż lat cierpienia,
 Ileż łez mnie oczekiwa,
 Nim się ta przyszłość leniwa
 Doczołga z chwilą ulżenia!

DO MILCZĄCEGO JAXY.

Sowo Minerwy, perło Apolla,
Szczytna topoli w poetów klombie,
Ty coś tak piękne grywał nam sola,
Na Feba trombie.

Sławny pijaku krynic parnaskich,
Coś Bielawskiego, coś Jacka przepił,
Któż ci na wieczny smutek Morawskich
Gębę zalepił?

Był czas gdy jeden Bóg nas prowadził,
I przyjacielskie godził nam lutnie,
A każdy z nas się na koncept sadił,
Kto lepiej utnie.

Wtenczas to jakby Etna wzburzona,
Wiersześ nam miotał, wierszem grzmiał, ryczał,
Dziarski twój pegaz zadarł ogona,
Wierzgał i kwiczał.

Każden ci wprawdzie łatki przypinał,
Lecz i tyś dowiódł że umiesz kąsać:
Poznał świat wówczas, co za kryminał
Jaxą potrząsać.

I skądże po téj bójce tak grackiej
Milczysz na wieczne dni mych zatrucie,
Zapij! ach zapij — grzędy sarmackiej
Sławny kogucie!

ODPOWIEDŹ GODEBSKIEMU.

Imieniem Jaxy M.

Panie Godebski,
Wiersz twój jest kiepski;
Lepiej młodziku,
Nuć kukuryku;
Ja pisze wiersze
Nie jak ty piersze;
Mnie Muza pieści
Już lat czterdzieści;
Jeszcześ był w jajku
Mały hultajku,
Gdym w Parnas wkroczył
I już przeskoczył
W sztuce Apolla.
Kiszkę i Molla;
Kijów mnie głosił,
Na rękę nosił,

Karmił i poił;
A gdym się stroił
W wieniec wołyński,
Płakał Feliński. —

Cóżeś ty zrobił,
Byś się ozdobił
Laurem poety;
Gdzież twe *Gorsety*
Ty piszesz drwinki,
Ja *Upominki*,
Ty mód żurnale,
Ja *Rzeki* wałę!
Sypią się tomy,
A świat łakomy
Na moje *Treny*,
Znawce, *Ireny*,
Pszonki, *Pobyty*,
Stoi jak wryty
Nad każdą kartą,
Z gębą otwartą!

Prawda, że wielu
Ma mnie na celu,
I drwi potężnie;
Lecz czemuż mężnie
Nie znieść pocisku,
Zwłaszcza dla zysku?
Przy darze Feba,
Rozum mieć trzeba;

Moja intrata
Prenumerata;
Wreście mój Panie,
U nich śniadanie,
Obiad, wieczerze;
A ja ci szczerze
Powiem po prostu,
Nie lubię postu.
W straszném zawzięciu
Żrę za dziesięciu.

Ciszój więc bratku,
Gdyż na ostatku
Jak się rozjuszę
I z zemstą ruszę,
Tak ci dogryzę
Przez improwizę,
I taki na cię
W drwin tych oplacie
Lunę trzy-dniowy,
Potop rymowy,
Że z strachu cały,
Jak trup skościaily,
Świata się zrzekniesz,
W piekło uciekniesz,
A ja tam nawet,
Płacąc wet-za-wet,
Na kark ci wsiedę,
Wiersze ciąc będę;

I tak z ich hurmem
Uderzę szturmem,
Że wszystko zburzę,
Djabłów wykurzę;
Sam szatan ryknie,
O litość krzyknie!
Tak wreście dzielny,
Długi — piekielny
Wiersz ci zawyję;
Że mózg ci zryje,
Szpik ci wysuszy,
Piekła zagłuszy,
I jak lew w dzieczy
Wieczność przeryczy!



V.

BOGA - RODZICA.

Wytężona modłami, wzbiciem zachwycenia
Zadźwiękła świętość duszy w boskim apostołe;
Wylał się strumień hymnu, i jak źródło zbawienia
Brzmiącym prądem opłynął wielkie Sławian pole.

Zagrzmiały nim świątynie i cały ród Lecha,
Przed hufcami Chrobrego wrzał jak huk nawały;
Kamienne go Krępaku pochwyciły echa,
I zagrawszy nim ziemi, niebu go przesłały.

I pierwszy raz Bóg słyszał dźwięk sławiańskich głosów
Jak w bezdenne błękitu wzbijały się tonie;
Gwiazdy się rozstały — i na tle niebiosów
Marya, w ludów polskich zabłysła koronie.

Wszystkie góry tonęły w wonnym ofiar dymie,
Mościł się lud potężny pod Jój boskie stopy;
Wojak na swym orężu rył Jój święte imie,
I podniebne Jój gmachów łupem wieńczył stropy.

Gdziekolwiek Jój ołtarze sławą cudów wzrosły,
Ciągnął w śpiewnych pielgrzymkach lud Chrystusa nowy;
Matki, Matce niebieskiej drobnych Sławian nosły,
I o progi Jój świątyń biły królów głowy.

Boga, Boga-Rodzica! w całym brzmiało państwie,
Boga, Boga-Rodzica! lud i kościół śpiewał;
A jak szumny nurt Wisły pędzi po Sławianstwie,
Tak się nad niem w powietrzu wielki hymn przelewał.

I tak długi czas było — i czas ten upłynął,
Błądła wiara i język nowe przybrał zmiany;
Z znikłą czucia prostotą i ten hymn zaginął,
W świątyniach nawet pańskich wybrzmiał zapomniany.

Zamilkł ów osiwały rodzic wszystkich pieśni,
Ów pierwszy w niebo żeglarz z dziedzin polskiej ziemi;
Zamilkł — i w zacnej szacie świętej czasów pleśni
Zstąpił w grób starych wieków i pokrył się niemi.

Chwała tobie Gnieźnieńska bazyliko, chwała!
Arko święta, ludowi twemu wiecznie droga,
Tyś mu to w twój kamienną piersi przechowała,
Pierwszy dźwięk jego lutni, pierwszy głos do Boga.

Hymn twój przebrzmiał przez wszystkie wieki tej krainy
Na jej grobie brzmi nawet, dawną wiarę wskrzesza
Tak nas ciesząc, jak Judy rozproszone syny,
Gdzieś tam z za gór przeszłości stary głos Mojżesza!

Dźwięk to pierwszy tej Polski, jako niebios córy,
Głos anioła przez tysiąc lat do nas dowiany,
Co się łamał o wieki, sław i nieszczęście góry,
I jeszcze o serce naszych odbija się rany.

Pieśń to matki nad ludu kołyską śpiewana,
Pierwiosnek sarmackiego maju chrześcijaństwa,
Hostya przez pierwszego wzniesiona kapłana,
Świetna tęcza na grubiej ciemnocie pogaństwa.

Ożył! ożył na nowo, złany lżą cierpienia,
Ów kwiat, dziecię pierwszego wiary naszej wschodu;
I ten zgasły łuk tęczy znów się rozpromienia,
Oparty na kołysce i grobie narodu.

Cały lud ten na nowo swój Maryi woła,
Woła, błaga leż głosem i śpiewem żaloby;
Boga, Boga-Rodzica! wołają dokoła
Brzęk kajdan, puszcze wygnać i rozległe groby!

O nie daj, nie daj cichnąć hymnu tego dźwiękom
Wznos go stara świątyni, w dawniej wierze, cześci,
Któż wie, może się naszym ulituje jękom,
Niegdyś nasza Królowa — dziś Matka boleści!



RÓŻA DUCHOWA.

Z litanii do N. Panny.

Krótko nas nęci róża młodości,
 A krócej jeszcze róża piękności,
 Ale najkrócej, wąż i nikła,
 Róża radości błyszczeć nam zwykła.
 Ziemskie to kwiaty, krótko promienia,
 Z prochu się rodzą i w proch się mienia.
 Blask ich tak żywy, wdzięk tak uroczy,
 Lecz ła je gasi lub robak toczy.
 Innéj, ach innéj róży nam trzeba,
 Z świetnością gwiazdy i z barwą Nieba;
 Róży bez cierni i zawsze w kwiecie,
 Jednéj, jednéj na całym świecie,
 Co w ciężkim życia twardego boju
 Strząsa na serca rośę pokoju,
 I z dziewiczego piersi swéj tchnienia
 Rozwonia cały okres Stworzenia!

O! tam gdzie w górę oczy me płyną
 Za nocą ziemi, za gwiazd krainą,
 Tam wiecznym wdziękiem i w wiecznej wiosnie
 Przy samem *Źródle tajemnic* rośnie.

Kwiat ten przesłiczny,
 Kwiat ten mistyczny,
 Cudowny utwór Boskiego słowa
 Róża duchowa!

Ściągnijmy modłą, hymny naszemi,
 Różę tę z Niebios na padół ziemi,
 Wnieśmy ją w szczytnych Bazylik mury,
 Stawmy na ołtarz, wzbijmy do góry.
 Niech Jój tysiączne światła zabłysną,
 Ziemskie się kwiaty do stóp Jój cisną,
 Niech się Jój kościół iskrzy, promieni,
 Świetnością złota, blaskiem kamieni.
 Niech wzniosłym Psalmem, ludy, kapłany,
 Z uroczystemi zagrzmią organy,
 Niech się woń wzbija! niech biją czoła!
 A świat ten witaj! witaj nam woła.

Kwiecie przesłiczny,
 Kwiecie mistyczny,
 Cudowny twórce Boskiego słowa
 Różo duchowa!

Róża ta jeszcze w zawiązku była,
 A już Jój gwiazda Łaski świeciła.
 Żaden cień pyłku nie émił szkarłatu
 Tajemniczego ziemi téj kwiatu,

Róży przeczystej, z wszystkich wybranėj,
W samém poczęciu Niepokalanėj!
Najczystszy Niebios pieszcząc promieniem,
Aniół Ją swoim rozwijał tchnieniem,
A gdy już w słońcu wiosennėj pory
Rozkwitła w ciszy jak kwiat pokory,
Gołąb Syonu z Niebiosów spłynął
I nad Nią śnieżne skrzydła rozwinął;
I cudem, z pod ich wydała cienia
Róża dziewica, owoc Zbawienia!
Ziemia i Niebo chwałą Jój brzmiały,
Wszystkie się pieśni w wielki hymn złąły.
Hozanna Tobie! Bądź pozdrowiona!
Hozanna Tobie, różczko Arona!
 Kwiecie prześliczny,
 Kwiecie mistyczny,
Cudowny tworze Boskiego Słowa
 Różo duchowa!

Korzcie się, ścielcie na twarz ziemiany!
Kielich téj róży Łaską wezbrany.
Z każdego listka spływa zdrój święty,
Na grzech złamany, skrucną przygięty,
Spływa na każdą boleść w naturze,
Balsam na rany, pokój na burze;
I jak wieńczące łask tych obfitość —
Na całą ziemię — Miłość i litość!
Zbliź się więc ludny w cierpiących świecie!
Matko schorzałe przedstaw jój dziecie,

Pójdźcie po siłę zdeptane cnoty,
Uzał się przed nią nędzo sieroty,
Przystąpcie wszyscy biedni, zgłodniali,
Tonący z morskiej wzywaj ją fali,
Pójdź i ty wreście, wzywaj Jój cudu,
Tak miły niegdyś sercu Jój Ludu!
Zabręknij przed Nią twemi kajdany,
Wyjęcz twą boleść, obnaż tve rany,
I wołaj, ciężkim zgniecion podbojem:
Zawoń nadzieją, zroś pociech zdrojem!
 Kwiecie prześliczny,
 Kwiecie mistyczny,
Cudowny tworze Boskiego Słowa
 Różo duchowa!

MODLITWA DLA GÓRNIKÓW.

I.

Idąc do pracy.

Boże! gdzie nigdy słońce Twe nie świeci,
Tam się spuszcza w głąb ziemi,
Na niej zostają nasze żony, dzieci —
Jak Ojciec czuwaj nad niemi.

Przyjmij łzę skruchy, przyjmij łzę pokuty,
Odpuść, ach odpuść nam Boże!
Idziem, gdzie każda głębia, jar wykuty —
I naszym grobem być może.

Otul nas Panie skrzydłem Twojej pieczy,
Ukoj ziemską bojaźń, troski;
Na pracę skazał cały ród człowieczy,
Spełniamy wyrok Twój Boski.

O! wlej w nas miłość, wlej nam ducha zgody,
Chęć wsparcia w każdej potrzebie;
Idziem na wspólne losy i przygody,
Bądźmyż i braćmi dla siebie.

Daj, by ten kruszec, któryś łask Twych cudem,
W wnętrzościach ziemi tój złożył,
Naszym pocziwym wydobyty trudem —
Wdzięczność Ci świata pomnożył.

O czuwaj Panie, czuwaj nad wszystkiemi,
Wlej dobroć w serca zwierchników,
Błogosław znojom oracza na ziemi,
Pod ziemią pracy górników!

II.

Po skończonej pracy.

Boże! któryś nas, jak gwiazda zbawienia,
Z tój czarnej wywiódł ciemnicy,
Trzymał te groźne nad nami sklepienia
Wszeczną Twoją prawicą; —

Ty, coś mógł zgładzić, a przecież ocalasz,
Zarobnym darzysz nas chlebem,
I znowu, Panie, cieszyć się dozwalaś
Tem słońcem, ziemią i niebem:

Chwała Ci, chwała! — chwała na poziomie!
Chwała po niebios przestworze!
Chwała w tym całym stworzenia ogromie!
Chwała i w naszej pokorze!

O daj nam, Panie! wśród naszej rodziny
Z wdzięcznym Ci sercem powrócić,
Razem z nią wieczór ten przeżyć bez winy,
Jutro się w Tobie ocucić.

Daj z nas każdemu w zgodzie żyć z wszystkimi,
Daj się w Twój łasce odrodzić,
I codzien takim wracać w głąb' téj ziemi,
Jakby do grobu miał schodzić.

— ❧ —

RORATY.

—

Niebiosa rośę spuszczaćcie z góry,
Sprawiedliwego wylejcie chmury!

O wstrzymaj, wstrzymaj Twoje zagniewanie,
I zbrodni naszych zapomnij już Panie!
Pusto w Twem mieście i pusto w Syonie,
Jerozolima w łzach boleści tonie;
Runął dom Twojej świętości i chwały
Gdzie dla Cię hymny ojców naszych brzmiały.

Niebiosa rośę spuszczaćcie z góry!
Sprawiedliwego wylejcie chmury.

Grzech nas oszpecił i w sprośnej postaci
Stoim przed Tobą jakby trędowaci.
Padliśmy wszyscy, jakby liść jesieni —
Zbrodniami jakby wichrem uniesieni.

Tyś Twe oblicze zasłonił przed nami,
I Tyś naszymi zламаł nas zbrodniami!

Niebiosa roś spuszczajcie z góry!
Sprawiedliwego wylejcie chmury.

O spojrzuj, spojrzuj na lud Twój znękany,
I ześlij Tego co ma być zesłany!
Wypuść baranka — o daj niech przybędzie
Z głązów pustyni — niech nam Panem będzie!
Na górze córy Syonu się zjawi,
I po łzach tyłu z jarzma nas wybawi.

Niebiosa roś spuszczajcie z góry
Sprawiedliwego wylejcie chmury.

Pociesz się ludu, pociesz w twój niedoli,
Już się przybliża kres twojej niewoli!
Czemuż się smucisz, bolejesz tak srodze?
Nie bój się, nie bój, Ja cię wyswobodzę!
Jam jest twym Panem, ja doli twój Sprawcą,
Ja twoim Świętym, Ja Bogiem, Ja Zbawcą.

Niebiosa roś spuszczajcie z góry!
Sprawiedliwego wylejcie chmury.

Roztwórz się ziemio i z łona twego
Wydaj nam Zbawcę naszego!



MSZA ŚWIĘTA.

—
Kirye.

Boże! lud twój czią przejęty
Wszecmocność twoją głosi.
Oczy na twój ołtarz święty,
Serca do ciebie wznosi.

Liczne na nas ciężą winy,
Lecz niech żal nasz litość wznieci,
Przyjmij ojcze grzeszne syny
Nie odpychaj twoich dzieci.

—
Gloria.

Chwalcie Boga wszystkie rody,
Chwalcie go wszystkie istoty!
Bóg to pokoju i zgody,
Bóg niewinnych, Bóg sieroty.

Chwalcie wszystkie serca, głosy,
Bog to miłości, opieki!
Chwalcie go ziemio, niebiosy
Chwalcie teraz i na wieki!

Ewangelia.

Bóg to, Bóg sam w tych wyrazach
Swoje prawdy nam ogłasza.
Na tych to warownych głazach
Stoi święta wiara nasza.
Panie! tysiąc wieków spłynie,
Świata skruszy się budowa,
Minie ziemia, niebo minie —
Nie przemina Twoje słowa.

Credo.

Wierzymy Boże ojczy w Ciebie,
Ty życie, duszę wlałeś nam.
Tyś Panem ziemi, Panem w niebie,
Tyś Stwórca, Ty wszechmocny sam!
Wierzymy w Syna Twego Bóstwo,
I że poczętym z ducha był —
Zniósł męki, krzywdy, śmierć, ubóstwo,
By grzechy ludu swego zmył.

Wierzymy w prawdę wszystkich cudów,
Wierzymy w święty kościół nasz,
Że przyjdiesz Sędzią wszystkich ludów,
Że wieczne, wieczne życie dasz!

Offertorium.

Przyjmij od nas, przyjmij Panie
Tę ofiarę chleba, wina,
Co się blizkim cudem stanie
Krwia i ciałem Twego Syna.
Przyjm ją Panie z dłoń kapłańskich
Niechaj nasze grzechy ściiera,
Zwraca do cnót chrześcijańskich
I drogę Niebios otwiera.

Sanctus.

Święty! Święty, Pan w niebiosach!
Bóg wszechmocny! niepojęty!
Święty! w zgodnych wielbmy głosach
Bóg zastępów, Święty! Święty!
Łączmy głos nasz z Niebios pieniem,
Niech świat cały czią przejęty,
Jednem wielbi go imieniem,
Jednem hymnem: Święty! Święty!

Benedictus.

Spojrzyj z twego tronu, Boże!
Przyjmij głos twego kapłana.
Cóż Cię silniej wzruszyć może
Jak krew Syna, za nas łana?
Zawsze On swemi mękami,
Swym Cię zgonem błaga, prosi,
On i w tej chwili za nami
Krzyż swój do Ciebie podnosi.

Agnus.

Lejmy łzy chrześciany
Syn Boży za nas ginie,
Za nas to z każdej rany
Ta krew tak święta płynie.
Z pokorą On na siebie
Nasze bierze winy,
I błaga Ojca w Niebie
By spojrzał na syny.

Kommunia św.

Niegodny jestem Panie
Przyjąć Cię do duszy,
Lecz niechaj to wyznanie
Niech Cię żal mój wzruszy.

Pociesz mnie przebaczeniem,
Daruj winy, zbrodnie,
I uświęć Twem wejrzeniem
Bym cię przyjął godnie.

Ite Missa est.

Już ofiara dopelniona
Święte dzieło niebios cudu,
Bóg nasza miłość, obrona,
Słuchał prośby swego ludu.
Chylmy czoła, wielbmy Pana!
Niech go nasza wdzięczność sławi;
Oto przez swego kapłana
Dzieciom swoim błogosławi.

Te Deum laudamus.

Chwała Tobie, chwała Panie!
Świat Cię kornem wielbi pieniem,
Całe niebo, wieczność cała!
Twojem tylko brzmi imieniem.
Przyjmij wdzięcznych serc wylanie
Chwała Tobie, chwała Panie!

Chwała Ci za wszystkie dary,
Co na ludzkie zlewasz plemię,
Tyś to spoił węzłem wiary
Siebie z ludźmi, z niebem ziemię,

Tyś nam ojcem w każdej dobie,
Chwała Boże! chwała Tobie!

Chwała Ci na polach sławy,
Ty zapalasz ogniem męztwa,
Ty to wspierasz dobre sprawy,
Ty sam wiesz do zwycięstwa.
Twoja to moc wszystko działa,
Nie nam Panie, Tobie chwała.



MODLITWA ZA ADAMA MICKIEWICZA.
(1843 r.)

— — —

Boże! przyjąć racz
Całej Polski płacz!
Wstrzymaj groźny sąd
Na Adama błąd,
Co w tak sprosny bój
Wyzwał kościół Twój.
Podnieś nad nim krzyż,
Dumę jego zniź;
Ześlij wiary dar,
Zgaś nieczysty żar;
Niech się wzniesie z win
Sławny Polski syn!
Boże przyjąć racz
Całej Polski płacz!

Panie, brat to nasz,
Serce jego znasz,
Łatwo zbląka szal
Pychę wielkich chwał.
Lecz niech Twoja dłoń
Grzeszną dotknie skroń,
A tam pod tron Twój
Taki tryśnie zdrój,
Takich żalów jęk
Takięj pieśni dźwięk,
Że z podniebnych chmur
Twych aniołów chór
Święty słysząc rym,
Hymn swój zleje z nim!
Boże przyjąć racz
Całej Polski płacz!

Zwróć go Panie, zwróć!
Okiem Ojca rzuć.
Maż ten wzniosły dąb,
W taką runąć głąb?
Maż ta gwiazda spaść
Z takim wstydem zgaść?!...
Boże, przez twój cud!
Pociesz biedny lud!
Już on tyle mąk
Z Twoich przyjął rąk;
Starych zbrodni pył
Krwia i łzami zmył;

Codzień nowy jęk,
Codzień kajdan brzęk,
Codzień wyższy grób
Do Twych sięga stóp!
Boże przyjąć racz
Całej Polski płacz!



CISZA W DUSZY.

Taki pokój wam przynoszę
Jakiego świat ten nie daje.

Jakiż we mnie pokój, zgoda,
Dusza jak lekka, jak młoda!
O nigdy z sercem tak błogiem
I nigdy nie był tak z Bogiem!

Taką ciszą pierś oddycha,
Jak gdyby życiem za świata;
Myśl tak senna, czysta, cicha,
Jak woń, co z kwiatu ulata.

Świątą życia śnię ja chwilę...
O! niech świat ten mnie nie budzi!
Gdy tak łatwo, gdy tak mile,
Kochać i Stwórcę i ludzi.

Jak tym ptaszkom tak wesoło
Gdy się w górę zerwą z ziemi,
Pokój w sercach — pokój w koło —
I pokój Nieba nad niemi.

Tak i duszy mej swobodnie
Gdy wciąż wyżej, wyżej leci!
A w jej głębi tak pogodnie
Nieśmiertelna zorza świeci.

O! tak z łona nocnych cieni,
Młody ranek się rozwija;
Tak w rozległej wód przestrzeni
Całe niebo się odbija!

⊗

O! nie się model nie oprze potędze!
Przebaczać jednak, kochać, wspierać nędzę,
Niedać bliźniemu grzechem się upodlić,
Jest to najświęciój się modlić!



MODLIĆ SIĘ.



Modlić się — jest to o najwyższe prosić,
Modlić się — jest to zniżyć się by wznosić,
Jest to najczystsza miłością zapłonąć,
Jest to w samym Bogu tonąć.

Modlić się — jest to w ciężkim życia boju
Walczyć, i w walce dobić się pokoju,
Jest to po ziemskich i cierniach i ciosach
Wytchnąć i spocząć w niebiosach.

Modlić się — jest to z ufnością dzieciny
Ojcu się swemu z ciężkiej zwierzać winy;
Modlić się dzienną, modlić ranną dobą —
Jest to wciąż płakać nad sobą.

DO MODLĄCĘJ SIĘ.

Gdybym miał ten pędzel w tyle farb bogaty,
Którym wiosna najmilsze sobie barwi kwiaty,
Lub gdybym, aż w nadziemskie zasięgając życie,
W blasku gwiazd go unurzył i w niebios błękicie;
Możebym sztuką moją natury nie skaził,
I piękność twego oka choć w części wyraził.
Lecz wtenczas, gdy tak wdzięcznie ku niebu je wznosisz
Kiedy łzą religijną o litość je prosisz;
Gdy się w niem cała twoja młodość, piękność zleje
I już zda się, że zorzą wieczności jaśnieje;
Gdy wreszcie tak widocznie w twoim czytam wzroku,
Że sam Bóg musiał twemu ukazać się oku;
Nie — tego żadna sztuka wyrazić nie zdoła,
Bez farb nieba, twój duszy i ręki anioła!

W CZASIE POGRZEBU.

Zabrzmiały z wież stołecznych ciężkie dzwonów jęki,
Szerzą się z świątyn pańskich religijne dźwięki;
Krociom ludu wieść głoszą bliźniego pogrzebu,
I błagalny żal ziemi przesyłają niebu.
Patrzaj! czyjaż to trumna nad ten tłum wzniesiona,
Długim rzędem kapłanów smutnie poprzedzona,
Zbliża się drogą śmierci do świątyni Boga?
Ach! patrzaj!.. ta straszliwa śmiertelnym przestroga,
Ten widok idącego do grobu człowieka,
Okropny głos sumienia: „i ciebie to czeka“ —
W ileż to serc nieczystych wlały postrach zimny,
Ileż biesiad przerwały religijne hymny!
Nie, nie ma serc tak srogich, zrodzić się nie mogą,
Któreby nigdy świętą nie zdrzały trwogą;
Cichną pienia światowe, i ta wrzawa w gminie,
W królewskich nawet gmachach głos pochlebstwa ginie,

I ty sławo, rozległym ścigana oklaskiem,
Coś świat ten nieśmiertelnym rozjaśniała blaskiem,
Czemże przy tym widoku twe świetne znamiona?
Wiednieją twoje laury, twoja wieczność kona,
Już nie kryślisz dzieł twoich po niebios sklepieniu,
Czarnym kirem okryta przelatasz w milczeniu;
Bóg przemówił — świat ucichł — człowiek się poznaje,
I z grobu zapomnienia Religia wstaje,
Wstaje, i z świętym wiary sztandarem się wzbija,
I znów go między niebem i ziemią rozwija;
I litość Najwyższego z górnych niebios czeka,
Na jedno czucie żalu — jedną łzę człowieka!

DWÓCH OJCÓW.

Dwiema drogiemi córy Bóg nas uszczęśliwił,
Rozrzewniał ich skromnością, wdziękami zadziwił;
Ale wkrótce w ich cnotach upodobał sobie,
Na obie razem spojrział — razem zabrał obie!
Moja, wraz z gwiazdą szczęścia, co dla niej zajasła,
Z światłem ślubnej pochodni w oczach moich zgasła;
Twoja, murów zakonnych niewolnica święta,
Skrzyła się w nich na zawsze, z swym Bogiem zamknięta.
Stoim teraz nieszczęśni, obaj płacząc razem,
Ty przy kracie klasztornej, ja nad zimnym głazem;
Ty przynajmniej na ulgę twojego cierpienia,
Słyszysz jeszcze twój córki religijne pienia,
Lecz moją — cóż mi zwróci? — ach próżno żal nowy
Z każdym rankiem przynoszę na jej głaz grobowy —
Próżno ją wołam — błagam — córką moją zowie —
Stukam — stukam i stukam — a nikt nie odpowie.

DO RODZICÓW,

których dwie córki do klasztoru wstąpiły.

Niebem ziemskie zale kojąc,
Niech się cieszą swemi losy.
Bóg ich w te dwa skrzydła strojąc
Złatił im polot w niebiosy.
Dwóch gołąbków hymn codzienny
Będzie o nich Bogu śpiewać,
I z dwóch gwiazd się blask promienny
Z łaską na ich czoło zlewać.

SZATAN.

Zorane gromem, przecież dumne czoło,
Nad czarnem państwem wznosi król piekielny;
Płomienne morze oblewa go w koło,
Warzy się, szumi ogień nieśmiertelny.
Biją odwiecznej lawy huczne wały,
W groźną ruinę archanielskiej chwały.

Straszny jak zemsta, a jak noc ponury,
Okiem kometne rozrzuca promienie,
Zgęślej ciemności nieprzejrzane chmury,
W grube się nad nim rozległy sklepienie;
Karą i gniewem wszechmocnem ciężarne,
Wielkie jak piekło, a jak zbrodnia czarne.

Ciągle tam na tój okropnej osłonie,
 Piorunem Boskiej prawicy wyrzyta,
 W ognistych zgłoskach straszna Wieczność płonie;
 Wiecznie ją, wiecznie całe piekło czyta:
 A im się głośniej na swój wyrok skarży,
 Tem się ten napis krwawszym ogniem żarzy.

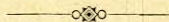
Nie z jego piersi jęk się wydrze taki,
 Mścić on się tylko lecz nie skarżyć umie:
 Podle, zawoła, litości zebraki!
 I z wzdargą depce po ryczącym tłumie,
 Rzekłbyś, że całe piekło schłonał w siebie,
 Tak bluźni, grozi Władzącemu w niebie.

Patrz! patrz! zaledwie święte wyrzekł imie,
 Burza w płomiennym huczy Oceanie;
 Grzmi, tętni, w góry piętrzy się olbrzymie,
 W czarne, bezdenne rozdziera otchłanie;
 Ciskani w górę, o brzegi tłuczeni,
 Rozległym jękiem wyją potępieni.

Krwawe, gorzące nad nim szumią chmury,
 Dumne oblicze gradem ognia sieką;
 Rykły! — i grzmiąca katarakta z góry
 Leci, ognistą oblewa go rzeką;
 Stoi jak Cezar piekiel, gromem bity,
 Cały w płomiennym płaszczu law okryty.

Stoi w obliczu tyłu wielkich cieni,
 Okropném zemsty wszechmocnej igrzyskiem;
 Ale i z pod tych jeszcze grzmi płomieni,
 Iskrzących oczu przestrzela je błyskiem;
 Żarzy się w głębi duma, zemsta wściekła,
 Wulkan z wulkanu — piekło płonie z piekła.

Takim jest Szatan, niegdyś niebios chwała,
 Znają go ciemne Przedwieczności dzieje;
 Potęgą jego jest wielkość źdździżała,
 Piekło mu z oczu, król z czoła jaśnieje:
 Wieczną się walką z wiecznym ściera wrogiem,
 Świat — celem boju, a przeciwnik — Bogiem.



NIBAVATON.

I wylał siódmy Anioł czarę swą na powietrze
I wyszedł głos wielki — Stalo się!

Apocalipsis.

Dziwnieź to rzeczy w starych szpargałach się mieszczą,
Jest w nich prorocstwo ręką nakreślone wieszczą,
Pismo stare — w pół starte — jak na gockim murze,
Rąbanym już od wieków przez czasy i burze. —
Strasznej treści zapowiedź w kartach jego leży:
Nim tysiąc i znów tysiąc lat, dni, godzin zbieży,
Spadnie kara na ziemię zbrodniami zalaną,
Bóg zamknie łona kobiet i rodzić przestaną,
I nie będzie już matek — i przez całą ziemię
Mrozącym trwogi dreszczem ludzkie zdrzzy plemie.
Zimnym się nagle wstrętem obie płcie rozżenią,
Za nic młodość i wdzięki — serca w lód się zmienią;

Boleść tylko zostanie — rozpacz, którą wzbudzi
Widok dzieci, na których skończy się ród ludzi.
I powoli wymierać zacznie ludzkość cała,
I borami zarastać ziemia spustoszała.
Puszczą się każde państwo ociągnie do koła,
Naród się o narodzie dowiedzieć nie zdoła.
Wszystkie drogi zalegną i zwierza i gady,
I sprosne — oczom ludzkim nieznanie szkarady!
Co dzień i co dzień będzie ród nasz rzedniał, starzał,
A popłoch wsie rozpraszal, miasta głód wymarzał;
Wielkim grobem zostanie świat ten niezmierny,
Ołtarze bez kapłanów — bez następców trony.
Człowiek będzie człowieka, jakby szczęścia szukał,
I próżno do wymarłych jego siedzib stukał.
A jeśli — jeśli kiedy w borach się obaczą,
Dziwić się sobie będą i gorzko zapłaczą.
Pierwszy raz w pośród ludzi bój uciwnie krwawy,
Z zimnym wzgardy uśmiechem ziemskie wspomną sławy;
Jak o płochych igraszkach, lub dziecinnych marach
Będą mówić o wielkich Newtonach, Cezarach.
Wszystka, — wszystka namiętność z zwiędłych serc uleci,
Cała ziemia podniesie jeden głos o dzieci!
Ryczeć będzie rozpaczą, z łzami łamać dłonie,
I całe — długie lata ciągle wołać o nie.
Próżno — nigdy się skutku próżb swych nie doczeka,
Cała natura będzie rodzić — prócz Człowieka!
I jakby na szyderstwo tej strasznej ruiny,
Żaden kwiatek nie zblednie — żaden śpiew ptaszyny
Nie zsmutnieje na chwilę — wszystko tak barwiste,
Słońce będzie tak jasne — a niebo tak czyste!

Biada! biada tym, którzy w przyszłość patrzeć muszą;
 O! nigdy oni żrzenic z łez już nie osuszą;
 Na ten wielki jęk świata, ryk całej ludzkości,
 Stare w grobie Adama wzruszają się kości.
 Wiekiem wieków zaspale znów roztwiera oczy,
 A zaledwie ostatnie swoje wnuki zoczy,
 Krzyczy — cóżem uczynił!... dłonią wzrok zakrywa,
 I na grób swój roztwarty skał i gór przyzywa.

Kruszą się miast rozległych warowne ogromy,
 Z hukiem gromów potężne odpadają łomy,
 Wznoszą się góry urwisk — chylą ku ruinie,
 I groźne królów zamki i Boskie świątynie;
 Wszystko pada i ginie — same z pychą swoją,
 Szczytne stolic posągi, jak na pośmiech stoją;
 Zmarła ich nieśmiertelność — gad ją przeżył sprosny,
 Po tłumnych niegdyś rynkach rosną świerki, sosny.
 Codzień smutniej — okropniej — rzadko gdzie dym siny
 Samotnie po nad tyłu błąka się ruiny —
 Pustość, głuchość po gmachach dawniej wrzawy, pychy;
 Pół wieku milezą dzwony — zegar jak śmierć cichy
 Nie oznacza już czasu — cisza straszna, sroga,
 Zda się, że karzącego można słyszeć Boga,
 Słyszeć i jęki piekła. — W całym kręgu świata
 Jedno uczucie — rozpacz, jedna myśl — ztrata!
 Rozpacz nawet tak zimna i zawarta w sobie
 Jak skryte w trupach życie, gdy je zamkną w grobie.

Walą się góry nieszczęść, kara karę tłoczy,
 Brat brata niepoznaje, lub odwraca oczy,

Nieme, zwiędłe i sprosne tylu kłęsk ofiary,
 W zgniłych już na pół szatach wloką się, jak mary,
 Ten siadłszy na urwisku — dłonią wsparłszy czoło —
 Zimnem jak lód spojrzeniem patrzy się w około;
 Ten duma i skarżącym okiem niebios pyta,
 Ten się zrywa od modłów i z wściekłości zgrzyta,
 Sobie — Bogu złorzeczy, — świat — życie przeklina,
 I zawyje boleścią i znów wargi ścina. —
 Miesza się umysł niewiast gromem przerażenia,
 Krażą wirem zamętu potworne marzenia,
 Te w kwiaty, ślubne wieńce strojąc pierś i głowy,
 Hymn weselny dzikiemi wynucają słowy,
 I znów płaczą tak rzewnie — znów wrywszy żrzenice
 Zzółkłe, śmiechem szatańskim wykrzywiają lice;
 Tamte w szale matczynym i na wstyd przyrody,
 Drobne zwierzom domowym wykradają płody,
 I nosząc je u piersi i tuląc miłośnie,
 Dzikich świata dziedziców wypieszczają sprośnie.
 Straszny! okropny widok zniżenia człowieka!
 Ziemia go się ze wstrętem i wzgardą odrzeka,
 Odręca najcenniejszą istotę stworzenia,
 Jak sprosna i zrączona narość przyrodzenia!
 Ach! zda się, że tą straszną wzruszone rozpaczą,
 Samo piekło dumieje i Anioły płaczą. —
 — Stało się! Świat ogromny już się rozprzągł cały;
 Nie ma królów, ni ludów, ni hańby, ni chwały,
 Ni wolności, ni kajdan — wszystkie dole, stany,
 Zrównał potop nieszczęścia na ród nasz wylany.
 Stepy tylko i stepy — a głuchość nad niemi;
 Nie widać już i śladu dawnych osad ziemi,

Niedomarła się tylko reszta do miast zwleka;
 Tam ją może przynajmniej jakaś pewność czeka;
 Tam przecież znajdzie litość, i przy niej schroniona,
 I ludźmi się pocieszy i wśród ludzi skona. —
 Krótka! sroga ułudo!.. Jakby huk nawały,
 Wszystkie bory straszliwym rykiem się ozwały;
 I coraz — coraz bliżej grzmiącemi hałasy,
 Jakby wrzawą szatanów wrą i tętnią lasy,
 Ryczą puszcze — drzy ziemia — widma jak śmierć zbladłe,
 Wdzierają się na dachy, wieże w pół rozpadłe.
 Patrzą — stoją — ostatnie już Adama syny,
 Ruiny na ruinach — widzą, że godziny
 Najdalszej już dożyli — wszystkie góry, łąny,
 Świat cały, dzikim lasów mieszkańcem zalany;
 Patrzą — stoją — i z ócz im łzy ostatnie płyną,
 Rzucają się w głąb ulic i na głazach giną —
 I wraz zjadłem, tysięcznym wdzierając się stadem,
 Dziki zwierz wszystko wściekłym zalewa napadem.
 Tłumnemi się po placach rozpędzając kupy,
 Cisną się, rozdzierają i kłóćą o trupy.
 Szerzą się po wymarłych domach wycia, ryki;
 Po tronach, po ołtarzach siada potwór dziki,
 Wszystkie gmachy i okna dzicz zaludnia wściekła,
 Paszcze mordem zjuszone, oczy jak żar piekła;
 Niedość, niedość, że plemie wyżarła człowiecze,
 Szarpie jeszcze szkielety i po rynkach wlecze.
 Rośnie tłum — ciżba — wściekłość — mnożą się szkarady,
 Cała ziemia sprosnemi zaściela się gady,
 Z wszystkich szczelin, a nawet i z ciemnic grobowych,
 Snuje się płaz zgłodniały i straw szuka nowych. —

I nagle — jakby w północ czernieją lazury,
 Grubemi sępów, orłów okirzone chmury;
 Roi się czerń powietrzna, dzika, — zjadła, — krwawa,
 I przez całe niebiosy szerzy krzyków wrzawa:
 Spada wreszcie — i pierwsze odstrasząc tłuszczę,
 Ostatni po człowieku łup roznosi w puszcze!

Taka to będzie postać ziemskiego przestworza,
 I od mnóstwa potworów zaczernią się morza;
 Król ziemi runie z tronu i w proch się obróci,
 A świat zwierzom wydarty, na nowo im wróci!



VII.

POETA W GÓRACH.

Na tobiez to stanąłem, przewyższam te chmury —
Niebotyczny granicie, olbrzymie natury!
Tyż mię to dźwigasz Tatrom królująca skała?
Jak myśl moja zmężniała, jak serce zawrzało,
Jak dusza wielkim świata porwana obrazem
Z wszystkich więzów tej ziemi wydarła się razem!
Witajcie dumiejące gmachy przyrodzenia,
Pycho tej ziemi — świadki pierwszych dni stworzenia;
I wy w rozlicznych kształtach ogromy wspaniałe
Wieże — szańce — posagi — twierdze — miasta całe, —
Zawieszane — sterczące — strzaskane opoki;
I wy w czarnych przepaściach ryczące potoki,
Orły po tych odwiecznych puszczech królujące;
I wy tu osiwiących już wieków tysiące —
Poważne syny czasów, wy coście widziały
Jak po tych wzniosłych górach góry wód się lały,

Witajcie zdumionemu w pośród was pocie!
 Witaj i ty nakoniec nieprzejrzany świecie!
 O jakież — nieobjęty Wszechmocnego tworze —
 Niezmierzoności twojej oblało mnie morze.
 Jak ów ptaszek w niebiosów tonący lazurze,
 Jak ów żeglarz przez ciężkie skołatany burze,
 Wdarłszy się na szczyt masztu, ziemskich brzegów wzywa
 A same tylko morza i morza odkrywa, —
 Tak i ja drobny pyłek, proszek przyrodzenia,
 Tonę wśród téj bezkresnej otchłani stworzenia,
 Jak gdyby już wiszący nad wieczności progiem
 Między niebem i ziemią, naturą i Bogiem!

Góry! potężne kopce narodów granicy,
 Sam Bóg wszechmocą swojej sypał was prawicy;
 O wasz grzbiet się to ciężka rozdzierając chmura
 Mniej gniewnie gromi ziemię; — z was to, z was natura
 Jak z piersi macierzyńskich wylewa obficie
 Te rzeki roznoszące nowe światu życie,
 Te tysiące dróg płynnych, co ciąglą kolejają
 Jak wieczność niezmierzone oceany leją,
 I niosąc w zamian ludom prac ich plon bogaty
 Łączą żagle przemysłu narody i światy.

Wyście arką bogactwa porzuconą światu,
 Z was on kamień, ozdobę czoła majestatu,
 Z was te głazy zdobywa, z których dłoń rzeźbiarza
 Trwożące nas Pelidy, same bogi stwarza, —
 Te posągi, co w wiekach uroku i chwały
 W łonie własnych swych twórców miłość zapalały,

I wzajem serc ich silnem przebudzane biciem
 Nad rodzącem się w sobie zdumiewały życiem. —
 Cóż to za niezmierny otwór się roztacza?
 Patr! jak w tę czarną otchłań cały lud się wtlacza,
 Wstępuje z całym składem Wulkanu zbrojowni,
 Do tajemniczej wieków wdziera się pracowni,
 I z pieczar, w których głębi wieczna noc przebywa,
 Ów kruszec, płód skalistych wnętrzości, wyrwa
 Co raniąc młodej ziemi nietknięte płaszczyzny
 W zakroju pierwszej skiby podał myśl ojczyzny;
 Ten kruszec, co potężne dwóch światów przestwory
 Bracącemi ród ludzki poprzestrzelał tory,
 I znów srogą kolejają w grom śmierci zmieniony
 Całemi ludy pola zaściela Bellony,
 Głosi tryumf morderczy z grzmiących paszcz tysiąca
 I dumą swych posągów o szczyt niebios trąca;
 Aż nakoniec ciężkimi ozwawszy się jęki,
 Smętnemi z świątyń Pańskich naucza nas dźwięki,
 Że jak one brzmią, giną, tak wszystko co słyńie,
 Z niknącym wieków lotem przemija i ginie.

Góry! dumo — uroku — poezjo ziemi!
 Wy światu królujecie, — wy ehy waszemi
 Dotąd mi ów głos Stwórcy: Stań się! powtarzacie.
 Wy w pierwotnej, dziewiczej zieleniac się szacie,
 W tych samych kształtach, w których świat was ujrzał
 [młody,
 Stoicie dotąd silnie — silniej niż narody...
 Dzielniej was dłoń wszechmocna w jeden ogrom zwarła,
 I nie ma téj potęgi coby was rozdarła,

Ściągnęła z bark królewskich płaszcz wasz odwiekowy,
I monarszą koronę strąciła wam z głowy.

Martwe, nieme ogromy! — na waszym to szczycie
Pierwsze się może świata rozwijało życie.
Tu bliższej Boga swego oddając się pieczy,
W pierwotnych się szalasach gnieździł ród człowieczy;
Tu może skamieniałe wiekami starości,
Pierwszych ojców narodów spoczywają kości;
Tu dzieci, usypiane brzękiem ich orężów,
Z granitowych kołysek w twardych rosły mężów;
I nim zeszała w doliny ludzkość już zmiękczała,
Tu na tronie skalistym Dzielność królowała ...

Was wzniosłą jak wy myślą rozważa nauka,
Straconej księgi dziejów w waszych tajniach szuka,
Tysiące lat nieznanych z waszych warstw wywodzi,
Jakby po szczeblach czasu w ciemną przeszłość schodzi,
Szuka wielkiego słowa odwiecznej zagadki,
Naoczne przedpotopu wywołuje świadki,
Błąka się — marzy — stawa — porównywa — pyta,
Tonącą w nocy czasów prawdę ściga, chwyta,
I gdy się coraz głębiej spuszcza gwiazdą myśli
Aż u świata podwalin starość jego kreśli.

Góry! jakież mi z szczytów waszych blask jaśnieje!
Was urokiem swym święte namaściły dzieje,
Na was to Religia korną dłonią wiary
Pierwsze Panu nad Pany paliła ofiary,

I wznosząc posąg dymu niedosiężny okiem
Niebo z ziemią tym wonnym spajała obłokiem.
Sam Bóg nawet, gdy lud swój od zbrodni odwoził
Jak gdyby z tronu nieba na tron ziemi schodził,
Zstąpił na szczyt Synai — i jak drugą górą
Bóstwo swe tajemniczą osłoniwszy chmurą,
W całym blasku wszechmocy, grozie majestatu,
Wolą swoją na twardych gładach wyrzył światu.

Słyną dotąd — przesłyną wszystkie wieki, chwały,
Zdroje nauk co z góry Oliwniej się lały,
I z urny odmłodzonej wiary wytryśniętem
Całą tę ziemię słowem opłynęły świętem.
Wstał z martwych świat zamarły, jakby twórcze słowo
Z czarnego go zamętu wywiodło na nowo.
Rozkwitło drzewo życia — i hojnie, szeroco
Na nowy pokarm święte rozsiało owoce.
Jakby skrzydłem Aniołów przywiany miłośnie
Błogi pokój po rajskiej rozplynął się wiośnie;
Zstąpiła z niebios miłość, cicha i powolna,
Cieszyć tylko, przebaczać i ukochać zdolna,
W słodkie jarzmo braterstwa cały świat się wprzęgał,
A wiarą i nadzieją w nieśmiertelność sięgał.
Weszła gwiazda Jakóba, i z niebios sklepienia
Jaśniała, zwiastująca wielki dzień Zbawienia.

Lecz gdzież mistrz tój nauki, co te zdziałał cudy?
Czołem przed Nim zapewne wszystkie biją ludy,

Wielbią hymny świętymi — i tron Mu nad trony
 Z wszystkich sere, wszystkich ofiar, z wszystkich gór
 [spiętrzony,

Stawiają na téj ziemi... Spojrz na szczyt Golgoty, —
 Zbójezemi go do krzyża przybijają młoty,
 Na odgłos bitych gwoździ skały upadają,
 Drży ziemia — słońce gaśnie — zmarli z grobów wstają
 Na cuda nawet wściekłe nie błędną oprawce,
 Lud wybrany zabija wszystkich ludów Zbawcę;
 Leje się krew najświętsza, a wielkość ofiary
 Nad dumę Cimborassa, pychę Dalawary,
 Wywyższa górę męki, do niebios ją zbliża,
 I znów Boga z człowiekiem łączy węzłem krzyża!

Lecz słuchaj! — cóż to za głos ciężki i ponury
 Nagle za dalekimi odezwał się góry?
 I znowu się odzywa... i znów głośnień jeszcze...
 Do mnie! celni malarze, do mnie wiecey wieszce!
 Burza, burza nadchodzi, patrzcie — już przybywa,
 Jak świat ten niezmierna, jak wieczność straszliwa,
 Czarna jak noc zamętu, jak głąb piekiel wrząca,
 Ciągnie, ciągnie wśród wichrów i gromów tysiąca.
 Niebo się w szatę swojej przybrało potęgi,
 Płaszcz swój wiatrom rozpuszcza, złote wstrząsa wstęgi,
 Warzą się górne lawy w podniebnem ognisku,
 Po czarnem tle nawały snują węże błysku,
 Ciężki grzmot się w bezkresnym rozlega przestworze,
 I całe nad padołem zawiesza się morze.
 Jakiż postrach po całej przebiega naturze,
 Jakaż cisza na dole — huk i łoskot w górze!

Tuli się zwierz drapieżny, w ciemne kryje nory,
 Czarny kruk spieszny lotem w ciche dąży bory.
 Sam orzeł z trwogą wraca z pod niebios błękitu
 I potężnym się szponem chwyta dębów szczytu.

Burzo! o jakżeś w twoim groźna majestacie,
 Jakżeś piękna w téj czarnej, uroczystej szacie!
 Patrząc na cię w milczeniu, cześci i zachwycie —
 Zda się całe natury zatrzymywać życie.
 Burzo! czemuż tę ciemność ociążasz grobową?
 I cóż tą grzmiącą niebios powiadasz mi mową?
 Dusza moja wraz z tobą po tem rośnie niebie,
 Wznosi się, tętni, szerzy i przelewa w ciebie,
 W samem źródle szczytności zatapia się, nurzy,
 Otrząsa z pyłu ziemi i wyczyszcza w burzy!

Ale już szumi puszcza, już potok zczerniały
 W dzikszym gniewie o twarde roztrąca się skały,
 Tłoczy się czarny orkan w straszny las granitów,
 Z jakim rykiem o tyle rozdziera się szczytów!
 Huczy, wyje wściekłemi pomiatany wiatry,
 Grzmi Kępak zaciemniony, całe ryczą Tatry,
 Srożą się wzniosłe gmachy piorunami bite,
 Ledwie ogniem oblane już nocą okryte; —
 Szum — szelest — błyski — gromy — burza wrząca,
 [wściekła...

I znów cisza grobowa... znów cały war piekła.
 Przebóg! cóż to za rozgłos jaki huk głęboki,
 Wszystkie echa zagrzmiąły, wszystkie drżą opoki;

Zdaje się że z strasliwym oddarta łoskotem
Cała góra z okropnym zwała się grzmotem,
I że jakieś wszechmocne porwawszy ją ramię
Ciska nią po tych gmachach, całe lasy łamie.
Jakaż wrzawa piorunów, jakie gromów bicia!
Po jarach, po przepaściach huk, łoskot, wycia!
Wszystkie góry rykami klóćą się swojemi,
Ziemia niebu a niebo odpowiada ziemi,
I tym szczytnym zamętem tętniąc okrag cały
Śle Bogu na hymn cześci wielki głos nawały.



OKRĘT ZAMARZŁY.

— — —

Gstrym się mrozem morskie ścięły wody
Gdzieś w zatropicznój oceanu stronie,
I nieprzejrzane opasały lody
Okręt w nieznanne zapędzony tonie.

Długo on ścięte pruł, łamał lazury,
Długo piersiami walczył żelaznemi;
Aż ów lód w groźne popiętrzył się góry,
Otoczył więźnia i zamknął go niemi.

I wszyscy zmilkli... zbledli przerażeni,
Kilka łez padło... reszta osłupiała,
Do zimnych, martwych podobna kamieni,
W kształcie posągów na pokładzie stała.

Chwilę rozpaczy zmierzili się wzrokiem,
I znów ich oczy w straszny grób się wryły;
Noc jak pośmiertnym pokryła ich mrokiem,
I dzikie wichry pieśń pogrzebną wyły.

Tutaj więc umrą — umrą bez pamięci,
I żadnej o nich nie zostanie wieści;
Umrą od ludzi, od świata odcięci...
I w ryk się jeden zlały ich boleści!

Ach! wczoraj jeszcze tak szeroko brzmiące
Z nawy ich pieśni radosne się lały;
A stron tych echa snem odwiecznym śpiące,
Po raz się pierwszy z dziwem przebudzały.

Złote płynącym snuły się marzenia;
Tam młoda miłość rojąc dzień zameżcia,
Na nocne niebios patrząc się sklepienia,
Gwiazdy swojego ugłądała szczęścia.

Tu dumne złotem indyjskiem Bretony
Wiozły z tryumfem skarby nieprzebrane;
Tam znów dwóch mędrców wiodło spór uczony
O sfer tych cuda nauce nieznanie.

Był tam i kapłan, starzec świętym zwany,
W którym swój szczytny płomień Bóg rozżarzył
W myśli on dzikie nawracał pogany,
A sam dla siebie krzyż męczeński marzył.

Wszyscy ci, wszyscy w tej strasznej otchłani
Znikli, mas mroźnych ściśnięci obwodem;
Tak szybko — srodze — żywo pogrzebani,
Wparci w jar lodu i zapchani lodem.

Nie doszły ucha ludzkiego ich jęki,
Ścichły jak gdyby za wieczności progiem;
Straszliwy obraz ich zgonów i męki
Przed samym tylko rozwijał się Bogiem.

Ież w ich domach odtąd sierot było,
Łóż owdowiałych — niewiedzących o tem;
Ież to nawet ziemią się pokryło
Za cór i synów tęskniących powrotem!

Zdawna już, zdawna był ów okręt zginał,
A wciąż w portowych czekano nań grodach;
Nie jeden żeglarz próżno świat opłynął,
Po niezmiernych śledzący go wodach.

Aż za lat kilka jakaś nawa śmiała
W te same morza pędząca zuchwale,
Straszne, dziwaczne zjawisko ujrzała,
Którém wzruszone kołysały fale.

Jakąś potworną masę, ogrom dziki,
Zwaliska w tłumnym leżące nieładzie...
Gdy nagle z przodu ozwały się krzyki:
Okręt! ach okręt! — ludzie na pokładzie!

A gdy tak wryto oczy zadumione...
Boże! jakież to obrazy straszliwe —
Pogniłe żagle, maszty obalone,
I jakieś mary! widma przeraźliwe!

Ludzie ci zmarli — lecz jak żywi byli:
Zimno ich ciałom zepsuć się nie dało;
Każde jak było w zgonu swego chwili,
W takiej postawie po śmierci zostało.

Patrz! tego postać jakby skamieniała,
Włosy jak gdyby przetrachem się wzniosły:
Twarz na pół czarna, na pół zzieleniała,
I cały jakimś sinym mchem obrosły.

Siedzi i pisze — i w téj chwili właśnie,
Kiedy te słowa na papier położył:
Ostatnia iskra na ognisku gaśnie —
Zmarzył z piórem w ręku — i więcej nie ożył.

Tu drobne trupy w tych trupów objęciu,
Dzieci to matek tulone ramieniem;
Każda ku swemu schylona dziecięciu
Zda się ostatniem rozgrzewać je tchnieniem.

Któż to z tym srogim rozpaczy wyrazem
W całej ohydzie wściekłego szaleńca?
Piers samobójczym przeszyta żelazem
Sproсна, obmierzła dzikość potępieńca.

Sam on tu jeden z swoją zbrodnią leży,
W krwi swój zamarzyły — reszta z kornem czołem
Jakiegoś starca w zakonnej odzieży
Kłęczących trupów otoczyła kołem.

Wznosi on dotąd jeszcze krzyż zbawienia,
Jakby chciał obraz sroższych mąk wystawić,
I w wielkiej, szczytnej chwili rozgrzeszenia
Raz ich ostatni na śmierć błogosławić.

Pływał ów okręt, pływał długo jeszcze,
Jak pomnik groźny Wszchemocnego woli;
Widmo step wodnych, tak straszne, złowieszcze,
Obraz najsroższej na morzach niedoli.

Widział go niegdyś jakiś majtek stary,
Dziś już grobowym pokryty kamieniem,
I on to o nim z całą prawdą wiary
Wieczór w swój chacie opowiadał z drzeniem.

A gdy już wszystkie światła i źrenice
Zgasły z ostatniem ogniska płomykiem,
Długo w noc trwożne marzyły dziewice
I dzieci ze snu zrywały się z krzykiem.



SPRUDEL KARLSBADSKI.

Wiersz przypisany A. Koźmianowi.

Warzy się, szumi — huczy — miota — dąsa —
Bucha — żarem pryska —
Lew to, lew gniewny gąszczem grzywy wstrząsa —
Wzrokiem ogień ciska. —
Widząc ten nawał grzmiący, spieniony,
Tę groźną nurtu głębinę
Rzekłbyś, że piekiel płomień zbielony
Przedarł się w słońca krainę.
Parząca chmura obłocznej pary
Jak gdyby z paszczy szatana,
Wiecznie nad temi kłębi się wary
I miota wiatrem szarpana.
I skądże pędzi prąd ten gwałtowny,
Gdzie zdobył skarb swój cudowny?

Jakież w podziemnych ciemniach natury
Przetętnił jary, otchłanie.
Jakież tam przeżarł glazy i góry,
W jakim się warzył wulkanie?

Ileż tu tłumów, jakże mnogie — różne —
Kolem ten kocioł otaczają wrzący!
I ja wraz z niemi, jakby po jałmużnę
Podaję kubek żebrzący;
Z innéj ja niegdyś czerpałem wody,
I płynnym ogniem lał się wiersz młody,
Górniesze w sercu tętniły bicia —
Dziś równie wrzącą poję się krynicą,
Lecz z jakąż różnicą? —
Niegdyś dla chwały, dziś tylko dla życia! —

Warzy się — szumi — huczy — miota — pieni —
Groźny Szprudel, król strumieni —
Bucha — żarem parzy —
A nad nim Sceptyk Germanii marzy,
W drobne go, nikłe atomy rozkłada,
Każdą kroplę bada —
Przecież w swych domysłów nocy
Nie widzi cudu Wszeczmocy,
Kiedy tymczasem Bóg ten tak widocznie
Do swych tu dzieci spuszcza się corocznie, —
Temu dłoń Jego święta, tajemnicza,
Zzółkłą już zwiędłość zdejmuje z oblicza;
Temu zlatwiając krok spętany męką,
Zwolna ojcowską prowadzi go ręką;

Sam dźwiga z łoża, zlanych cierpień znojem,
I gdy złość świata serce Mu zakrwawia,
On każdy kubek swym nalewa zdrojem,
I złych i dobrych uzdrawia.

Bratni — Słowiański Bohemii ludu,
Z twych to gór wywiódł Bóg to źródło cudu!
Bucha z gorących ziemi twój wnętrzości,
I pędząc, jak krew twa pędziła w bojach,
Przez przodków twoich przedziera się kości,
Dzwieczy po hełmach i zbrojach.

Słuchaj — podsłuchuj tego głębi dźwięku,
Prajców twoich podziemnego jęku,
A gdy już wreszcie głos się tam ozowie
Co ci Sławiaństwa wielki dzień zapowie,
Gotuj twe siły — miecz twój do zapasu —
Krzep się codziennie w źródle Zmartwychwstania,
Taj się — nie chybaj, nie uprzedzaj czasu —
Poznasz, uczujesz porę do działania,
Kiedy twe dłonie stwardną jak twe skały,
Żądza odżycia serce ci zamiętni,
A jak Mołdawy twej wzburzone wały
Tak krew w twych żyłach zatętni!

Karlsbad, 20 lipca 1850.



FRAGMENT CHARAKTERU.

Est czas, który przywodzą niedole, lub lata,
Gdzie człowiek nic już w sobie nie naciąga z świata,
Tem żyje, co ma w duszy: już do swego łona
Nie przyjmie żadnej kropli czara przepelniona.
Syty ludzi i życia, zamknął dni swych dzieje;
Sława mu bez uśmiechu — bez wdzięku nadzieje,
Wszystkie, wszystkie pogrzebał w wielkim serca grobie,
I żądę nawet szczęścia już wygasił w sobie
Jak ów robak, co w własnej sklepi się osnowie,
Tak i on nic tę ciągnie, co się życiem zowie;
Co dzień ją snuje z duszy, z tylu wspomnień marnych,
Z tylu żalów, nadziei, trosk i marzeń czarnych;
I tak codzien i codzien, długich dumań skutkiem,
Coraz grubszym, ciemniejszym osnuwa się smutkiem.
Nie sądź przecież, że chętnie swym się jadem truje;
Nie odpycha on pociech, lecz ich marność czuje.

Miał on niegdyś dni swojej młodości i chwały,
Dni miłości, dni boskie!.. i gdzie się podziały?
Gdzież są te szczęścia jego bogate zasoby?
Kwiatami swojej wiosny pouwieńczał groby,
Inne zwiędły pod zimnem doświadczenia wzrokiem,
I wszystko już ochmurzył duszy swojej mrokiem.
Spokojnym jest, lecz czemu ta spokojność bywa?
Zimnem, gnuśnem i martwem morzem go opływa.
Morze to nie ma burzy, lecz i portu nie ma;
Świat przecież taki pokój nieraz szczęściem mniema.

Nie wyszydza on obcych zdań, uczuć, lub marzeń,
Lecz inną wiarę, czucia, z własnych powziął zdarzeń.
Pod barwą on innego żeglował okrętu,
Inną prawdę wyczerpnął z ludzkich działań mętu,
Jaki obraz przeszłości złożył mu się w duszy,
Taki został, skamieniał; — sama śmierć go skruszy.
Rycerz to jest, co ziemskie już zamknąwszy boje,
Bronzowym chwały płaszczem okrył postać swoją;
Stanął niemym posągiem w pośród świata wrzawy.
Niczem on już przybranęj nie zmieni postawy,
Jeden tylko i jeden zawsze wyraz twarzy,
Jaką myśl dano czołu, taką stale marzy;
A gdzie raz zwróconemi wpatrzył się oczyma,
Tam je ciągle, niezmiennie, wiecznie wryte trzyma.



DUMANIE.

— — —

Narzekasz na twe cierpienia,
Przeklinasz losy człowieka,
Jak gdyby chwila ulżenia
Tak była od nas daleka.

Dzień tego życia tak krótki,
I twoje słońce już nisko;
Na cóż więc żale i smutki,
Kiedy do kresu tak blisko.

Po cóż w ranne lat twych zorze
Żalosem wracać spojrzeniem,
I burzliwe życia morze
Smutnem przebiegać wspomnieniem?

Po cóż nowemi trucizny
Powiększać mękę tak srogą,
I jeszcze liczyć te blizny,
Co się już zgoić nie mogą?

Wartaż téj czarnej rozwagi
Boleść, co z nami zaginie?
Chwila już tylko odwagi,
A wszystko wiecznie przeminie.

Ale próżno moim głosem
Twojego męztwa przyzywam;
Próżno cię godzę z twym losem,
I od téj ziemi odrywam.

Ciebież to swoim urokiem
Świat ten pociąga i ludzi;
Czegoż to jeszcze twem okiem
Zdajesz się szukać wśród ludzi?

Tu gdzie zdradnemi uśmiechy
Srogie nas zwodzą nadzieje,
Tu gdzie nawet kwiat pociechy
Zaledwie wzrośnie — więdnije!

Tu gdzie całą świata siłą
Jednej chwili nie ustalem,
I co z rana szczęściem było,
To już z wieczora jest żalem;

Wszystko tu z czasem ustawa,
Wszystko przemija niestety;
Najgłośniejsza nawet sława
Dojdzie kiedyś do swéj mety.

Tem bardziej ciche twe jęki,
Które skryty żal wywodzi,
Zginą jak znikome dźwięki;
Nie ta je ziemia nagrodzi.

Czas co cię wywiódł z powicia,
Znów cię zwróci do nicości,
I tę mętną kroplę życia,
Zatopi w morzu wieczności.

Wszystko w krótkiej zniszczy dobie
Wszystko, czy przykre czy miłe;
Zgasi płonny żal po tobie,
I z ziemią zrówna mogiłę.

I nikt z ludzi nie przybędzie
Łzami cię uczcić swojemi,
Ani nawet wiedzieć będzie,
Czyś kiedy cierpiał na ziemi.

Zginiesz wiecznie zapomniany,
Tak istność twoja przeminie,
Jak ten obłok niewidziany,
Co w czarnej nocy przeplynie.

Zegnaj więc — żegnaj niezwrotnie
Wszystko, coś kochał i cenił;
Coś oplakał tylokrotnie,
Coś szczęściem twojem być mienił.

Uciekło widmo znikome,
Żadna łza go nie odwoła;
Poszło w strony nieznajome;
I nic go zwrócić nie zdoła.

Już nie prześle sercu twemu,
Żadnej pociechy, nadzieje,
Już i żaden wiatr ku niemu
Głosu twego nie zawieje.

Lećcie, lećcie dni daremne,
Bez celu, troski, życzenia;
Lećcie dni puste i ciemne,
Uciekajcie bez wspomnienia.

Lećcie jak ten liść opadły,
Co jeszcze z wiatrem ulata;
Rzuca nim wichur zajadły,
Lecz już umarłym pomiata!



OBŁOK.

(M a r z e n i e.)

I.

Widzisz ten obłok z śnieżnych run spojony,
Zwolna od wschodniej żeglujący strony,
Co jak spokojne cnotliwego życie,
Cicho po czystym upływa błękitie;
Z kądże on dąży i dokąd ucieka?
Jakież go losy, jaka przyszłość czeka?
Może on kiedyś cały świat zachmurzy,
Wszystko zniszczy, spali, zburzy;
Rykną gromy, deszcze luną,
Całe lasy, grody runą,
Świat się potopem zaleje:
Może też dzisiaj — może w tej godzinie,
Pierwszy go wietrzyk rozwieje,
I na zawsze zginie.



II.

Ileż on kształtów w swojej brał podróży!
Ranek go przybrał w wdzięczną barwę róży,
I kiedy jeszcze w ciszy uroczystej,
Czekała wejścia tarczy dnia ognistój

Niebios przestrzeń niezmierną:

On w tej przestrzeni tak drobny, maleńki,
Płynął sam jeden, jak zwiana zasłona

Z jasnego czoła jutrzeńki.

Inną on teraz, i co chwila inną
Przybiera postać, kształt i barwy zwodne;
Patrz, jak go swoją igraszką dziecinną

Kołyszą wiatry łagodne.

To go jak żagiel na rozległym morzu,
Pędzą po wielkim błękitów przestworzu,
To znów jak księżyc, gdy go mgła omoczy,
Śnieżnym się kręgiem po niebiosach toczy,

I jak on błyszczy z daleka.

To wręście w lekką zasłonę rozwiany,
Jak biały orzeł wichrami porwany,

Gdzieś tam z swą chwałą ucieka!

Nie takim będzie, gdy z wieczornym mrokiem,
Do kresu swego dopłynie zawodu,
I złotym zorzy oblany potokiem

Uwieńczy bramę zachodu!

Strasznym on, krwawym blaskiem się rozżarzy
Jak płomień gniewu na rycerskiej twarzy;

Lecz w krótkce, jak ta mgła ciemna, wątpliwa,
Co wszelkie słońc wspomnienie,
Świetną nam przeszłość pokrywa;
Tak i on z nocną ciemniejąc pomroką,
Zgasłej już gwiazdy pozgonne promienie
Mglistą zasunie powłoką. —

III.

Miło jest na nim twemu spocząć oku,
Ścigasz go chętnie przez niebios przestrzenie;
Ale jak kiedy wdzięczne wieszczą pienie,
Wznosi cię mocą boskiego uroku;
Poisz się, dziwisz, zachwycasz, bolejesz
To łzy rozkoszy, to łzy żalu lejesz;
A jednak nie wiesz, co tak piękne dzieło
W piersi wieszczą tchnęło;
Z jakich chwil, zdarzeń i losów kolei,
Z jakich wspomnień swęj młodości,
Z jakich ran serca, zwiedzionych nadziei
Tyle ci wywiódł piękności;
Tak i z tą chmurką, co tam w górze płynie,
Wzrok się twój bawi jedynie.
Lecz gdy z nią krąży po niebios błękitcie,
Nie wiesz, nie pytasz co jęj dało życie;
Czyli jest szczątkiem strasznej nawałnicy,
Czy się z wyziewów Oceanu wzniosła,
Czyli z pożaru ogromnej stolicy,
Czy też z pól krwawych wielkiej bitwy wzrosła,

Czy wreście z hołdu błagającej wiary
Palonej niebu ofiary!

Ileż to może z tej ziemskiej doliny
Łez, żalów w górne uniosła krainy!

Niejedna może nadzieja i chwała,
Z płonnym dymem uleciała!

I gdy niejednem może szczęściem świata,
Gdzieś tam po górze płochy wiatr pomiata;

Nędzny śmiertelnik przykuty do ziemi,
Musi na nowo walczyć z losy swemi;

I znów te same przechodzić koleje,

I drugą życia przetrwonić połowę,

Aby mógł jakąś uroić nadzieję,

Skleić szczęście nowe,

Stwarzać to nigdy nieskończone dzieło,

By może znowu jak pierwsze zginęło!

IV.

Płyn, płyn z wiatrami, kołysz się łagodnie,

Lotny żeglarzu górnego przestworza!

Jakże ci musi być błogo, swobodnie,

Te czyste, jasne przepływać tam morza.

O czemuż szczęsne wiatry cię nie zwiały

Z jakiej tam prawdy, dotąd zasłoniętej,

Z którejby ludy, króle dociekały

Szczęścia, pokoju tajemnicy świętej!

Płyn, płyn, ulatuj okiem niedościgły,

Nad te groźne gór tych igły,

Co jak olbrzym niezmierny,

Na całej ległe krainie,

Aż tam się swemi ramiony

W podniebne gonią pustynie!

Trzeba ci, trzeba wysoko żeglować,

Aż pod s czyt nieba uciekać przed niemi,

Kto chce swą wolność zachować,

Niech się nie zbliża do ziemi.



GWIAZDY.

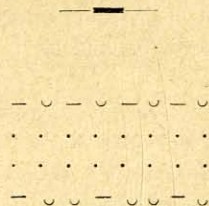
Uroczę kręgi! światłem nieśmiertelnem lśniące,
 Górnego oceanu wyspy gorejące,
 Czemże jesteście? — ileż to wieków uleci,
 Nim całą noc tajemnic ludzka myśl prześwieci!
 Byłże ten błękit, waszym dziś obsiany żarem,
 Pustym tam kiedyś tylko i nagim obszarem?
 Złoteż to prochy ziemskiej sławy tam dobiegły
 Iskryż to wielkich myśli na tych niebach legły
 Lub też duchy w powietrznych ważące się światach,
 W tych słonecznych nad nami przepływają szatach
 I patrząc na tę ziemię, na niebios sklepienia,
 Mierzają te dwie otchłanie — przepaści stworzenia!
 Innemi się mądrości wydajecie oku,
 Przesłała swe rachuby aż w kraje uroku,
 Z czarownej ich osłony odarła lazury
 Rozum, złote ich kwiaty, koronę natury

Zwarzył lodem rozwagi; i te co wprzód były
 Wyrocznią, Bóstwem ziemi w martwe zarzekł bryły.
 Są przecież, są i będą owe dusze rojne,
 Dziewiczej swój ufności jeszcze kwiatem strojne.
 Co rzewną pieszcząc myślą drogą życia marę
 Szczytniej na was prostoty zawieszają wiarę,
 Ku wam, jakby z wygnania, sercem, myślą dążą,
 Tajemniczem się z wami pokrewieństwem wiążą,
 I tak tęsknią, jak matki już umarłej dziecko,
 Co ją czuje nad sobą, w wyższym marzy świecie,
 I w każdej swój niedoli i duszy potrzebie,
 Myślą — błogosławieństwa jój ściąga na siebie.
 Zkądże — zkądże ten pociąg? zkąd te mary śmiałe?
 Miłość — szczęście — geniusz — sława — ludy całe,
 Wszystko ma tam swą gwiazdę, i w lubym obłędzie
 Z uroczych jój promieni nieć swych losów przędzie.
 Człowieku! może niemi na tem górnem niebie
 Bóg zapisał tę przyszłość, która czeka ciebie;
 Może, iż ta wyrocznia niedościgła, wieczna,
 Ta odpowiedź tak ważna i już ostateczna,
 Na wszystkie twoje skargi, przecucia, nadzieje,
 Może przed twojem okiem codziennie jaśnieje.
 Ale któż ją przeczyta? kto jój treść wybada?
 I kto te rozrzucone wyrazy poskłada?
 Gdyby nawet i złożył, czyżby je zrozumiał,
 Lub dźwiękiem ziemskiej mowy wysłowić je umiał?
 Tonie w wirze domysłów myśl Bóstwo głębiąca,
 Leci w przepaść przepaści, przecież dna nie trąca —
 A wątpliwość, do duszy wdarłszy się ogniska,
 Chwyta ją w piekło lodu i swym mrozem ścisła.

Ach! odwróć wzrok badawczy i zniź go ku ziemi,
Wszędzie widzisz granice, a ciemność za niemi;
Nie wydzieraj się nigdy nad zakres pojęcia,
Idź śmiało drogą życia z ufnością dziecięcia;
A jeżeli, jeżeli kiedy w nieba wzniesiesz oczy,
W ten szczytnych, nieśmiertelnych marzeń świat uroczy,
Bierz przykład z jego światła i jak one w górze
Po tym czystym, bezkresnym płyną tam lazurze,
Tak i ty zawsze w ziemskim postępuj zawodzie,
I drogą przepisaną — i w ciszy — i w zgodzie.



GWIAZDA SPADAJĄCA.



Patrzcie, patrzcie — gwiazda spada,
I już znikła w swym przelocie;
Jakby wiatrem dźwięk rozwiany,
Jak błysk uroczy spojrzenia.

Chwila temu, jak w jej blasku,
Sława świętnych wróżb szukała;
Jak ją rojny sen miłości,
Tkliwem okrążał marzeniem.

I już znikła, i te nieba
Niemniej płoną i jaśnieją,
I co wiecznie przetrwać miało,
Ginie bez śladu, wspomnienia.

Górny świecie! świecie cudów
I nadziei nieśmiertelnych,
Więc i twoich pięknych krain
Nieubłagana śmierć sięga?

Sięga do stworzenia źródeł,
Do stóp Bóstwa ściga życie,
I tak zwolna Wszechmocności
Okrąg cudowny rozbiera!

Jak ta złota niebios kropla,
Z Przedwiecznego urny złana;
Tak te wszystkie światy runą,
W głębiach wieczności zatętnią.

Noc pierwotna, stara przyjdzie,
W dawnym wróci majestacie,
I ciemności wielkiem morzem
Pustość bezkresną zaleje.

I nie spłynie żadna arka,
Ni z nią nowy świat w zarodzie;
Cofnie się Tworzące słowo,
Zamknie w swym Bogu — na wieki!



POTEGA MYŚLI.

— — —

Mysli! ogniste szczytnych natchnień dziecie,
Wyżej natury nieśmiertelny kwiecie,
Iskro duszy mój ogniska;
O jakżeś w twoim wysoka polocie,
Wyższaś nad słońca, nad tych światów krocie,
Wyższa nad cudów zjawiska!

Gdzież nie dosięże twa dzielność tajemna!
Granicą twoją nieskończoność ciemna,
Tobą to człowiek znikomy
Podbił tę ziemię — morza upokorzył,
Zuchwałą drogę w powietrzu roztworzył,
I burzom wydarł ich gromy.

Tobą to Kolomb za morza nagłony,
Jak gdyby wielkie przeczuł Waszyngtony,
 Biegł na burze, śmierć gotowy —
Tobą przesięgał wód nieznanych tonie,
I nim go ujrzał, już w jego łonie
 Zgadła, stworzyła świat nowy.

Przez ciebie grecki wieszcz zbudował sobie
Ów wielki posąg na Achilla grobie,
 Trzydzieści wieków go wspiera;
I gdyby zginął ród Helenów cały,
I nawet dzieje zapomnieć go miały;
 Ożyły w sławie Homera.

Myśli! niezgłębny i bezkresny świecie,
Tyś orłem w mędrco, tyś burzą w poecie,
 Tyś prawdziwem słońcem ziemi;
Ty wszystkie ludy, wszystkie wieki bratasz,
Jak łuk ognisty noc czasów przelatasz,
 I łączysz przeszłe z przyszłymi.

Wzbił się Kopernik nad zakres spojrzenia,
Zdziera zasłonę z tajemnic stworzenia,
 I światów porządek kryśli,
Możesz być większy tryumf dla człowieka?
Boga swojego układów docieka,
 I co Bóg myślał, to myśli.

I któż więc jeszcze tak zuchwałym będzie,
By cię chciał w twoim wstrzymywać zapędzie.
 Ciebie swemi gromić kary?
Czyż go nie zrazi téj walki daremność,
W której uległa tyłowieczna ciemność,
 I wszystkie dotąd Omary?

Łamie się stałość i hart cnoty kruszy,
Tysiąc kroć padła sama wielkość duszy,
 Zgiął się człowiek, świat ukorzył;
Ale ty myśli ugiąć się niezdolna,
Tyś jedna zawsze tak czysta i wolna,
 Jak kiedy Bóg cię utworzył! —



ŻEGLARZ POWIETRZNY.

Słaby i znikomy tworze,
Gdzież się twa śmiałość przedziera,
Małoż ci otchłani morze,
A ziemia grobów otwiera?

Któreż wieki, któreż strony,
Któryż Bóg ci kres oznaczy,
Kto ten popęd nieskończony,
Duszy ludzkiej wytłómaczy?

Próżnoż swym pamiętnym losem,
Zbladły cię Ikar przeraża?
Ziemia tkliwym zwraca głosem,
Niebo piorunem zagraża?

Lecz cóż dzielną wstrzyma wolę,
I ten wrzący zapal męztwa?
Już na posłusznym żywiolo,
Rozwijasz żagiel zwycięstwa!

Są więc te stanowcze chwile,
Chwile życia, wieki chwały,
Gdzie dusza w całej swój sile
Rzuca się w zawód zuchwały.

Gdzie z głębi siebie przywoła
Wszystko, czem się podnieść umie,
I gdzie człowiek wszystko zdoła,
Co być podobnem rozumie.

Chwała, chwała twój odwadze!
Same ją budzą niebiosy,
Ustępują twój przewadze
Przeszłość, natura i losy!

Gdzie gniewnym Boga wyrokiem
Grzmią te krainy rozległe;
Gdzie samą myślą i okiem
Sięgały wieki ubiegłe;

Tam cię wolnego obawy,
Niesie twoja własna siła;
Tam na skrzydłach swojej sławy,
Wiek cię obecny przesyła.

Patrz! jak ów orzeł wspaniały,
Oswojony z niebios grzmotem,
Odwagą twoją zdumiała,
Niespokojnym krąży lotem.

Patrz! jak się w chmurach ukrywa,
Gniewem i wstydem zapala;
Jak próżno gromów przyzywa,
Na zgubę swego rywala.

Próżno na swe losy zdradne,
Skarżące jęki wywiera;
Dłoń mu twoja, samowładne
Berło powietrza wydziiera!

O! jak cię każdy ze drzeniem,
Jak duszą ściga radosną;
Jak z każdym lotu wzniesieniem,
Myśl się wzbija, serca rosną.

Czemuż im śmielszy, im wyższy,
Tem silniejszą zazdrość budzi, —
Czyli żeś już nieba bliższy,
Czyli żeś dalszy od ludzi?

Wzbijaj się mężny sterniku,
Uciekaj z ziemskiej doliny,
Leć szczęśliwy śmiertelniku
W wolne ulatasz krainy!

Już cię swemi skargi, jęki,
Nie dochodzi głos ziemianów,
Ani ciężkich kajdan brzęki,
Pieszczące ucho tyranów!

Już nie widzisz obcych rodów
W twoich ojczystych siedliskach;
Ani rozdartych narodów,
Ni starych tronów w zwałiskach.

O! jeźli cudem w naturze,
W twoim dalekim zakresie,
Aż do owych światów w górze,
Szczęśliwy lot cię zaniesie;

Jeźli tam ludzkim postaciom
Ujrzysz podobne istoty;
Powiedz tym odległym braciom
Ziemskie niezgody, sromoty!

Okryśł te mordy, pożogi,
Te prawa, cnoty zdeptane;
Ponieś im krwawe przestrogi,
W klęskach padołu czerpane. —

Spiesz się — spiesz połączyć z niemi!
Wzbijaj się — wzbijaj do góry.
Dotąd byłeś panem ziemi,
Dziś jesteś królem natury.

Świat — twém państwem niezmiernem
Chmury — królewską osłoną;
Te powietrza — twoim tronem,
Wysokie gwiazdy — koroną!

Lecz cóż to? jakaż zawada
Śmiały lot jego ukraca?
Już słabiej — już upada
I znów do pyłu powraca.

On! co wśród wolnej swobody,
Trącał o niebios sklepienia!
Temże są ludzkie zawody,
I wszystkie ziemskie marzenia?



DROGA ŻELAZNA.

— — —

Szerszego życia żądą naprzód gnany,
Człowiek z powietrznej wróciwszy żeglugi,
Spojrzał w świat ten nieprzejrzany
I jak świat ten wielki, długi,
Dwa bliźnie druty narzucił tej ziemi,
Wsiadł w rydwan pary i puścił się niemi.

Od pierwszej chwili stworzenia natury
Brzemienne kruszcem piętrzyły się góry;
Jak stare skarbee wieki wieków stały,
I na wielką myśl czekały.

I myśl ta błysła — zajaśniała słońcem
Człowiek lotnym pędzi gońcem,
Przestrzela ziemię zdumiałą;
Rydwan gromem — droga strzałą.

Leci — życie, czas potraja,
Grody, rzeki, morza spaja;
Zbliża się kres ku kresowi,
Łączą ludy, wiążą kraje,
Biegun bratu biegunowi
Sasiednią rękę podaje.
Rzekłbyś, że Boga nakazem
Przewraca się postać świata;
Dziś się rozdawał żelazem,
I dziś żelazem się brata.

Leć, leć własną gnany siłą,
Jaśniej w świetnym wieku dziele;
Każda z dróg twych wielką żyłą
W niezmiernem świata ciele.
W każdój z żył tych, nurtem wrzącym
Ogień się życia przelewa;
Na każdym wozie lecącym
Sztandar wolności powiewa.

Pędzi, pędzi jak grom fali,
Uciekają lasy, góry;
Gdzieś tam za nim, w ciemnej dali
Zmordowane szumią chmury.
Ledwie ujrzał Alpy, Tatry,
Już go swym ogromem słońią;
Gonią za nim orły, wiatry —
Orły, wiatry nie dogonią!

Pędzi, pędzi w lotnym biegu
W wielką otchłań niezmierności;
Jak lawina, piorun śniegu,
Wieść tryumfu, duch wolności:
Radość jego ogniem płonie,
Radby objąć ziemię całą;
Burza szczęścia tętni w łonie,
I każdy oddech nawałą!

Leć, leć, wiek twój z tobą leci,
Wiek potężny, wiek zapasów,
Co nad całą masą czasów
Lotnym meteorem świeci.
Wszystkich wieków myśli śmiałe
W jego myśl się zestrzeliły;
Wszystkie chwały, w jego chwałę,
W siłę jego, wszystkie siły.
On już mężem był z dziecięcia,
Krwiał go ochrzcił Cezar nowy,
I ten ogień przedsięwzięcia
Wlał mu swemi czyny, słowy.
Wiek ten, stary świat pokona
Góry przeszkód w proch rozdrobi,
On w pracowni swego łona
Stu wieków przyszłość wyrobi.
On na wszystkie czasy, ludy,
Rozwinął skrzydła olbrzymie,
Leci — wielkie sypie cudy
I *Naprzód* mu imie!

LORCIA.

Obraz z natury.

Są wdzięki, których gminne nie dojrzą spojrzenia,
 Którym mowa człowiecza nie dała imienia,
 Przeszłyby niewidziane i zgasły niestety,
 Gdyby na nie w ich kwiecie nie padł wzrok poety.
 Spójrzij na tę samotną i bladą dziewicę,
 Nigdy różą młodości nie kwitły jój lice,
 Twarz obca pięknym kształtom — przecież smętna, tkliwa,
 Na której jakaś zimna cierpliwość spoczywa,
 Jakaś sennaść znużenia — a jak gość niezwykły,
 Uśmiech jój tak leniwy i tak szybko nikły —
 Oko zgasłe, umarłe — postać — istność cała
 Tak wątła jakby z wiatrem rozwionąć się miała.
 Świat ją zimno omija w swym płochym oblędzie,
 Nikt jój nigdy nie kochał, ni kochać nie będzie;
 A przecież wzrok, co głębiej wczytać się w nią zdoła,
 Niejeden wdzięk ukryty na jój twarz wywoła.

Jest to jakiś zwarzony młody kwiat niewieści,
 W jój głosie jakaś tajna muzyka boleści,
 W każdym ruchu — wstępn świat, myśl — w każdym
 [spojrzeniu,

W jój układzie — marzenie, a wyraz — w milczeniu.
 Są chwile, w której takie słowo z ust jój padnie,
 Słowo duszy, które tam spoczywało na dnie —
 Iż zda się, że w tym dźwięku jednego wyrazu
 Całe dzieje swych marzeń wylała od razu.
 Radość — zimny wzrok bliźnich — nagany — pochwały,
 Tem są dla jój czułości, czem jest grad dla skały;
 A na jeden dźwięk czasem — jeden kwiat złamany,
 Szum lasu — przelot gwiazdy — liść wichrem miotany,
 Skroń się jój tak rzewliwą smętnością omracza,
 I łza wielka, gorąca po jój licach stacza.
 Żaden przecież grom losu, żadna krwawa strata,
 Ni zawód nawet serca nie zczernił jój świata;
 Ale — ni ona świata — ni świat jój rozumie,
 Dusza jój nigdy z ludźmi skrewnić się nie umie;
 Jest to, błędem natury gwiazda przerzucona
 Z jednej sfery na drugą — niedobrana strona,
 Co wciąż sprzecznym tój ziemi odzywa się jękiem
 I nigdy już z stron bratnich nie zleje się dźwiękiem —
 Bóg zna tylko jój skrytych uczuć, myśli boje,
 I gdzie dusza podobna ma ojczyznę swoją;
 Zakrył on jój ponęty dla świata żrzenicy,
 Dla wieszczą tylko przybrał — w piękność tajemnicy.

ŁZA.

G ty z anielskiej ulana czystości,
Łzo, kropło boska, wyciśniona z duszy;
Słodki ulewie wezbranój rzewności,
Kogoż twój widok nie wzruszy?

Niebo nas twoim pocieszając tworem,
W głębi serc tajne wskazało ci źródło,
I z tamtąd skrytym prowadząc cię torem
Drogą spojrzenia wywiodło.

Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,
Wdzięcznem kochanki rozjaśniona okiem;
Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz
Piękności twojej urokiem.

W tobie to każde uczucie przemawia,
Miłość cię, litość, żal i radość leje;
W tobie to prawda serca się wyjawia,
I promień cnoty jaśnieje.

Jak na uwitym z młodych róży wieńcu,
Drży wonna rosa, porankiem błyszcząca;
Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu
Lśniesz się i cicha i drżąca.

Tyś jest ostatnią niewinności bronią,
Ty skrapiasz wszystkie i wieki i stany;
Ciebie nędzarze, ciebie króle ronią,
Bo któreż serce bez rany?

O jak w tej ciężkiej życia nawałnicy,
Słodkiem, cudownem jest twoje przybycie;
Ledwie z wezbranój wytrzyśniesz żrzenicy
I jużci lżejszem jest życie!

Wraca odwaga, powracają siły,
Boską rozkoszą orzeźwia się dusza,
I do tych ofiar, co tak trudne były,
Zmężniałą cnotą się zmusza.

Piękny, wyłączny człowieka udziale,
Tobie tę cenę same dały nieba,
Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,
Jednej lzy tylko potrzeba.

Bóg to, Bóg ciebie w naszą istność wsączył,
On to nas w twojej słodyczy przenika;
On to tak ścisłem ogniwnem cię złączył
Z każdą dolą śmiertelnika.

Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,
I tobą każdy ślad życia oznacza;
Tobą się z sercem rozdwojonem godzi,
Tobą pociesza, przebacza.

Ciebie on czeka, gdy go boleść tłoczy,
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywoływa
I w ten czas nawet, gdy cię już nie zoczy,
Jeszcze cię na grób przyzywa!

PŁACZ WE ŚNIE.

(Naśladowanie.)

Gzemuż-to dziecię zawsze płacze we śnie?
Tak dziwnym w północ odzywa się jękiem,
Tak rzewnym głosem — tak smutno — boleśnie —
Jak gdyby szczęścia rozbitego dźwiękiem?

Wszakże kwiat zdrowia na licach mu płonie,
Świat jeszcze serca nie zranił mu niczem,
Miłość go matki na swem tuli łonie,
Modlitwa skrzydłem słońi tajemniczem.

O! bo w niem smutna przyszłość się ukrywa.
Może już Anioł cierpień tak żałośnie
Weześnie na młodej lutni to przegrywa,
Co kiedyś na niej ma zagrać tak głośnie!

PRÓŻNOŚĆ WALKI.

Są miejsca, których urocznego koła
Zaden syn ziemi uniknąć nie zdoła.
Niechaj przez tysiąc i lądów i toni,
Na krańce nawet świata się zagoni;
Los ciągle za swą dążący zdobyczą,
Ściągnie go swoją nicią tajemniczą,
I jakby siłą Boskiego ramienia
Zwróci go, stawi — w *miejscu przeznaczenia.*

SZCZĘŚCIE I POKÓJ.

I.

Szczęście i pokój!.. dziwne, ciemne słowa,
Jakaż to was nieznana utworzyła mowa?
Próżno jej szukam w świecie, wieków, dziejów pytam...
Po grobowcach najstarszych ludów śledzę, czytam...
I ci co nią mówili, i ona wraz z niemi
Bez śladu, bez wspomnienia zginęła na ziemi. —
Wy się tylko jedyne tu po niej ostatki,
Błąkacie jak sieroty zapomnianej matki;
Brzmicie jeszcze w powietrzu, lecz już nikt na świecie
Ni pojmie, ni odgadnie co znaczyć możecie.
Ciemną nocą was wieki okryły niezwrotne,
Zgasłym gwiazdom podobne, hieroglify lotne!
A jeśli kiedy człowiek tą marą się ludzi,
Że śpiącój wśród was myśli jakąś cząstkę budzi,

Nic się tutaj przed jego nie snuje oczami,
 Coby mógł z wami równać, lub też nazwać wami.
 Tyle mu tylko wasze powiadają brzmienia,
 Ile powiew wietrzyka, dźwięczny głos strumienia,
 Szelest listka, brzęk pszczoły, lub słowicze jęki,
 W pierwszej świata młodości rozumiane dźwięki.

II.

Zkądże przecież ten urok czarujący, boski,
 Tak silnie z was przemawia tajemnicze zgłoski,
 Że ledwie was zaszłszy już się serce wzrusza,
 Z głębi swojej zboliała odpowiada dusza,
 Jakieś błogie istnienie przeczuwać się zdaje,
 Świetniejsze przez mgłę ziemską przewidując kraje,
 Nie — nie, wy nie jesteście dziećmi naszej ziemi,
 Dla was usta człowiecze nie dość są czystemi,
 To powietrze zbyt grube — gwiazd, słońca lub nieba,
 O źródło waszych dźwięków zapytać by trzeba;
 Z anielskich może hymnów uronione brzmienia
 Spadłyście na tę ziemię w pierwszym dniu stworzenia,
 I jak ten ranek świata wdzięczne, czyste, nowe,
 Całą może Edenu składałyście mowę,
 Lub też miłość, w uroczych niewinności latach,
 Wymarzyła was sobie w swoim śnie na kwiatach,
 Jak echa drogich imion, zgodne serc dwóch bicia,
 Jak dwie zorze nadziei na ciemnym tle życia,
 Róże, gwiazdy wieńczące rysy młodociane,
 I kochanki i Bóstwa, w jeden obraz złane.

III.

Sprzeczności ziemskich rzeczy! ciemna! nieprzenikła!
 Któż kiedy tę splątana twoją sieć rozwikła!
 Gdy dla tych płonnych dźwięków, dziwnych słów —
 [daremnie

Odpowiednich im uczuć, myśli, szukam wemnie;
 Ileż to w głąb mej duszy zwrócone spojrzenia,
 Dostrzegają tam myśli, uczuć bez imienia;
 Ileż takich co ciągle w sercach ludzkich śpiące,
 Już przespały i jeszcze prześpią lat tysiące,
 W zbyt głębokiem i ciemnem leżą tam ukryciu,
 By mogły w tem tak krótkiem przebudzić się życiu;
 Cichy sen ich, godniejszych krain, światów czeka,
 Tam pod słońcem wieczności wykwitną z człowieka,
 Tam wszystko, z najciemniejszych zarodów wytryśnie,
 I każdy odcień duszy jasnym dniem zabyśnie;
 Tam z czystych, nieśmiertelnych dźwięków złana mowa,
 Przybierze je nakoniec w swoje boskie słowa,
 I te których na ziemi pojąć tu nie umiem,
 Tam może poznam *pokój i szczęście* zrozumie!



Lecz się za rok zestarzeję,
Wkrótce, wkrótce w innym świecie
Starszych mych braci dopędzę,
Szczęśliwy jeśli powiecie
Zem umniejszył biednych nędzę,
A gdy i mnie czas odegna,
Podróżny wezmę tłumoczek,
Tak mnie z was każdy pożegna:
„To przecież dobry był roczek!“

NOWY ROK

(w postaci dziecięcia, odganiającego rok stary.)

— — — — —

Już was rok stary pożegnał
Już wam szczęścia nie zakłóci;
Takem go dobrze odegnał,
Że już pewno nie powróci.
Żle się na tym świecie sprawił,
Radbym zatrzeć jego grzechy,
On was tylu strat nabawił,
Ja może niosę pociechy.
Na cóż ciągle łzy wylewać,
Któż wie co mu przyszłość kryje,
Kto się nie umie spodziewać,
Nigdy życia nie użyje.
Lecz się spieszcie, bo czas krótki,
Chwytajcie młodą nadzieję,
Jeszcze wprawdzie zbyt malutki,

Z MĄDROŚCI BRAMINA.

Nie zwijcie tego szczęściem, co w mylnym podziale,
Jednym daje za mało, a drugim za wiele.
Szczęście jest jak powietrze, jak słońce, jak życie,
Wszystkim dane zarówno, i wszystkim obficie.
Nie mieści się w bogactwie, ni władzy mocarza,
Bo jednym to wydziera, w co drugich obdarza;
Nie w mądrości, bo chociaż ten świat ją szanuje,
Tak mało jój tu szuka, mniej jeszcze znajduje.
Dobrym być — oto szczęście co każdy posiędzie —
Bo każdy nim być może, i gdy zechce, — będzie.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

G jakże słodko twoja rozkosz wzrusza,
Pierwsze uczucie pierwszego kochania,
Jakże się tobie młoda dziwi dusza,
Piękniejsza wdziękiem dumania.

Cóż to za nagle uczuła ocknienie,
Ileż w niej trwogi, rzewności, słodyczy,
Cóż to za lube i rozkoszne drzenie
Miesza jój pokój dziewiczy?

Jest to woń boska nieznanego kwiatu,
Gdzieś tam z Edeńskiej przywiana krainy;
Gwiazda innemu jaśniejąca światu,
Uśmiech marzącej dziecińy!

Wznosi się czuciem biała pierś dziewicy,
Jak śnieżny żagiel lekkim wiatrem wzdęty,
Kiedy przed chwilą czarnej nawałnicy,
Przez morskie płynie odmęty,

Jeszcze ta burza w głębi wód spoczywa,
Jakby myśl czarna w sennych marzeń roju;
Jeszcze te morza czysta noc okrywa,
Przyświeca gwiazda pokoju.

Puszcza się, płynie, żeglarz nieświadomy,
W pierwszej, urocznej młodych uczuć wiosnie;
Lecz ten, co przetrwał już burze i gromy,
Jakże nań patrzy litośnie!

Próżnoby — próżno chciał go zwracać z drogi,
Tam gdzie go wiernie dawny pokój czeka;
Ach! któżby słuchał natrętnej przestrogi,
Gdy wszystko szczęście przyrzeka!

Gdy po tem świetném tylu gwiazd przestworzu,
Najmniejsza nawet chmurka nie przemija;
I gdy w tem morzu, niezmierzoném morzu,
Całe się niebo odbija.

Pierwsza miłości! ty z nad gwiazd przybywasz,
Wdzięki i szaty strojna anielskiemi;
Lecz jak ten urok, z którym do nas spływasz
Prędko na tój gaśnie ziemi!

Jak prędko w błędne puszczeni bezdroże,
Płaczymy twojej słodyczy niezwrotnej;
Czemuż cię serce zatrzymać nie może,
W twojej czystości pierwotnej?

Wszystkoż więc człowiek tak marnie rozproszy,
Najświętszych nawet darów nie oceni?
I każdeż źródło szczęścia i rozkoszy,
Sam w źródło nieszczęść zamieni!



MATKA DO CÓRKI W DZIEŃ ZAŚLUBIN.

Już więc na drogę tyłu powinności
 Wzywa cię twojej godziny wybicie,
 I z tak pięknego snu twojej młodości
 W rzeczywiste woła życie.

Na nowe losu wstępujesz koleje,
 (Dotychczas szczęścia i niebios kochanka)
 Niesiesz w nie nowe troski i nadzieje,
 Z pamięcią twego poranka.

Idź gdzie cię twoje przeznaczenie woła,
 Opuszczaj progi rodzinnej ustroni;
 Niebo łzom matki oprzeć się nie zdoła,
 Tarczą cię swoją osłoni.

Nie samo szczęście wróżyć ci przychodzę,
 Nie ciebie złudzą marzenia tak zwodne;
 Nie same kwiaty na tej znajdziesz drodze,
 Nie zawsze słońca pogodne.

Jak gdy dwóch lutni połączone głosy,
 Jednym brzmią smutkiem, szczęściem lub nadzieją,
 Tak się i wasze myśli, czucia, losy
 Odtąd w jedno życie zleją.

Najmniejsza troska wzajem cię poruszy,
 I na łzę każdą, łzę odpowiesz swoją,
 Każda się radość podwoi w twój duszy,
 Ale i smutki podwoją.

Są jeszcze inne płci twojej przymioty,
 Okryte cieniem domowej zaciszy:
 Są te ofiary, są te ciche cnoty,
 O których świat ten nie słyszy.

Nigdy ich ludzka pochwała nie głosi,
 Nie zawsze nawet do wdzięczności skłonią;
 Nieraz łza cicha oko twoje zrosi,
 I tej ci może zabronią.

Poznasz jak nasze niepozorne życie,
 Najtrudniejszymi zasłane przeszkody;
 Poznasz jak często potrzeba kobiecie
 Być cnotliwą bez nagrody.

Lecz czegoż piękne serce nie dokona,
Kornie się z twardą powinnością godzi;
I mężnie z samą przeciwności łona
Rozkosz cnotliwych wywodzi.

Da ci to szczęście, ta słodycz, łagodność,
Co zawsze duszy twój była ozdobą,
I ta powaga i ta piękna godność,
Co sama czuwa nad sobą.

Lecz wszystkie szczęścia i wszystkie przymioty,
Tyle ci twojój nie osłodzą doli
Jak kiedy twoje błogosławiąc cnoty,
Bóg ci być matką dozwoli.

Czeka cię córko to imie wspaniałe;
Któryż blask świata zrównały mu zdołał?
Bóg ziemskiej matki uwieczniając chwałę,
Na tron ją nieba powołał.

Wszystkie nadzieje, wszystkich marzeń roje,
Wszystko ci w twojem powróci dziecięciu;
Cały świat pociech, całe szczęście twoje
W matczynem zamkniesz objęciu.

A gdy i w ten czas jaka chwila sroga
Lotną ci życia zatruje godzinę,
Pomnij, że każda, nawet szczęścia droga,
Idzie przez ziemską dolinę.



JAKO PAN GADULSKI WNUCZCE SWOJĘJ DAWNE MIŁOSTKI OPOWIADA.

— — —

Nie taka miłość, wnuczko kochana,
Za moich czasów tam była;
Miłość ta *Bożą wolą* nazwana,
Z wolą się starszych godziła.

Gdy się w kim krasą urodnej dziewczki
Strzelisty affekt rozniecał,
Nim jeszcze do niej smalił cholewki,
Ojcu się wprzódzy zalecał.

A ojciec czekał, co rzeknie matka,
I stryjów zdania gromadził;
Pytał o wolą babki i dziadka,
Jezuity zwłaszcza się radził.

Innym też w ów czas był gust niewieści,
Chłystek się w serca nie wnącał.
Dawniejszy luboń miał lat trzydzieści,
I już wąs dobrze zakręcał.

Stricte on, stricte wprzód się wywodził,
Myśląc o pannie lub wdówece,
I z swego herbu i kto go rodził,
Co miał w sperandzie, w gotówce.

Kto chciał być miłym oczom bogdanki,
Helmem się, zbroją okrywał;
Taki to tylko swój Imościanki,
Rękę i serce zdobywał.

Chwackiż to gaszek był w dawnych latach,
Musiał przy pannie się zwijać;
I na ognistych sadzić bachmatach,
I kulę kulą wybijać.

Musiał on gracko uciąć mazura,
I srebrną krzesać podkówką;
Musiał w powietrzu rozebrać kura,
A gęsto machać krzyżówką.

Największych nawet kluczów dziedziczka,
Mogłaż tam uciec z serduszkciem,
Kiedy tak szczerze spijał z trzewiczka,
A zawsze pełno i duszkciem.

Zagrzmiała trąba, błysnął proporzec,
Ruch, rwetes w całej krainie;
On głaszcząc wąsik przed stary dworzec
Na dzielnym przypadł turczynie.

Nie mdlała panna, ni z trwogi bladła,
Scisła dłoń zbrojnej prawicy;
Złote mu serce na szyję kładła,
Z obrazkiem Boga-Rodzicy.

I odtąd co dzień u stóp się Bóztwa,
Z koronką w rękę modliła;
I sama piekła chleb dla ubóstwa,
Niedziółki nawet suszyła.

A gdy znów siwosz przed dworca progiem
Pod dzielnym zagrzmał młodzieńcem;
Z całem swem szczęściem padła przed Bogiem
Z wstydliwym wyszła rumieńcem.

On jój o bitwach krwawych i dziarskich,
O wodzu-królu powiadał;
A całe snopy szablic tatarskich,
Przed nogi ojca jój składał.

I wkrótce, wkrótce w wiejskim kościółku
Kapłan ich ręce zjednoczył;
A dziaduś z wnuczką na jój wesółku,
Po raz ostatni podskoczył.

Lecz gdzież te czasy, co niegdyś były ?
Zbiegły, ach wiecznie już zbiegły ;
W sercu téj ziemi, na dnie mogiły,
Wraz z starą cnotą poległy !



PORÓWNANIE.



Miłłość jest jak ten strumień w swym spadku gwałtowny,
Co się z źródeł nieznanych rzuca w kraj czarowny
Ileż się w nim nadbrzeżnych piękności odbija,
Ileż wdzięków go nęci — on wszystkie przemija,
I jeden tylko obraz, w czyste łowiąc tonie,
Zawsze toż samo słońce w swoim niesie łonie ;
Z niem się chmurzy, rozjaśnia, lata, wieki płynie,
Z niem wszystkie mija losy i z niem w morzu ginie.



DO

Nim wietrzyk przeciwności spokojność twą wzruszy,
Używaj chwil tak błogich na drogiem ci łonie;
Raz tylko kwiat młodości na licach nam płonie,
I raz tylko kwiat szczęścia rozwija się w duszy.

Używaj, gdyż tak rzadko dwa serca podobne
Jeden los, jeden węzeł, jedno łączy bicie;
Używaj, gdyż te usta tak wdzięczne, nadobne,
Z czary tylko rozkoszy pićby winny życie.

Są, którym zbyt wczesnemi łzami ćmią się oczy,
Zbyt wczesnie obłok smutku wdzięczną skroń osiada:
Zaledwie rozwinięte serce boleść toczy,
I przed kwiatem młodości, kwiat szczęścia opada.

Są, co z życia osnowy sam smutek wyprzedli,
Nie śmieją nawet z drobnem ozwać się życzeniem,
I płoną żądzą serca strawieni i zwiędli,
Z nieugaszonem duszy polegą pragnieniem.

Wdzięcznym wśród tych barw czarnych błyszczysz nam
[obrazem:

Wiosna twoja i w jednym listku ci nie zbladła.
Jaśniej więc pełnią szczęścia! lecz strzeż się zarazem,
By w kielich twój radości łąza bliźnich nie wpadła.

Nie mów przebóg! o szczęściu twojem w obec ludzi,
Bo któż wie, jaką boleść twoim zranisz głosem?
Nie raz odgłos cudzego szczęścia do łez budzi,
I serca już rozdarte nowym krwawi ciosem.

Przyjdzie czas, przyjdzie, w którym nasycona światem,
Zajrzesz w dusze ostre ściśnione cierniami;
A widząc się samotnym tyłu ruin kwiatem,
Zasmucisz się twem szczęściem, i zapłaczesz z nami.



DO

Pocóż gonić za szczęściem po tej łez dolinie,
Gdy zaledwie schwycone, już na zawsze ginie;
I kiedy nic w tem życiu tak ciężko nie boli,
Jak gdy się znikłe szczęście przypomni w niedoli.

Pocóż gonić za szczęściem, które gdy się straci,
Już go żadne późniejsze sercu nie odplaci;
Zawsze to, co już grobów okryło się mrokiem,
Milszym przez mgłę przeszłości nęci nas urokiem.

Pocóż gonić za szczęściem, gdy już życie mija,
W wiosnie się tylko serca, kwiat szczęścia rozwija;
Pod słońcem on młodości zakwita jedynie,
Raz on tylko wystrzela i na zawsze ginie!

PIOSNKA.

Gdybym był wiedział w dawniejszej porze,
Czegom o tobie dziś się dowiedział;
Byłbym nie kochał — uciekł za morze,
Gdybym był wiedział.

Nie byłbym mojej młodości strwoził,
Ufnością zdradzie twój odpowiedział,
Ni teraz za cię wstydem się płonił,
Gdybym był wiedział.

Stało się, stało — już po obłędzie
Trzeba na wieczny zdobyć się przedział,
Ostatniem słowem w zgonie mym będzie:
Gdybym był wiedział!

„WIDZIAŁEM W RANEK WIOSENNY.“

Widziałem w ranek wiosenny,
Zawiązek kwiatem brzemienny,
W farby i wonie bogaty,
Świeciły słońca pogodne,
Pieściły wiatry łagodne,
Rozwinął świetne szkarłaty.

Ale wkrótce blask ten zniknął;
Czarny, dziki orkan ryknął,
Mroźne go wichry przyniosły,
Oberwał listki znikome,
Zaniósł w strony niezajome,
I już drugie nie odrosły.

Widziałem łódkę na wodzie,
W śmiałym i rączym zawodzie;
Niosły ją nurty ochotne,
To szerokie, to ścieśnione,
To spokojne, to wzburzone,
Ale już nigdy nie zwrotne.

Różne nią wichry miały,
Skąły skalom odrzucały,
Na czarne pędząc głębiny,
Co raz na nowe zatoki,
Nowe otchłanie, opoki,
I z cieśniny do cieśniny.

Widziałem wreszcie pielgrzyma,
Cel niedościgły oczyma,
Gonił od rana do zmierzchu,
Spieszył na górę skalistą,
Nagą, dziką, stromą, mglistą,
I ciągle darł się do wierzchu.

Próżnom pytał, próznom badał,
Błaho tylko odpowiadał
O swoim celu, potrzebie.
Nie wiedział co tam postrzegnie
Skąd przybywa, dokąd biegnie,
I sam nawet nie znał siebie.

Ale im wyżej dobiegał,
Coraz mniej śladów postrzegał,
Zimna ścisnęła go trwoga.
Coraz ciemniejsze obłoki,
Oślaniały szczyt wysoki,
I dalsza znikła mu droga.

Tak to i życie człowieka,
Podróż ciemna, nie daleka,
Dziwna z losem, z sobą wojna,
Nikły, marny sen złudzenia
Krótki dzień smutku, cierpienia,
Jedna chwila niespokojna!



ZWIĄZEK SERCA Z NATURĄ.

Chcesz wiedzieć, jak się człowiek z naturą spokrewnia,
Z nią się cieszy, z nią marzy, smuci lub rozrzewnia,
Zważaj młodą dziewicę, co się kocha skrycie,
A ujrzysz jak jój głębsze, tajemnicze życie,
Wiąże się z przyrodzeniem. Ona wie i słyszy
Z czego kwiatki kwiateczkom zwierzają się w ciszy;
Ona sercem wtóruje słowikowi w śpiewie,
Wie co ptaszek ptaszekowi powiada na drzewie,
Wie, za czem pszczołka goni, dokąd motyl leci,
Wybrana przez nią gwiazdka na jój niebie świeci,
Ona wszystkie promienie, wszystkie marzeń roje,
Wszystkie dźwięki i wonie wciąga w serce swoje,
Dla niej świat ten niezmierny jest miłości światem,
Jeden rzut oka szczęściem, a łza poematem.



WŁAMEK Z POEMATU AMOR I PSYCHE.

Zaledwie błysnął promień złotego poranka,
Psyche niewidzialnego szukała kochanka,
Szukała go zbląkana po całym ustroniu,
Po łąkach, po pagórkach, po kwicistem błoniu.
Toby go znaleźć rada, to znaleźć się boi,
To ucieka, powraca, to biegnie, to stoi:
Aż wreszcie gdy strudzona przy źródle spoczywa,
Tak się z pobliskiej grotty luby głos odzywa:
„Gdybyś mnie, droga Psyche, kochała w istocie,
Tu byś mnie przyszła szukać w mojej ciemnej grocie,
Miłość w najcichszym zawsze kryje się schronieniu,
I żyje tajemnicą i rośnie w milczeniu.
O Psyche! żadnaż moja prośba cię nie wzruszy?
Nigdyż miłość do twojej nie przemówi duszy?
— Miłość? rzecze mu Psyche, spoglądając w grotę,
Jakże chcesz bym kochała nieznaną istotę?

Srogi wyrok zatrwożył tkliwe moje serce
Wystawił cię przedemną jak potwór, morderce,
Ale kiedy cię słyszę — o wielcy Bogowie!
Samą nawet wyrocznią Psyche fałszem zowie:
Ustępuje z jej piersi wszelka bojaźń skryta,
W słodyczy twego głosu słodycz duszy czyta:
Lecz pozwól, niech cię ujrzy, postać twoją zoczy,
Już cię serce poznało, niech poznają oczy!
„Nieszczęsna! czego żadasz? głos zawołał luby,
Ciekawość twoja będzie przyczyną twój zguby
Jeśli mnie kiedy ujrzysz, drogo to zapłacisz
Wydrzesz mi moje szczęście i twoje utracisz;“
Ale czegoż nie zdoła ciekawość zuchwała.
„Więc cię kochać nie będę!“ Psyche zawołała;
Lecz zaledwie ją uniósł zapęd nieroztropny:
„Ach! okrutna! okrutna!“ słyszy krzyk okropny,
Chciała by słowa swoje cofnąć nieszczęśliwa
Lecz już późno, daremnie litość się odzywa,
Boleść serce przenika, piękne lica zbladły
Uczuła lży kochanka, co na dłoń jej spadły,
Uczuła w swoim ręku, jego ręce drżące,
Spotkały się ich serca, ich usta gorące.
Jednem czuciem, rozkoszą, jednym ogniem płoną,
I wzajemnie w miłosnych swych objęciach toną.
Ach! nie wie nieszczęśliwa jak jej zguba blizka
I jakiego kochanka do serca przyciska!

.

PRZYJAŹŃ.

Nieszczęśliwi ją zowią pierwszym nieba darem;
Ona stale ich losu dzieląc się ciężarem
Podaje kwiat pociechy wśród życia pustyni,
Ona szczęśliwych nawet szczęśliwszymi czyni.
Każde serce jój pragnie, każda łza jój wzywa,
Szuka jój drżący starzec, szuka młodość żywa;
Dziecię nawet wśród dzieci, gdy igra, swawoli,
Już jedno z nich wybiera, z niem się bawić woli,
Najdroższych swoich fraszek, chętnie mu udziela
I nie znając co przyjaźń, już ma przyjaciela.
Śmierć nawet nie rozerwie co przyjaźń złączyła,
Aż do drugiego świata swój smutek posyła,
I gdy nad przyjaciółmi płaczem straconemi
Jeszcze się żalem naszym łączymy z niemi.

„KIEDY ZCICHNĄ SERCA BICIA“...

Kiedy zcichną serca bicia,
I już blizka śmierć się czerni,
Cóż unosim z tego życia?
Trochę kwiatów, dużo cierni.

Po tych kilku dniach pogodnych,
W pośród tyłu burz i nawał,
Po tyłu nadziejach zwodnych,
Zgon tak łatwymby się zdawał.

Przecież w chwilach tak bolesnych,
Gdy się wszystkie węzły zrywa,
Dla szczęśliwych, dla nieszczęsnych,
Śmierć zarówno straszną bywa.

Jakby płonny dym ulata
Mężka chwała, wdzięk niewieści,
Najpiękniejsze gwiazdy świata
Toną, gasną w łzach boleści.

Cóż dopiero na tej ziemi
Ileż śmierć ta ma gorczy!
Gdzie i płakać nad swojemi
Wróg do polskich zbrodni liczy!

Gdzie ten, co ma oddać ducha,
Nieme tylko łzy zostawi,
Bo szpieg z boku słów tych słucha
W których dzieci błogosławi.

Słucha, chytrem uchem łowi,
Czy nie cieszy się z swój doli,
Że Bóg wydrze go Carowi,
Da mu wolność po niewoli.

Czy się w zgonie nie buntuje,
Czyli w przyszłych lat kolei,
Jakijs Polski nie przeczuje,
Nie przewidzi gwiazd nadziei?

O! i w śmierci tu godzinie
Nie jest wolno w przyszłość wziierać;
Trudno jest żyć w tej krainie,
Trudniej jeszcze jest umierać!



STRUMYK.

— — —
Gdzie dążysz strumyku mały?
Z tobą myśl moja popłynie,
Bo i tobą los niestały
Pomiata po tej dolinie.

To co chwila, w twoim pędzie,
Z nowym się kwiatem poznajesz,
Nową świeżość niesiesz wszędzie,
I życia życiu dodajesz.

To między groby milczące
Z nurtem się twoim przedzierasza,
Ciągniesz twe wody jęczące
I łzy po drodze zabierasz.

Ach! czemuż twoje pieśczęoty
Tak często w smutek zmienione,
Chociaż zawsze z jednej grotty
Zawsze w jedną płyniesz stronę.

Miłości jesteś obrazem,
Równy macie los i skutek;
Tak z jednego źródła razem,
Płynie i radość i smutek!



PIEŚŃ.

Każą przed moim rycerzem mi stronić,
Wezwać z duszy siły, męztwa.
Nie tak to łatwo temu się obronić
Który przywykł do zwycięztwa,

Trudno się oprzeć wdziękom młodej chwały
Przybranej w wieniec miłości;
Kiedy te usta, które śmiercią brzmiały,
Dziś wdzięcznie zebrzą litości.

Nieszczęsna! mogeż powiększać tę mękę
Któręj serce odpowiada,
I tak okrutnie odpychać tę rękę
Co mi u nóg laury składa.

Nie, niema duszy tak srogiéj, zaciétéj,
By jéj ten widok nie złudził;
Nie, niema duszy takim snem ujetéj
By jéj głos sławy nie zbudził.



SŁOWIK W KLATCE.

Piosnka.



Wiosna barwne sieje kwiatki,
Kwitną wonne krzewy, drzewa,
A słowiczek z swojej klatki
Tak nam rzewnie śpiewa.

On tak mile ranek wita,
Srebrnym dźwiękiem słuch nasz pieści,
Nikt z nas przecie nie zapyta
Ile w nim boleści?

Tak wieszcz polski pieśń swą snuje,
W równie smutnym nócąc losie,
A świat nie wie, nie pojmuje,
Ile łez w tym głosie.

Śpiew ptaszyny, dźwięki lutni —
Dwie to skargi jednej doli
Wieszcz i słowik — obaj smutni — ,
Bo obaj w niewoli!



STARĄ WIERZBĄ.

Schorzała wewnątrz, wierzba sędziwa,
Chwiejąc się jakby olbrzym w pół zmarły,
Gniewny nurt z pod niej ziemię wrywa,
Wichry koronę jej zdarły.

Miała i ona dni swojej chwały,
Lud swój słoniła cieniem obwodu,
Piezkroć o jej pień się łamały
Burze północy i wschodu!

Piękną ją niegdyś, wzniosłą, ogromną,
Widzieli nasze starce zgrzybiali,
I teraz jeszcze ze łzami wspomną
Jak dziećmi pod nią igrali.

Dziś mimo wiosny, schnąca widocznie,
Wszystko w około smutkiem swym smuci,
Sam ptaszek nawet co na niej spocznie,
Jakoś boleśniej nam nuci

W pół żywe jeszcze rąbiąc ramiona,
Wróg jej na sągi pień jej rozdziera,
I bolejąca, naga, wzgardzona,
W ostatnim listku umiera.

O drzewo zacne, wiekiem, niedolą,
Doznasz-że jeszcze niebios opieki,
Czy też ci kiedy ożyć dozwolą,
Czyli też legniesz na wieki?

Wprawdzie z pnia twego, za każdą wiosną,
Odrostki jeszcze strzelasz młodemi,
Ale któż zgadnie, na co wyrosną,
I czy nie uszną przy ziemi?....



DZIECI XIAŻĘCE.

Plemię Praslina, złane świata łzami,
O biedne dzieci — podwójne sieroty!
Dno się piekielne rozwarło przed wami
Stanęły góry sromoty.

Męką lat ośmiu, a wreszcie żelazem,
Matkę wam ojciec zabił przeniewierczy,
Dziewięć w niej matek zamordował razem
Nim sam wypił jad morderczy!

I cóż więc teraz poczniecie wśród świata,
Na co wam mitry i skarby obfite?
Gdy wasze imię, jakby ręką kata,
W pręgierzu zbrodni wyryte.

*) Książę de Choiseul Praslin w tragiczny sposób zamordował swą małżonkę, matkę dziewięciorga dzieci.

Macież za przykre służyć widowisko,
I wiecznie wstydu okrywać się nocą,
O! Bóg sam tylko upadłych tak nisko,
Może swoją wznieść wszechmocą!

Jedna, tak jedna jeszcze gwiazda świeci,
Śmiało więc za nią! śmiało, mężnie, godnie,
Wielkie, nadludzkie tylko cnoty dzieci,
Mogą Ojców zatrzeć zbrodnie!



PIOSNKA ŻEBRAKA.



Jeżczem dzisiaj nie jadł, nie pił,
Nikt mnie w drodze nie pokrzepił,
Biorę Boga w świadka.
A więc dajcież, dajcie proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze,
Dla biednego dziadka.

Bywał ci ja i na wojnie,
I chodziłem szumnie, strojnie,
Nie jednogom miał dukatka.
Dzisiaj nie mam lichéj szaty,
Same dziury, same łaty,
U biednego dziadka.

Na jałmużnie nikt nie straci,
Co mi dacie, to odpłaci
 Bóg i Jego matka.
A więc dajcież, dajcie proszę,
Kawał chleba lub trzy grosze
 Dla biednego dziadka.



DO XIĘŻNÉJ EWY SUŁKOWSKIEJ,
po przedstawieniu sztuki „*Szekspir rozkochany*“

— — — — —

Smiałaś się, Księżno, z Szekspira zazdrości,
Lecz wspomnij tylko własne czucia twoje,
Przypomnij sobie lzy twojej miłości,
Kiedy twój rycerz wyjeżdżał na boje.

W dalekie strony niósł go zapal mężczy
Ty niebu żal swój podając niezmierny,
Błagałaś głośno, by wrócił zwycięzki,
Prosiłaś cicho, by powrócił wierny.....

Ale obawa dręczyła cię próżna,
Nie pamiętałaś na twoje przymioty;
Nadto dostałaś i wdzięku i cnoty,
Aby niestałym być można!



DO XIĘŻNÉJ IZABELI CZARTORYSKIEJ,

przesyłając niewidomego.

Do twych podwoi, Xiężno litościwa,
Do téj zwyczajnej nieszczęścia zachrony,
Z zgaszonym wzrokiem, nocą otoczony,
Smutny młodzieniec przybywa.

Usłyszał zdala te głosy wdzięczności,
Z którymi nędza z twych progów odchodzi,
Taż sama nędza, ten sam Bóg litości,
I jego tobie przywodzi.

W dwoistój wiosnie — w maju życia — roku
Na młodość jego wiatr nieszczęścia wionął;
W saméj żegludze do krain uroku,
W morzu ciemności zatonał.

Drogę swą niegdyś tak jasną, uroczą,
Straciło serce pełnią życia wrzące:
Błędem się kołem gwiazdy duszy toczą,
Za światłem, ludźmi goniące.

O z jakąż żądzą każdy promień piły,
Nim się tą czarną ślepotą zawarły;
Raz jeszcze ziemię i niebo zmierzyły,
I patrząc w matkę — zamarły!

Cofnął się w siebie, i jak w żywym grobie
Z zimną boleścią w długie zamknął lata;
Samotny więzień — uwieziony w sobie,
W świetle, a przecież — bez świata.

Nieszczęsny! . . . już mu w téj nocy wieczystej
Nigdy i nigdy słońce nie zabłyśnie,
Nie ujrzy nawet i téj lzy tak czystej,
Którą z twych oczu wyciśnie.



DO ANDRZEJA KOŹMIANA

przy odjeździe w cudze kraje.

Jutro więc już w porannej masz wypłynąć porze,
Z ciasnych brzegów twój rzeczki, w tak rozległe morze,
Jutro to po niestałej unosząc cię fali,
Zatonie mi twój żagiel w tej błękitnej dali,
Co jakby mgłą przyszłości, jeszcze przed twem okiem
Ten Chanaan twych marzeń ciemnym kryje mrokiem.
Próżno będę za tobą łzy boleści ronił,
I długiem cię spojrzeniem i żalami gonił.
Jak gdy na zmarłym szczęściu liczne legną czasy,
Tak mi ciebie zasłonią i góry i lasy.
Znikniesz, znikniesz na długo, — a ja sam zostanę,
Sam, jak rozpacz wzgardzona, jak łzy niewidziane,
Jak kwiat Tatrów, co wieczna otacza go zima,
Lub na stepach arabskich cichy grób pielgrzyma.

Ale cóż dwóch przyjaciół rozłączyć tu zdoła?
Głos ich góry przesięgnie i morza przewoła;
Dojrzą się okiem serca, skrzydłem myśli zgonia
Okrążą smutkiem troski, modłami osłonia.
Gdziekolwiek los ich rzuci, tam ich przyjaźń wszędzie
Tym skrytym, niewidzialnym węzłem spajać będzie.
Ach, bo jest, jest w tym świecie, padole goryczy,
Jakiś inny świat jeszcze, cichy, tajemniczy,
Gdzie dusza widzi duszę, zdala ją rozumie,
Zdala trwogą, tęsknotą rozmawiać z nią umie.
Gdzie choć w smutnej, dalekiej zatoniła ciszy,
I czuje woń jej szczęścia, i łez spadek słyszy;
Gdzie jak pasmem promieni, tak myślami swemi
Ciągłe się przyciągają, ciągle wiążą niemi;
Gdzie się tysiąc bezdźwięcznych krzyżuje łańcuchów,
Świat ten nawet poziomy łączy z światem duchów.

Tym to wzrokiem méj duszy będę ja z kolei
Widział cię w mgle pamiętek, widział w snach nadziei,
Codzień się wzmagał, krzepił, i znów codzień słabiał,
Niknący mi twój obraz pamięcią odrabiał.
Aż wręście, gdy w zbyt długich tęsknotach upadnę,
Nagle cudem przecucia twój powrót odgadnę!

DO ŚPIEWAJĄCÉJ Z.

Smętnie o twym nucisz losie,
Słyszę, jak łza drży w twym głosie,
Łzawym niebo skarżysz tonem.
Spiewasz serca twego kłótnie;
Spiewasz dźwięcznie, dumasz smutnie
O twem życiu rozstrojonem.

Lecz te głosy różnorodne
W ten czas tylko, gdy są zgodne,
Gdy się w jedno zleją brzmienie,
Gdy trafiają w swoje chwile,
Gdy w stósownej zabrzmia sile,
W ten czas tylko tworzą pienie.

Przeléj — przeléj w piersi młode,
Równie dźwięczną uczuć zgodę,
Zbytne serca zniżaj bicia :
Podnieś piękne duszy brzmienia,
Wzmocnij ogień, żar natchnienia,
I utwarzaj z nich pieśń życia.

Chcesz by piękny dźwięk wydało,
Chcesz, by szumnie nie wybrzmiało,
W płóнным i przykrym hałasie;
Umieszczaj trafnie, surowo,
Wszystkie czyny, każde słowo,
W swoim miejscu, w swoim czasie.

Żaden kwiat się nie rozwinie,
Żadne szczęście nie wypłynie
Z bujnych, dzikich uczuć wzbicia.
Z pięknej tylko miary, zgody,
Płynie błogość, dźwięk swobody,
Piękność śpiewu, piękność życia!

DO Z. R.

W imionniku.

Jak ów na gruzach wzrosły kwiat młodzieńczy
Tem jest piękniejszy, że ruinę wieńczy,
Tak i ty córo nieszczęsnej krainy,
Uroczny kwiecie ojczystej ruiny,
Tem nam wdziękami jaśniejiesz miłszemi,
Że w smutek polskiej przybierasz się ziemi.
O Polki! Polki! słynna piękność wasza,
Nie jest w tych wdziękach, które świat rozgłasza;
Waszym urokiem jest wryta zrzenica,
Smutkiem niedoli umilone lica;
Ówe bolesne i długie dumania,
Gdzieś tam krążące po krajach wygnania;
Ów wzrok, co blaskiem lży cnotliwej płonie.
Błądzi po grobach lub też w gwiazdach tonie.

Ach! póki lza ta wasze rosi twarze,
I boleść święte oblega ołtarze,
Póki czas, płochość, wdzięków tych nie zgaszą,
Dopóty palma piękności jest waszą:
I póty cześci — póki niesplamiona
Wieńczy skroń waszą godności korona.



W IMIONNIKU Z RÓŻNOBARWNEMI KARTY.

Umi zabrali karty różowe,
Dla mnie ten żółty pozostał świstek,
Słusznie! — dla młodych barwy majowe,
Dla starca suchy już listek.

Dla nich kwiat szczęścia zewsząd wynika,
I kołem młode krążą nadzieje,
A jemu każdy powiew wietrzyka
Jakąś pamiątkę rozwieje!

Cóż czynić? — z smutną zgodzić się zmianą —
Gdy młodość nie da się wskrziesić,
Skończyć bój życia, i broń strzaskaną
Na grobie ojców zawiesić!

PRZYPISKI.

Przypiski do „Dworca mego Dziadka.“

Lacińskie lokucje wertował przed dziadkiem.

Zwyczajem było w dawnych dworcach, że sam Jegomość po wieczerzy, zapisawszy omlót dzienny i narznawszy karbów z gumiennym, w obec dyrektora synków, zadawał im frazesy polskie, które na łacińskie przerabiać musieli. Tym sposobem zapępiała się długość wieczorów zimowych, i ojciec codzień mógł sądzić o postępie synów w łacinie. Odpowiadających niedobrze przez roztargnienie lub lenistwo, stawiano na godzinę w kąciku twarzą do ściany, lub w kółku krędą oznaczonem, na środku pokoju.

Wąsatych się wojaków przysłuchiwał bojom.

W każdym niemal dworcu znajdował się jakiś tymczasowy rezydent, stary wojak. Pamiętam takich z konfederacyi Barskiej, rewolucyi Kościuszkowej, Legionów, — słowem, z każdej epoki wojennej. Całem ich zatrudnieniem było, panią domu do stołu prowadzić, i opowiadać zdarzenia, których świadkami byli. Kto doświadczył gadatliwości starych żołnierzy, ten łatwo sobie wystawi, ile tysięcy razy

też same anegdoty wracały. Jeżeli rezydent nosił familijne Jegomości lub Jéjności imię, a tém bardziej, jeśli tym samym herbem się pieczętował, uważany był za członka rodziny, i zawsze nadawano mu tytuł wujaszka lub stryjaszka.

Sędzia kapturowy.

Sądami kapturowemi nazywano te, które się w czasie bezkrólewia agitowały.

Którym dziarski parobczak znojne strojąc skronie.

Okrężne i dożynki piękniejszymi są może po innych częściach Polski, lecz wielkopolski wieniec zdawał mi się zawsze zawierać jakąś myśl historyczną i ztąd być poetyczniejszym. Szkoda, że śpiew tego ludu najmniej w całej Polsce muzykalny, wiele uroku téj uroczystości odbiera.

Spydyk się tam z Naparstkiem o miarę certował.

Widziałem kielich, w który trzy butelki wlewano, i takie monstrum *Naparsteczkiem* zwano. W liczbie rozmaitych kielichów znajdowały się *Kije*, które od razu trzeba było wypróżnić, inaczej pijącego oblewały winem niedopitém. Były i *Kulasy*, to jest z nóżką krótką i bez podstawy. Kielicha takiego nie można było stawiać na stole. Na tak nazwanych *Kulasach* nie raz zdarzyło mi się czytać napis:

*Wielkąs krzywdę mi myrządził, większą ja ci zrobię,
Tys mi jedną uciął nogę, ja ci utnę obie.*

Najciekawszym przecież był dla swego kształtu kielich dla sławnego z Kościuszkowej rewolucyi Generała Madalińskiego zrobiony. Sławnie on machał pałaszem, lecz i *zdrowia* wytrząsał znakomicie. Gdy przecież w końcu przebrała się miarka, i podagra silnie dokucać mu zaczęła, w najboleśniejszym jéj akcessie, „*Ides!*“ zawołał zwykłym sobie przy-

słowiem, „*jakem Madaliński, już żadnego kielicha nie wypiję w życiu! Hełką, Pętelką mię nazwiecie, jeśli słowa nie dotrzymam!*“ — Trudno było co począć po takim zaklęciu; zdobył się przecież dowcip szlachecki na koncept nowy. Kazano zrobić w miejsce kielicha sporą armatę szklaną, i tę przyrządzoną do picia, w dzień imienin mu ofiarowano. Jako żołnierz, jako uraczony Solenizant, nie mógł się wymówić, wypił, lecz pono raz ostatni, i ztąd, choć wkrótce na łożu boleści umarł, mówiono, że zginął od armaty. Nie widziałem tego szczególnego kielicha; lecz ma się pono znajdować między innymi pamiątkami u Wgo Tymowskiego, Prezesa banku w Warszawie.

Kłęczal pod prassą serwet muzulman wąsaty.

Ostatni może takiego Turka eksemplarz widzieć jeszcze można w Pułdyskach pod Krobią u Józefa Hrabi Łubieńskiego.

Bo ma księdza w rodzie.

Dawne przysłowie:

*Kto ma księdza w rodzie,
Temu bięda nie dobodzie.*

Czerwienców

Dukata nazywano czerwieniecem, dusiem, czotym.

Nakosztal Waszeci.

Zakrawająca na mieszczkę.

Sam Bóg nas w kalendarzu w jednym dniu połączył.

Znałem sam tak nieoszacowaną parkę, Panów Fabiana i Sebastjana, którzy, gdzie się tylko spotkali, we dnie,

w nocy, w domu, na odpuszcie, popasie, kontraktach, zawsze się tak uraczali i rozrzewniali wzajemnie, że ich przez cały tydzień rozerwać nie było można, a to wszystko dla tego, że Bóg ich złączył w kalendarzu. — Kalendarz, w każdym znajdujący się domu, zdobił się zawsze własnoręcznym napisem właściciela: „*Ex libris Magnifici Domini N. N.*“ choć najczęściej całą jego bibliotekę stanowił. Kalendarz ten był zarazem kroniką roczną ważniejszych domowych zdarzeń, i tak w jednym znalazłem podobne notaty: „*12-go Februarii*: Termin w Sądzie z Chorążym za wyszczucie mu żyda i poturbowanie go kijami. Podać Grzesia Karbowego na świadka przeciw Kajmowi. — *3-go Junii* byłem u świętej spowiedzi. — *31-go Augusti* urodziła mi się córa Pulcherya. Dziwnie do Pana Rotmistrza podobna. — *30. 9-bris* Cielę o dwóch pępkach sprzedałem za 3 złote, i przyjąłem Dyrektora do Piesia. — *16-go Decembris*. Jagusi kazałem wyliczyć 15 różg za karessy z Stachem. Bezbożnikowi, co uciekł ze strachu w razie powrotu zapisuje się batów 20-ścia. *Fiat justitia!*“

Nieco mniejszy od dworca gmach ów znamienity.

Najmniejszej nie ma przesady w opisie pojazdów, jakie widziałem, z tą różnicą, że niekiedy w miejscu sfinksów były galki wyłacane. Pomimo przecież takiej objętości pojazdu, tak rozległe damy nosiły rogówki, a fryzury tak wysokie, że nieraz fryzura jednem oknem wychylać się musiała, a dla rogówki, przeciwne drzwiczki na wpół otwierano w podróży. Łatwo sobie wystawić, w jakiej pozyturze mieścił się tam sam Jegomość.

Kubuś w wiecznych conceptach, Kubuś jowialny.

Dość często, w mniej zamożnych nawet domach, spotykano podobnego jowialistę. Nie miał on stałego zamie-

szkania, lecz obrawszy sobie kilkanaście domów, objeżdżał je, i po kwartale lub dłużej w nich przebywał. Był to zwykle ubogi szlachcic, a całym jego mająteczkiem bryka i parakoni wypasionych po dworach. Powołaniem jego było, mieć w zapasie na czas swego pobytu, mnóstwo żarcików, anekdot, politycznych nowinek, zdarzeń okolicznych, waśni familijnych, projektów do małżeństw; słowem, dom ciągle rozweselać. Starał się on dla większej wziętości, za każdym powrotem do tegoż domu, z nowym zapasem żartów i anekdot przybywać. On to wszystkie kuligi układał, i na nich przewodził. Zabitym zwykle był patryotą, wielce nabożnym i nie ostatnim do kielicha.

Zgotował z jajecznicą, i przedziwną była.

Wzmianka ta o kartoflach, opiera się na prawdziwem zdarzeniu. W roku 1820 przyjąłem starca kucharza, który podług własnoręcznych zaświadczeń Kazimierza Puławskiego służył u niego przez cały ciąg wojny. Konfederat ten barski i kucharz zarazem, nazywał się *Barnabasz Dzieńdierzynski*. Opowiadał on mi: „jak w czasie obozowania pod Warką, gdzie właśnie na ów czas wielki był odpust, jakaś Cześnikowa przysłała Puławskiemu spory wór kartofli, jeszcze w ów czas nie znanych. Puławski licznie zebraną szlachtę na obiad zaprosił, a wszedłszy do kuchni z owym worem, *Barnabasz*, rzekł do mnie: *sporządź mi to Wasze na obiad!* Było nas siedmiu kucharzy, długo kręciliśmy głowami, nie wiedząc, co z tem zrobić; aż wreszcie zgodziliśmy się na to, aby z jajecznicą ugotować. Jakoż doskonale się nam udało; Pan Kazimierz powiedział, że przedziwne, i kazawszy mię przywołać w czasie objadu, poczęstował mię kielichem węg. Długo potem w Polsce gotowano kartofle z jajecznicą póki ich na niemiecką smakę przyrządzać nie zaczęto, lecz ja myślę, że zawsze do jajecznicy wróca.“

Tupa, klaszcze, podryga i chustą wywija.

Przypominam sobie z lat dziecinnych jeszcze owe stare kontuszowe postacie, jak w chwilach najhuczniejszej wesołości, nie mogąc już dla podeszłego wieku tańczyć, podrygając tylko i tupając nogami z taktem muzyki, białemi wywijały chustami. Zawsze prawie naokół drabantów, z 30-tu najmniej kontuszów złożonych, rozwinionemi powiewając chustami, śpiewali i podskakiwali ile mogli jeszcze. Chusta ta dotąd w czasie wesół odgrywa swoją rolę u ludu wiejskiego; a nic uroczniejszego, jak widzieć parobczaka Krakowskiego, umiatającego podłogę chustą przed nóżkami tańcząceej z nim dziewicy.

Rozjaśnia się niebiosa wolnych dusz widokiem.

Wiersz wzięty z Sejmu Wiślickiego Woronicza.

OGÓLNA UWAGA.

Zamiarem było autora wystawić Wielkopolskę, jaką była lat sześćdziesiąt temu. Część ta Polski nie chciała przyjmować natrętnie cisnącej się nowej cywilizacji od Niemiec z nią graniczących; a zbyt będąc oddaloną od własnej stolicy, żadnych z niej nie zaczerpała nowszych zwyczajów. Drobnosć po większej części fortun, w porównaniu z innemi stronami Polski, zaledwie kilku możniejszym rodzinom dozwalała na czas niejaki pobytu w Warszawie. Tenże sam powód stawał na przeszkodzie do licznych za granicę wy-

cieczek. Zznałem więc jeszcze w Wielkopolsce niestarte rysy oblicza narodowego, postać czysto staropolską, z całą prostotą obyczaju i jaskrawością kolorytu, a chcąc te rysy w wydatniejszym jeszcze wystawić obrazie, obrałem sobie dworzec szlachecki za miejsce dramatu, gdzie niczego jeszcze wpływ obcy nie przeinaczył, i nie dosięgły owe spory sprzecznych z sobą żywiołów, starego obyczaju i wiary katolickiej z francuzką oglądą i filozofią ośmnastego wieku. Starcia te byłyby może więcej życia i obszerności poematowi memu nadały, ale Wielkopolska mniejby do siebie w owych czasach podobną była. — Więcej wprawdzie, niż Wielkopolska, oddalone były od stolicy Podole i Ukraina, mniej przecież w sobie zasklepione; większa bowiem ilość i zamożność znakomitszych domów, więcej cudzoziemskiego poloru i nowszych zwyczajów po tych rozszerzały ziemiach, bliskość nawet wschodu nie była bez wpływu na nie. Ztąd to zmieszany przepych azjatycki z formami francuzkami i tém, co było polskie, szczególnie tym częściom Polski nadawały wyraz. — Wielkopolska, nie mówię już do tych ziem, ale do stolicy swojej tak mało podobną była, że nie widziano w niej prawie tych dziwnych *antytez*, jakimi tam często dwaj byli obywatele: jeden z włosem trefionym i pudrowanym, w fraku z guzikami perłowemi, w trzewikach, pończochach i haarbeutlem; a drugi, z wąsem potężnym, głową goloną, w kontuszu z wylotami i z karabelą przy boku, i to — dwaj rodzeniuteńcy bracia. Mody tylko damskie i niekiedy tylko kształt pojazdów przeciskały się z Francuji do nas przez Warszawę, które zły gust i przesada przeistaczały nielitościwie.

Naczytawszy się pomiędzy kilku prawdziwemi obrazami, mnóstwa przekreślonych i komponowanych narodowości, nie od rzeczy może będzie, zapewnić święcie czytelnika, że com w poemacie moim umieścił, wszystko na własne widziałem oczy. Zdaniem mojem, chcąc podobne wizerunki wystawić, można sobie jedną część kraju, zakątek nawet wy-

brać, i obraz ich istotny w najdrobniejszych nawet szczegółach kryślić; przedewszystkiem przecież na to zważać należy, aby ogólne i główne rysy, z fizyognomii całego narodu zdjęte, jako konieczną podstawę na tle poematu położyć. Takimi są *Pamiętki Soplicy*, takim *Pan Tadeusz*, który choć litewską tylko naturą otoczony, litewskich pełen zwyczajów i litewskiem tchnący życiem, przecież po całej przestrzeni dawniej Polski głoszony i uznany jest za narodowy, i wszędzie jedno uczucie i ten sam podziw wzbudza. Sta-
rałem się, choć w skromniejszym obrębie, dopiąć tego celu
Czym go dosiągł, czytelnik osądzi. Przyp. aut.



Przypiski do „Wizyty w Sąsiedztwo.“

Uczciwszy uszy:

każde słowo, nieco nieprzystojne, zawsze tem wyrażeniem poprzedzano.

Bez fałszu:

fałszem nazywano tylną część żupana, gdy z płótna, a nie z tej materyi, co żupan robioną była.

Śluki:

sławna fabryka pasów była w Śluku.

Pektoralikiem

zwano mały zegarek złoty, noszony na piersiach za kintuszem.

Parangon

dyament wesolej wody.

Sylwa rerum:

Wielu obywateli składało zbiory różnych pism, wierszy, mów, uniwersalów, listów tyczących się bieżącego lub bliskiego z przeszłości czasu i to nazywało się *sylwa rerum*.

Popiele:

W wielu częściach Polski slyszalem wyraz ten upowszechniony, który ztąd pochodził, że Stanisław August rozkazywał zawsze przy końcu objadu czwartkowego przynieść *Popiele*, co znaczyło starego węgrzyna, trącaącego myszką.

Manele:

naramienniki czyli brasnoletki.

Mitenki:

rodzaj rękawiczek.

Lankotki:

szlarka do garnirowania sukien.

Lewitka:

suknia roztworzona na przodzie, którą przeciągano przez otwory kieszonek.

Agazanty z forbotem:

mańkietki białogłowskie z koronkami.

Balsamka:

puszka czyli jabłuszko na rozmaite wonie, tak małe, iż je za gorsem noszono. Za Jagiellonów zwano je banieczką.

Konsyderatka:

kieszęń w sukniach kobiecych; przywiązywano ją na sznurówkach za St. Augusta.

Larendogra:

wódka lewandowa do trzeźwienia mdlejących.

Kupiec:

gra. Wspomina o niej Krasicki w Podstolim.
Obszerniejszą wiadomość, co do tych szczegółów znajdzie czytelnik w Gołębiowskim.

Przyp. aut.

Przypiski do „Parchatki.“

W województwie Lubelskiem, między Bohotnicą i Puławami, a naprzeciw zwałisk Kazimierza i gmachu Janowieckiego, jest wioseczka nad brzegiem Wisły z kilku par chatek złożona, i ztąd Parchatką zwana. Położenie jej z natury nadzwyczaj uroczne, przyozdobił jeszcze gust księżnej Izabeli Czartoryskiej, nie ujmując w niezem sielskiej prostocie wioszczyny, która tém piękniejszą się zdała, że właścicielka jej, wszystko uczyniła co tylko mogła ku zabez-

pieczeniu wszelkiego rodzaju swobód, dla tamecznych wieśniaków. Bóg wie, co z ich szczęściem i całą wioską stało się odtąd! Woronicz w Sybilli, Niemcewicz w czteropięśniowym poemacie Puławy, nie przepomnieli Parchatki, a przed kilku laty Przyjaciel Ludu dał nam jej rysunek i opis pełen prawdy i wdzięku.

Tę to wioseczkę niniejszy poemacik opiewał, jeszcze w roku 1822, a że dotąd nie był drukowany, i przytem choć drobną cząstkę ojczyźtęj ziemi maluje, cząstkę zwłaszcza tak wspomnieniom narodowym drogiego miejsca, na którego zagładę sprzysięgły się równie duma jak barbarzyństwo wrogów; przeto jako dawny zabytek poezyi naszej, i to właśnie w chwili jej przesilenia na nowszą, skreślony, ośmielamy się go tu umieścić.

Przyp. autora.

Przypiski do „Nadziei.“

W domu Pana Referendarza Morawskiego, brata Jenerała, w Oporowie, w roku 1831, śród licznie zebranego około stołu towarzystwa, opowiadano szczegóły o wzięciu Warszawy. Znajdował się tam i Adam Mickiewicz, podejmowany gościnnie przez gospodarza domu. Naraz urwała się rozmowa, a wyraz głębokiego smutku osiadł na twarzach obecnych; wtedy jedna z córek pana domu rzuciła do koszyczka karteczkę, na której napisała ołówkiem: „Co teraz w sercu twoim zastąpi nadzieję?“ Pytanie to wyciągnął losem Mickiewicz, i taką dał odpowiedź: „Co robi rolnik, gdy grad zbije jego łan? Znowu sieje!“ — Odpowiedź Mi-

ckiewiczza zachowano i pokazano później Jenerałowi, który przeczytawszy ją, natychmiast napisał niniejszy wiersz, przez długi czas nie drukowany, a obiegujący jednak z ust do ust całą Polskę.

Przyp. Wyd.

Przypiski do „Początku 1848 roku.“

Miałem zamiar wszystkie ważniejsze przemiany tego odrodzenia się świata i Polski aż do zupełnego rozpogodzenia się i ustanowienia nowego porządku rzeczy, w podobnym prześpiewać rymie. Czemu tego nie dokonał? łatwo się domyślić. Trudno nucić epoki, na których zbrodnie wzdryga się serce człowieka, a których śmieszność i głupstwo do tego doszły stopnia, że w ich ciągu nie dzieje, lecz komedye tylko pisać by można, gdyby tyle łez i krwi nie kosztowały.

Przyp. aut.

Przypiski do „Klasyków i Romantyków“ listu pierwszego.

Zkądżeście to Klasycy

Czytelnik nie tchnący duchem żadnego stronnictwa literackiego, z łatwością pozna, że list *do Klasyków* tyczy się jedynie tych autorów lub nie autorów, którzy zamienia-

jąc się w krytyków, mylnem rozumowaniem przeszkadzając zbogaceniu literatury naszej; którzy chcieliby pole literatury chińskim murem obwarować, aby żadna nowość, żaden pomysł, żadna forma różniąca się od raz przyjętych, przez niego przedrzeć się nie mogły, i którzy nakoniec wszystkie te narody, które pomimo głębokiej znajomości wzorów starożytnych i szerszego dla nich uszanowania, inną puściły się drogą, śmieją nazywać barbarzyńskimi. — Do tych pisałem, o których w względzie literackim możnaby to powiedzieć, co Müller w swojej historii mówi o uczonych średnich wieków: „Der Untergang der Wissenschaften kam nicht so wohl von den Barbaren, als von denen die sich Weise dächten.“ Nie o prawdziwych więc Klasykach, lecz o fanatykach tój szkoły mówię i dlatego tyle się nad tem rozwodzę, ponieważ od niejakiego czasu, a zwłaszcza u nas, zawziętsi zwolennicy szkół obydwóch, tyłu się nadużyciów w zdaniach swoich dopuścili, iż nazwiska Klasyków i Romantyków tylekroć niewłaściwie i w sporach wspomniane, stały się niejako wyrazami nagany, oznaczającymi uczniów zaciękłych, przesądnych i duchem stronnictwa tchnących tak Klasyczności, jak i Romantyczności. — Znaczenie więc tymczasowie przywiązane do tych nazwisk i mnie zmusiło do ich użycia. Po wytłumaczeniu rzeczy, nikt mnie zapewne posądzać nie będzie ani o niewolnictwo względem dawnych, ani o podzielenie mniemania niektórych Romantyków naszych, utrzymujących, że w wieku, w którym oni zrodzili się i balladami nas cywilizują, niewarto już czytać, a tem bardziej uwielbiać pisarzy, którzy na imię Klasyków, w całym jego znaczeniu zasłużyli, i których w obecnym nawet czasie z chlubą dla kraju wskazaćby można. Pięknemi są zapewne i nigdy nie zwiędną wieńce młodocianego bluszczu, które przystroiły skronie Szyllera, Goetego, Byrona; ale i te laury, które wzniosły się na Homera, Wirgilego, Horacego, jako otoczone hołdem tyłu uczonych i dłuższym już nawet czasem utwierdzone żadną przemijającą burzą zwalone być nie mogą. Zieloność ich jest nieśmiertelną.

Nie znalazłszy go dawną, nową szukać drogą.

Trafnie młody poeta Deschamps, w przedmowie do dzieła swego powiedział: „Les grands Maîtres ont parcouru, en triomphe et jusqu'au bout les routes qu'ils se sont ouvertes; on doit s'écarter de leur chemin autant par respect, que par prudence, et certes ce n'est point en cherchant à les imiter qu'on parviendra jamais à les égaler. Un grand siècle littéraire n'est jamais la continuation d'un autre siècle.“ Tak i we Francyi przeciskają się już zdania, tchnące umiarkowaniem i wolne od przesądów. — Klasycy Polscy! Romantycy Polscy! kiedyż to u nas nastąpi?

Bracia, trzeba śmiałości.

Wielu pisarzom naszym, którzy lękają się wszystkiego co jest nowém i oryginalném, śmiałości tylko nie dostaje, talenta ich są znakomite, smak wykształcony, czemuż własnym siłom nie ufają, czemu są, jak te małe dzieci, które mogą już same chodzić, a jednak trwożnie chwytają się dłoni swych piastunek. Audendum est, fortes adjuvat ipse Deus.

Z pod Troi zaplesniałe sztandary wynoszą.

Przestrzega autor, że wie dobrze, iż Grecy, ani Trojanie sztandarów nie mieli.



Przypiski do „Klasyków i Romantyków“ listu drugiego.

..... *i w świetnym zawrocie.*
Rozbijaj się po wielkim marzeń kotowrocie.

(Naśladowanie wiersza.)

..... *a dusza moja w wirowym obrocie*
Rozbija się po wielkim cierpień kotowrocie.

Przytaczając wiersz ten z pamięci, przepraszam autora, jeśli jego wirom lub kołowrotom ujął jakiego wdzięku.

Strzyga

jest to, ile mi wiadomo — Upiór dama;

Ledwieście się zrodzili, a już zestarzeeli.

Piękne ballady Mickiewicza, do których doliczyć można Jałmużnę, Bolesława i Zamek Jazłowiecki innych pisarzy, tyle nieszczęśliwych utworzyły naśladowców, że przez lat kilka same tylko klecono ballady i codziennie nędzniejsze. — Sonety zrodziły drugie Sonety, po których, szczęściem, już nędzniejszych nie będzie. Wszystkie nasze nowoczesne poezye romantyczne, wyjąwszy pieni Brodzińskiego i Zaleskiego, mają jedną tylko barwę, tenże sam rodzaj niepoprawności i w jednej tylko krążą sferze. — Nigdy w najmniejszych Klasykach naśladownictwo nie doszło do tego stopnia, jak w niezgrabnych przedrzeźniaczach Mickiewicza. Naśladowano z niego wszystkie drobiazgi nowości, wszystkie błędy języka, smaku, a żadnej piękności. Naśladowano format dzieła, druk, a nawet kolor okładek. — I tacy to

balladziści rozprawiać nam będą o oryginalności, o rozszerzaniu krain wyobraźni.

Jakby gwizdał Horacy, słysząc rymy wasze.

(Wiersz naśladowany)

*Lecz z takichżeto kwiatów sarmacki młodzieniec,
Narodowych nam wspomnień będzie splatał wieniec?*

Nie chcę ja tu powstawać przeciw gminnej poezyi, która do najszacowniejszych skarbów każdego ludu należy, ale mniemam, że zamykać nam się jedynie w jej obrębie jest to zniżyć dostojność poezyi naszej, a nawet i uwłaczać dziejom, jakoby dla nas nie ponętniejszego i wyższego nie miały nad guślarzy, lunatyki, rozbójniki i czarty, zwłaszcza, że w tej tylko sferze podobało się u nas dostrzegać poezyi gminnej. Pierwsze dźwięki swojej lutni poświęcił Mickiewicz tejże poezyi, ale wkrótce uczuł potrzebę nastrojenia jej do wyższych i godniejszych siebie tonów. Czemuż za tym przykładem nie idą jego naśladowcy?

*Trzebaż, trzebaż tak srodze przez ten jęk żalсны
Z pięknego Maju życia zdzierać barwę wiosny.*

Stokroć lepiej niż moje wiersze, wytknęły już błąd tej rozprawy Brodzińskiego o klasycyzności i romantyczności umieszczane w pamiętniku Bentkowskiego. Nie pojmuję, jak odczytawszy te ważne i zbawienne przestrogi, można się jeszcze ociągać z powrotem na drogę prawdy. — Trudno jest silniej przemówić do przekonania, trudno właściwszym światłej krytyce odezwać się głosem, przecież dziwnym zdarzeniem w wszystkich sporach, recenzjach, najślawniejszych nawet przemowach, nie zacytowano ani jednej z tak światłych uwag, nie raczono nawet wspomnieć o nich, że istnieją w ojczyźnie. Nie odmawiając winnego hołdu Lessyngom,

Humom, Szleglom, Wilmenom, Hazlittom, sędzę, że warto przecież posłuchać i rodaka, który trafniej podobno, niż wszyscy obcy uczeni, stanowić może, jaka poezya właściwszą jest naszym wyobrażeniom, zwyczajom, podaniom, i dziejom. Nie ma wprawdzie w Brodzińskim tych powabnych komerażów literackich, któremi krytyka terazniejsza tyle wdzięku i świetności chce nadać gazetom, ale jest wszystko, czego rozum i serce polskie żądać mogą.

*Przebóg, cóż to za słowa, jakież dzikie brzmienia
Kłóć się z złotym dźwiękiem Sarmackiego pienia.*

Ile szkodliwym jest dla poezyi nadużywanie prowincjonalizmów i wyrazów orientalnych, przekonaliśmy się już z niektórych dzieł świeżo wyszłych. Co do prowincjonalizmów zwłaszcza, tem ostrożniejszymi być powinniśmy w przypuszczaniu ich do języka poetycznego, że niekiedy cudzoziemskie zupełnie wyrazy wciskają się do niego pod postacią prowincjonalizmów, jak dziengi w Trzech Budrysach. Jeden wyraz przez pospiech może użyty nie zmniejszy chwały pisarza; dla tego tylko zwróciłem na niego uwagę, iż chromi naśladowcy Mickiewicza gotowi omdlewać z rozkoszy, na widok tak nowego, niesłychanego dotąd wdziałku i przez częste powtarzanie wyrazu oswoić z nim narzecie język krajowy. — Lękam się także, aby, jeśli się kiedy zjawi jaki balladzysta Wielkopolski, nie brał za tamente prowincjonalizmy tych słów niemieckich, które kraju tego wieśniak z Landwehru do wsi swojej przynosi. — Niemczyzny te wcisnione w język ludu, staną się kiedyś także prowincjonalizmami, jeżeli go nie zagłuszą zupełnie. Już tam nie ma Żołdu i Broni, są tylko Lenungi i gwery, i t. p.

Nie mruzczały mu sosny piosenek żeglugi.

Pięć wierszy po sobie następujących wyjęte są z dzieł romantycznych niedawno drukowanych.

Wysnute z nowych myśli, piszcie wiersze stare.

Samo się przez się rozumie, że nie o to tu idzie, aby wiersze koniecznie co do formy, zwrotów, strof podobne dawnym pisać, ale aby przy nowości myśli nadać im tę samą jasność, wybitność i gładkość, któremi dawne, dobre celują, i równie jak w nich szanować harmonią, czystość i prawa mowy ojczyściej. — Wiem ja, że każdy genialny pisarz ma i mieć powinien swój styl właściwy, lecz ta odrębność nie może się zasadać na większym lub mniejszym gwałceniu języka. Jeśli kiedy, to przy wprowadzeniu nowego rodzaju, należy wystawiać swoje twory w całej doskonałości wykończenia, aby je w najpowszechniejszej okazać postaci, i na samym wstępie nie zrażać, nie oburzać, lecz nęcić. — Błędy gramatyczne, ciemność, brak gustu, wydarżające się nie kiedy w wielkich wieszczkach, nie mogą służyć za obronę; bo błąd zawsze jest błędem, cóż dopiero, gdy nie jest nagrodzony liczbą i wielkością ich piękności. — Ile pomimo wewnętrznej wartości, poezya zewnętrznie kształconą być powinna, odsyłam wszystkich romantyków do listu Byrona, pisanego do Murreja, gdzie stawia w obronie klasyzmu Popa.

(Przypiski te drukowane były 1829 roku, a więc do tego czasu odnosić je trzeba.)
Przyp. aut.

Przypisek do „Powrotu.“

A jak grób tak zimny:

Jour beau comme la gloire, froid comme le tombeau.
Wyrażenie się *Wiktora Hugo* idącego za trumną Napoleona.

Przypiski do „Jako pan Gadulski.“

Boża wola:

Czuć *Bożą wolą* do kogo, było to samo co kochać się w kim.

Dziewka:

Dziewką każdą nazywano pannę.

Smalić cholewki, koperczaki stroić

a nawet *aprsztifikować* się znaczyło co teraz — umizgać się.

Jezuity zwłaszcza się radził:

W każdym zamożniejszym dworze był Jezuita, najczęściej członek rodziny, który był wyrocznią całego domu.

Lubon, lubonia —

kochanek, kochanka — patrz Linde.

Rozebrać kura:

Każdy młodzian dobrze wychowany musiał umieć rozebrać pieczonego kuraka na powietrzu, a gdy zawstydzić go chciano o podsiedzenie kogoś godniejszego przy stole, kładzono wewnątrz kuraka szpikulce żelazne i wołano — *nie daj się kurku.*

I sama piekła chleb dla ubóstwa:

Na znak wielkiej ofiary religijnej — w czasie wyprawiania nabożeństwa za dusze rodziców, lub gdy pokutowało we dworze — Panie i Panny same piekły chleb dla ubóstwa. — Sam to przed 40-tu jeszcze laty widziałem.

Niedziotki nawet suszyła:

Suszyć, być suchotami, było więcej niż pościć; nie jadano w dzień taki masła, mleka i najczęściej nic gotowanego. Suszono poniedziałki dla uproszenia u Boga dobrego męża; dziś tak chwalebny zwyczaj ledwie pomiędzy niektórymi garderobianami pozostał. Nie tylko cały tydzień, ale i niedzielę suszyć było tę zasługę do najwyższego stopnia podnieść.
Przyp. aut.



Przypisek do „Piosnki Żebraka.“

Piosnkę tę ułożył generał Morawski dla ubożego starego żołnierza, który najlepszą tym sposobem otrzymał jałmużnę. Posypały się bowiem tak hojne datki dla żebraka odzywającego się głosem powszechnie lubionego poety, iż niebawem zebrał się fundusik na zakupienie gospodarstwa, i stary żołnierz osiadł na własnym kawałku ziemi.

(Przyp. Wydawcy.)

KONIEC I. TOMU.



108130

SPIS RZECZY.

	Strona
Przedmowa	I
Dworzec mego Dziadka	3
Wizyta w Sąsiedztwo	39
Na powrót wojska 1812 roku	49
Na powrót wojska 1814 roku	53
Do Hrabiny Alexandrowej Potockiej	58
Na wieść o śmierci Dąbrowskiego	60
Parchatka	62
Tęsknota do boju	71
Powrót	75
Nadzieja	79
Początek 1848 roku	81
Światowid	84
Mowa polska	85
Wieża Kruszwicka	87
Trzy mogiły	89
Ostatni kontusz	90
Brzoza Gryżyńska	95
Święty Izydor	100
Ciche dziecię	105
Halka	107

	Strona
Góra poznańska	109
Chłop i djabeł	114
Giermek	117
Radziwiłł Sierota	124
Adam Jaraczewski	128
Pan Przyjemski	131
Biała osłona	134
Edgar i Celina	137
Edward	141
Rozbicie okrętu	144
Dwie łódki	146
Żegluga	148
Zabobon	148
Biedna Marynia	150
Śmierć Watela	152
Chitcher czyli wiecznie młody	155
List pierwszy do Klassyków	158
List drugi do Romantyków	163
Na śmierć Karpińskiego	169
Odpis na wezwanie do pisania epopei itd.	177
Do milczącego Jaxy	181
Odpowiedź Godebskiemu	186
Boga-Rodzica	188
Róża duchowa	195
Modlitwa dla górników	198
Roraty	202
Msza św.	205
Modlitwa za Adama Mickiewicza	207
Cisza w duszy	213
Modlić się	216
Do modlącej się	218
W czasie pogrzebu	220
Dwóch ojców	221
Do rodziców	223
Szatan	224
Nibavatn	225
	228

	Strona
Poeta w górach	237
Okręt zamaryły	245
Sprudel karlsbadzki	250
Fragment charakteru	253
Dumanie	256
Obłok	259
Gwiazdy	264
Gwiazda spadająca	267
Potęga myśli	269
Żeglarz powietrzny	279
Droga żelazna	277
Lorcía	277
Łza	280
Płacz we śnie	282
Próżność walki	285
Szczęście i pokój	286
Nowy Rok	287
Z mądrości Bramina	290
Pierwsza miłość	292
Matka do córki w dzień zaślubin	293
Jako pan Gadulski	296
Porównanie	299
Do	303
Do	304
Do	306
Piosnka	307
„Widziałem w ranek wiosenny“	308
Związek serca z naturą	311
Ułamek z poematu Amor i Psyche	312
Przyjaźń	314
„Kiedy zeichną serca bicia“	315
Strumyk	317
Pieśń	319
Słowik w klatce	321
Stara wierzba	323
Dzieci Xiążęce	325
Piosnka żebraka	325
	327

	Strona
Do Xiężnej Ewy Sułkowskiej	329
Do Xiężnej Izabeli Czartoryskiej	330
Do Andrzeja Koźmiana	332
Do śpiewającej Z.	334
Do Z. R. w imionniku	336
W imionniku z różnobarwnemi karty	338
Przypiski	339

